

HALINA RUDNICKA

**CHŁOPCY
ZE STARÓWKI**



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA 1962

I. Nad Wisłą u przewoźnika

— Dość! Nie pchać się!

Niemłody, ogorzały mężczyzna wiosłem zagroził dostęp do łodzi i krzyknął do uwijającego się wśród pasażerów jasnowłosego chłopaka z zadartym nosem:

— Wojtek, komplet jest?

Wojtek Wieloch mozolił się nad wydawaniem reszty ze stu złotych. Odpowiedział więc po chwili:

— Można jeszcze jedną osobę, jest czterdzieści dziewięć.

Dwie kobiety rzuciły się jednocześnie w stronę burty, ale przewoźnik zdecydował krótko:

— Młoda, bez bagażu, proszę. Pani z tymi majdanami zaczeka na następny kurs.

— Panie, ja byłam pierwsza, ja się spieszę! — protestowała gwałtownie przysadzista kobieta, jak kwoka piskłeta osłaniająca ramionami swe liczne tobołki, powiązane przemyślnie długim sznurem.

— Te pani bagaże starczą za trzy osoby. W następnym kursie będzie pani pierwsza.

Kobieta rozejrzała się, czy gdzieś w pobliżu nie przybija do brzegu inna krypa, ale było pusto. Na Wiśle białą w dali rozpięte żagle, sunące na praski brzeg. Dziewczyna, której przewoźnik pozwolił, skoczyła lekko do łodzi. Pomocnik wiosłarza długą żerdzią odepchnął łódź od brzegu, plasnęły wiosła rwącą, burą wodę i po chwili główny nurt rzeki zaczął ich ciągnąć ku sobie.

Przewoźnicy walczyli z prądem, sprawnymi ramionami uzbrojonymi w długie wiosła przeciwstawiali swoją wolę kapryśnej rzece, wzburzonej wiosennymi roztopami. Nie dać się zepchnąć pod groźne, pełne zasadzek filary zburzonego mostu Poniatowskiego, przybić do brzegu na miejsce wyposażone w wygodny pomost i schodki dla pasażerów — taki był po wielekroć powtarzany, codzienny wysiłek, do którego wdrażał się od tygodnia Wojtek. Polubił tę pracę. Było to już trzecie z rzędu zajęcie, jakie znalazł po przybyciu do Warszawy w parę dni po wyzwoleniu. Najpierw zajął się szewstwem. Łatał i zelował zdarte buty warszawiaków kawałkami opon samochodowych, skórą z teczek czy torebek damskich, ot, czym kto miał i czym się dało. Ale te zarobki skończyły się szybko, gdy tylko wrócił z obozu mąż Stasiakowej do gęsto zaludnionego przez nieproszonych sublokatorów mieszkania doktora Miłobędzkiego na Saskiej Kępie.

Jeszcze tego samego wieczora po powrocie Stasiak wszedł do kuchenki, we wnęce której mieszkał Wojtek, i powiedział dobitnie:

— Od dziś żebyś mi się nie ważył przyjmować roboty. Ja tu szewc, a ty, smarkaczu, szukaj sobie innego zarobku. Jak mi się zdarzy więcej klientów, mogę cię przyjąć na ucznia.

Dwa dni potem Wojtek pracował u szklarza. Nie odpowiadało mu to zajęcie. Kaleczył ręce, tłukł szkło i majster kiepsko płacił. Przy tym cały dzień musiał biegać po mieście, nie miał ani chwili wytchnienia, ani chwili dla nauki. Wracał wieczorem ze świeżymi okaleczeniami palców, z obolałymi od noszenia pudła ramionami, ze sztywnymi od długich wędrówek nogami. Dopiero niedziela przynosiła wypoczynek. Szedł nad Wisłę i patrzył w zadumie na rwącą się z okuc lodowych rzekę, na jej wzburzone, spienione fale, groźne i pełne niepokojącego czaru. Kiedy tylko spłynęła kra, wiosłarze i piaskarze rozpoczęli przewożenie pasażerów na łodziach, krypach, a nawet małych łódkach. Nieprzerwany potok ludzki spływał z jednego brzegu na drugi. Ani daleki most wysokowodny przy ulicy Karowej, ani pontonowy, zmontowany obok zwalonych przeseł Poniatowskiego, nie były wystarczającym połączeniem lewo-brzeżnej Warszawy z prawobrzeżną. Wojtek lubił przyglądać się pracy wiosłarzy, marzył, by

zostać ich pomocnikiem. Ale właściciele łodzi kręcili przecząco głowami.

— Nigdy nie wiosłowałeś? My nie mamy czasu na naukę.

Jednego popołudnia majster zwolnił go wcześniej, bo zabrakło szkła. Wojtek postanowił zażyć przyjemności przejażdżki na drugi brzeg. Wysupłał ze swoich skromnych zasobów dziesięć złotych — tyle kosztowała przeprawa — i wsiadł do łodzi. Z radością wciągnął do płuc chłodne, wilgotne powietrze nadrzeczne. Usiadł na skraju ławki obok zamożnie wyglądającej kobiety. Mimo woli zaczął ją obserwować. Kobieta kręciła się niespokojnie, żegnała się co chwila, szeptem wzywała pomocy wszystkich świętych, a głośno wołała do przewoźnika:

— Panie, czy aby my się nie potopimy? O Jezu, jaka ta woda straszna! Tyle ludzi nabrać do takiej dziurawej skorupy!

— Patrzcie ją, dziurawa skorupa! Moja łódź! — oburzył się przewoźnik. — Spraw sobie, panusia, motorówkę!

Gruchnął śmiech, łódź zakolebała się odbijając od brzegu, panusia prawą ręką przeżegnała się, lewą chwyciła za tobołki w obawie, że się potopią. Trąciła przy tym Wojtka, więc zsunął się prawie na skraj ławki.

Zamiast go przeprosić zgromiła Wojtka gniewnie:

— Co się kawaler tak rozpycha? Całej ławki mu za mało!

— Ja, rozpycham? — zdumiał się Wojtek. — Zająła pani dwa miejsca i jeszcze mało. Wiszę na skraju, nad samą wodą.

— Jaka ta młodzież niewychowana teraz — wrzasnęła panusia — nawet na grzeczną uwagę pyskuje!

Wojtek poczerwieniał z oburzenia i nic nie odpowiedział, ale w obronę wzięli go współtowarzysze z łodzi. Rozgorzała kłótnia. Wojtek odwrócił się plecami do hałaśliwej sąsiadki. Był zły. Całą przyjemność przejażdżki popsukała mu ta swarliwa baba, widocznie jakaś handlarzka. Zanurzył dłoń w rzece. Wartki prąd łaskotał mu palce, woda była bardzo zimna. Nieprędko można będzie wykapać się w Wiśle i popływać przy brzegu. Chociaż, jeśli wiosna będzie nadal taka ciepła... Może Ninka wybierze się z nim razem... Ninka... Serce ścisnęło się boleśnie. Chatka na kurzej łapce, gaj Akademos, Czubatka, Cygan... Jakie to dalekie, jakie nieprawdziwe, jak baśń o szklanej górze. Ninka chodzi do gimnazjum, ma nowe koleżanki, kolegów, na niego nie zwraca uwagi. Czasami mu się zdaje, że nie pamięta o jego istnieniu. Nie widuje jej po parę dni. Kiedy wychodzi z domu, Ninka jeszcze śpi, kiedy wraca po znojnym dniu pracy, w pokoju pani Miłobędzkiej jest ciemno...

Przybili do brzegu. Jak zwykle bardziej niecierpliwi rzucili się ku burcie, łódź gwałtownie zakołysała, kobiety zaczęły pisać z emocji. Wojtek czekał, aż wysiądą wszyscy, nie spieszyło mu się nigdzie, przyglądał się z uśmiechem wysiadającym. Ostatnia wygramoliła się kobieta, która siedziała podczas przeprawy obok Wojtka. Pomagał jej właściciel łodzi, jego pomocnik i przygodni pasażerowie. Na brzegu czekał na nią młody człowiek w eleganckiej kurtce, w zgrabnych oficerkach z błyszczącymi jak lustro cholewami. Pocałował przybyłą w rękę, ona cmoknęła go w czoło i wręczyła mu wszystkie swoje tłumoki. Wojtek wstał wolno z ławki; poczuł pod stopą coś miękkiego. Schylił się, podniósł portfel, schował rękę za plecy i krzyknął nie zważając, że pomocnik przewoźnika daje mu rozpaczliwe znaki:

— Kto zgubił pieniądze?!

Kilka osób zatrzymało się, niektórzy sięgali do kieszeni. „Paniusia” chwyciła się ręką za serce i krzyknęła rozzwierającym głosem:

— Mój portfel! Mój portfel! Ukradł!

— Kto ukradł? — wmieszał się przewoźnik. — Jeśli ten chłopak znalazł i szuka właściciela, to nie ukradł.

— Ale mógł wyciągnąć ze środka...

— Zaraz się przekonamy — powiedział surowo przewoźnik. — Ile tam pani miała?

— Ja sama sprawdzę...

— Nie ma tak dobrze — powiedział z gniewem przewoźnik. — Jaki był portfel?

— Brązowy, skórzany — powiedziała pokornie kobieta.

— Zgadza się? — przewoźnik zwrócił się łagodnie do Wojtka.

— Tak.

— Więc ile tam było?

Młody człowiek w oficerkach nachylił się i coś szeptał do ucha kobiecie.

— Ja... ja rezygnuję... mogę przyjąć bez sprawdzania...

— Ale my nie rezygnujemy. — uciął przewoźnik — albo pani mówi, albo zgubę oddamy na milicję.

— Tam jest... trzydzieści tysięcy...

— Ho, ho — zadziwili się ludzie — z uczciwej pracy nikt tyle nie nazbiera!

— Daj, chłopcze, ten portfel, będę liczył — przewoźnik wziął zgubę z rąk Wojtka.

— Nie potrzeba, naprawdę nie potrzeba — sprzeciwiła się kobieta, ale widząc, że przewoźnik nie zwraca na nią uwagi i zabiera się do sprawdzania, dodała pośpiesznie: — Tam jeszcze... w przegródce złoty medalion z łańcuszkiem, zawinięty w bibułkę... pamiątka po babci.

— Jest wszystko — powiedział po chwili przewoźnik. — Ile pani da chłopcu znaleźnego?

Wojtek zachnął się niecierpliwie, chciał coś powiedzieć, ale pomocnik przewoźnika szarpnął go za rękaw. Gwałtowna fala krwi zabarwiła policzki kobiety.

— Myślę, że... że sto złotych wystarczy...

— Ale szczodra — parsknął ktoś śmiechem.

Spośród grupy przysłuchujących się ludzi wystąpił siwawy mężczyzna:

— Pracowałem kiedyś w sądzie i wiem, że w takich wypadkach sąd przysądzał dziesięć procent.

— Nie chcę nic — mruknął Wojtek.

Przewoźnik jednym rzutem oka ocenił połataną kurtkę, wytartą czapkę, schodzone na amen buty Wojtka.

— Nie dorobiłeś się na wojnie, co? — powiedział nieoczekiwanie. — Czekać, ja się zajmę twoimi sprawami.

Ciekawi, którzy do tej pory przysłuchiwali się sprzeczce, rozeszli się, przewoźnik zaczął sprawnie odliczać „znalężne”.

— Nie zgadzam się! — krzyknęła histerycznie kobieta.

— To może pójdziemy na milicję? — zaproponował drwiąco przewoźnik. — Niech rozsądzą sprawiedliwie.

Młody człowiek znów jej coś szepnął do ucha. Kobieta powiedziała prędko:

— Ustępuję przed przemocą, ale to rozbój.

— Niech się panusia liczy ze słowami — powiedział gniewnie przewoźnik — bo to się może źle skończyć!

Młody człowiek w oficerkach wystąpił naprzód.

— Przepraszam, matka moja niepotrzebnie się upiera. Pan słusznie zdecydował. Proszę o portfel.

Niedbałym ruchem wsadził portfel do kieszeni, spojrzawszy przy tym z nie ukrywana pogardą na Wojtka.

Odeszli. Przewoźnik trzymał w garści odliczone pieniądze i patrzył w zamyśleniu na Wojtka, który zaczerwieniony i zakłopotany tarmosił w rękę swoją sfatygowaną czapkę.

— Słuchaj, chłopak, tyś mnie wczoraj prosił o pracę, tak?

— Tak.

— To ja cię, widzisz, dziś przyjmę. Będziesz zbierał pieniądze od pasażerów. Sam nie

mogę dać rady, a ten pomocnik, Jasiek, choć to mój syn... — machnął ręką i dokończył rozkazująco: — Dziś pójdziemy razem na bazar, kupisz sobie buty i ubranie, jutro o szóstej rano zgłosisz się do pracy.

I tak Wojtek został przewoźnikiem. Kisiel, właściciel łodzi, płacił dobrze. Praca nie była ciężka. Wojtek z zapalem uczył się wiosłowania, zbierał pieniądze od pasażerów. Piegowaty Jasiek początkowo dokuczał Wojtkowi, ale kiedy po pierwszej wypłacie Wojtek zafundował mu lody i torbę cukierków, chłopak się udobruchał.

— Te, wiesz — powiedział rozczulony — ja to przepadam za lodami, a ten mój stary piekielnie skąpy, każdego grosza żałuje. Tylko na niedzielę daje kilka złotych, a cały tydzień to, człowieku, tylko łapę lizać. Ot, pieska dola.

Przygodę z portfelem Wojtek niejedną raz przeżywał w myślach. Przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły i ciągle był w rozterce: czy dobrze zrobił, przyjmując „znalezne”? Stary Kisiel był człowiekiem sprawiedliwym, więc jeśli on tak postanowił... Ale czemu z taką pogardą patrzył na niego ten wyelegantowany synek? Czy dlatego, że oddał zgubę, czy że przyjął nagrodę za znalezienie? A może dlatego, że tak był biednie ubrany? Eleganckie oficerki lśniły uwodzicielsko we wspomnieniach Wojtka.

To był szczęśliwy traf. Jakże inaczej ułożyło się teraz życie. Wszystko poszło łatwiej. Po paru dniach Wojtek uroczyście wycucowany, ostrzyżony, wystrojony w nowy garnitur wybrał się na ulicę Rozbrat. Ktoś mu powiedział, że tam organizuje się nowa szkoła. Drżało w nim serce z niepokoju i lęku. Czy znowu odejdzie jak niepyszny spod drzwi i tej szkoły? Przewędrował już wszystkie kancelarie gimnazjów na Pradze. Prosił o przyjęcie do trzeciej klasy. Nie chcieli.

— Już niedługo koniec roku. Nie dopędzisz. Klasy przeładowane, brak miejsc. Świadectw nie masz. Idź na kursy wieczorowe.

Wszędzie go odpędzano mniej więcej tak samo. Ale on uparł się. Nie chce żadnych wieczorówek. Słyszał, że po wakacjach mają powstać szkoły wieczorowe — gimnazja i licea dla dorosłych. No, to byłoby coś innego. Ale jakieś tam wieczorówki, jakieś kursy. Nie! Sam nie wiedział, dlaczego miał uprzedzenie do tych kursów, wydawało mu się, że tam mniej gruntośnie i mniej starannie uczą, ot „po łebkach”. A on nie chciał takiej powierzchownej wiedzy. Pani Miłobędzka przekonywała go, że się myli, ale zapytał wtedy, dlaczego Ninka nie chodzi na kursy, przecie tak samo mogłaby zarabiać w dzień na utrzymanie. Popatrzyła na niego z przerażeniem i obejrzała się, czy Ninka nie słyszy. Myśl o pracy jedynaczki wydała się jej straszna. Lepiej wyprzedać się do ostatniej sukienki niż pozwolić na taką okropność.

— Ty jesteś silny i zdrowy — powiedziała cicho — a gdyby mój mąż wrócił, toby ci na pewno nie pozwolił pracować, ale by pomógł, byś się uczył. Młodzież powinna tylko się uczyć. Sam zresztą wiesz, że ona nie podolałaby temu...

— Przepraszam — szepnął.

Było mu bardzo nieswojo. Lepiej ugryźć się w język niż mówić bez zastanowienia. Po co robić przykrości dobrej i miłej pani Miłobędzkiej.

Poprzez rumowiska zwalonych domów i gruzów wiły się kręte ścieżki wydeptane przez tysiące nóg. Wojtek mijał leje bombowe zasypane wszelkiego rodzaju śmieciem, przepalonymi garnkami i skorupami porcelany, zardzewiałymi puszkami po konserwach i brudnymi strzępami książek. Wśród tego cmentarzyska wypalonych domów od czasu do czasu migotało czystym blaskiem oszklone okienko z pelargonią i skromniutką firaneczką z muślinu, dowodząc nieprawdopodobnej wprost rzeczy: w tych ruinach mieszkają i żyją ludzie. To znów ze szczytowej ściany jakiegoś mieszkalnego wraka sterczał ku niebu czarny walec osmalonej rury i niebieskawy dym snuł się leniwie ku pogodnemu niebu.

Wojtek z radością śledził te oznaki życia zburzonej stolicy. „Była, jest i będzie” — myślał wymijając ludzi, którzy zdążali ku przystani. „Przecie nikt nie zmuszał warszawiaków, aby wracali, każdy mógł się jakoś łatwiej urządzić gdzie indziej, a nie przychodzić na takie

niewygody, na takie trudy. Ile to lat i wysiłku trzeba będzie poświęcić, aby odbudować to sponiewierane, bohaterskie miasto?”

Po półgodzinnej wędrówce stanął przed ruinami szkoły. Część budynku była rozwalona aż po fundamenty, nad pozostałymi murami zwisały strzępy dachu i podzwaniały żałośnie cynkowe blachy. Tylko jedno skrzydło szkoły ocalało i nadawało się do remontu. Po ułożonych z cegieł stopniach wszedł do korytarza. Resztki terakoty jak wąski chodniczek prowadziły do jedynych w całym korytarzu drzwi. Zbliżył się i przeczytał: „Kancelaria szkoły czynna codziennie w godzinach od 10 do 12”. Wytrzeł nogi o słomianą wycieraczkę, zapukał. Usłyszał „proszę”, wszedł.

Przy małym stoliku, którego brakujące nogi zastępowały zbite na krzyż drewniane łąty, siedziała kobieta o dobrze już siwizną przyprószonych włosach. Nie przerywając podliczania długiej kolumny cyfr, lewą ręką wskazała mu wolne krzesło. Po chwili odłożyła ołówek i powiedziała, podnosząc głowę:

— Słucham.

Wojtek milczał zmieszany. Był pewien, że siedząca kobieta to staruszka, a tymczasem patrzyły na niego pełne życia oczy i na gładkiej, bez cienia zmarszczek twarzy błąkał się przyjazny uśmiech. Widząc jego zmieszanie, kobieta powtórzyła życzliwie:

— Proszę, w jakiej sprawie? O przyjęcie do szkoły?

— Tak — powiedział gorąco.

— Świadectwa z poprzednich szkół masz?

— Nie mam żadnych, nie mam nic, czego wymagają wszędzie. Żadnych metryk, nic!
— wykrzyknął z rozpaczą w głosie. — Ale chcę się uczyć!

Czarne oczy kobiety wpatrzyły się w niego przenikliwie.

— Nie masz nic — powtórzyła. — A uczyć się pragniesz.

— Bardzo.

— Do której klasy chciałbyś chodzić?

— Do trzeciej.

— Do mojej klasy — powiedziała półgłosem, jakby do siebie. — Opowiedz mi o sobie. Chodziłeś do szkoły w czasie okupacji? Mów wszystko szczerze. Chciałabym ci pomóc w dostaniu się do szkoły.

Wojtek zaczął opowiadać. O szkole na wsi, w której był pierwszym uczniem. Potem o swoich nieszczęsnych próbach podczas okupacji uczenia się z książek, które wpadły mu do rąk, kiedy jeszcze mieszkał na wsi z rodzicami. Wreszcie o „akademii” w „chatce na kurzej łapce”. O nauce na wsi po opuszczeniu poligonu. O profesorze z Warszawy rozstrzelanym przez hitlerowców.

— I teraz nie przerwałem nauki — zakończył — starałem się uczyć tego samego, co Ninka miała zadawane w szkole, choć trudno mi było, bo pracowałem całe dni. Ale ostatnio zmieniło mi się na lepsze, bo przyjął mnie na pomocnika przewoźnik. Pracuję od szóstej rano do dziewiątej, a potem przerwa i znów od trzeciej do szóstej wieczór.

— No cóż, spróbujemy — nauczycielka uśmiechnęła się życzliwie, a Wojtkowi wydało się, że kropla słońca kapnęła mu na serce — nie podołasz, odpadniesz. Ale wydaje się, że podołasz. Tacy jak ty nie cofają się z drogi. A gdzie są teraz rodzice?

— Na Mazurach. Ojciec objął ponemiecką gospodarkę. Niemcy wywieźli moich rodziców w czasie okupacji, rodzice tam pozostali po wojnie. Bo nasza rodzinna wieś zniszczona, budynki spalone albo rozbite, nie byłoby do czego wracać.

Dziwił się Wojtek sam sobie, że tak szczerze opowiada tej pierwszy raz spotkanej nauczycielce o swoich kłopotach i sprawach rodzinnych. Sam nie wiedział, czy sprawił to jej życzliwy uśmiech, czy to, że go tak bez trudu przyjęła do szkoły. „Moja klasa” — powiedziała, więc będzie tam wychowawczynią i pewno będzie uczyć. Cudownie. „Wszystko mi się jakoś pomyślnie układa” — pomyślał ucieszony.

Nauczycielka otworzyła gruby brulion i powiedziała:

— Lekcje rozpoczniemy z początkiem przyszłego tygodnia. Wcześniej nie zdążymy uporządkować klas. Niedługo zejdą się dziewczęta i chłopcy. Każdy robi, co może.

— A czy ja... nie przydałbym się do czegoś?

— Oczywiście, nawet bardzo, jeśli tylko masz ochotę. Ale nie w tym świątecznym ubraniu. Przebierz się w co masz najgorszego, bo tu czarna robota, brudna. Gruz i śmieci. Sam się przekonasz.

— Dobrze, pójdę się przebrać. Do której można pracować?

— Od rana do wieczora. Jestem tu cały dzień. Mieszkam na Mokotowie. Codziennie wędruję dwie godziny w jedną stronę. Przejazdy furmanką są bardzo kosztowne. Dziś chyba już nie zdążysz przyjść, lepiej jutro w przerwie swojej pracy. A teraz jeszcze cię zapiszę do kartoteki szkolnej.

Uszczęśliwiony, jakby mu kto skrzydła przypiął do ramion, przeskakując wyboje i kamienie, biegł Wojtek ku przystani.

— I co, konkury się udały? — przywitał go żartobliwie stary Kisiel, widząc jego rozradowanie i świąteczny strój.

— Udały, udały, jeszcze jak! — krzyknął zawadiacko i pochwycił wiosło.

II. Porządkowanie szkoły

— Mocniej kilofem, mocniej... Kilof to nie widelec, żeby nim dziobać jak naleśniki na talerzu — podkpiwał brunecik w oficerkach, patrząc złośliwie na Wojtka, który bezskutecznie usiłował rozbić kawał kolumny zaścielającej drogę do sali gimnastycznej.

Wojtkowi żyły nabrzmiały na skroniach, w spotniałych nagle dłoniach kilof zadygotał. Nie odezwał się. Nie chciał rozpoczynać zwady, udał, że nie słyszy, i odwrócił się. Przypomniał sobie eleganckiego brunecika, przypomniał scenę z pamiętnego dnia na przystani. Co za pech, że go tu właśnie musiał spotkać. Co on robi w tej szkole, skąd się wziął? Wojtek nikogo jeszcze nie znał oprócz pani Marii, nauczycielki, która go przyjmowała. Przyszedł do szkoły wcześniej, kiedy jeszcze nikogo prócz pani Marii nie było. Przyprowadziła go przed salę gimnastyczną i powiedziała:

— Oto nasze zadanie na dzisiaj. Musimy tu zrobić porządek. Może na razie uprzątaj drobny gruz, a jak przyjdą koledzy, weźmiecie się wspólnie do tej kolumny. Trzeba ją odsunąć gdzieś na bok, bo inaczej trudno będzie wynosić śmieci z sali.

Wywiózł dwie taczki gruzu, a że nie było jeszcze nikogo, zabrał się do kolumny. Chciał ją rozbić na drobniejsze kawałki, ale nie poddawała się. Wkrótce przyszedł ten w oficerkach. Plątał się po korytarzu, nic nie robiąc, podszedł później do Wojtka, nie powiedział nawet „dzień dobry”, tylko od razu zaczął podkpiwać. Wojtek milczał. Zdecydował się już zostawić tę kolumnę i wyjść na dziedziniec przed szkołę, kiedy w drzwiach usłyszał gwar, śmiech i do korytarza wbiegła grupa młodzieży.

— Popatrzcie, nowy! — krzyknęła jakaś dziewczyna.

— Ej, kolego, czekajcie, zaraz wam pomożemy — zawołał szczupły, śniady chłopak, podbiegając do Wojtka. — Cześć! — wyciągnął do niego rękę, uściśnął mocno. — Jestem Stach Okoń. Zapisaliście się do naszej budy? Poznajmy się. Która klasa?

Do oszołomionego Wojtka wyciągnęło się kilkanaście rąk.

— Trzecia klasa? No, to wspaniale, ja też zapisałem się do trzeciej. Tu wszystko trzeciaki, czwarta poszła dziś w delegacji o przydział szkła. Do samego prezydenta miasta —

informowali Wojtka jeden przez drugiego świeżo poznani koledzy.

— Świetnie, będę mógł szklić okna — powiedział Wojtek — praktykowałem u szklarza.

— Widzicie, jeszcze jeden kłopot spadnie z głowy pani Marii — ucieszył się Stach — a teraz bierzmy się za kolumnę.

Kilkanaście, ramion pochyliło się w zgodnym wysiłku. Młodziak w oficerkach stanął z boku w grupie dziewcząt i przyglądał się pracującym. Opowiadał widocznie coś zabawnego, bo dziewczęta co chwila wybuchały śmiechem. Ten śmiech jak różgi smagał Wojtka po plecach. Wiele by za to dał, aby słyszeć, o czym oni mówią. Nagle kolumna drgnęła, wykonała obrót.

— Pod okno ją, tam! — zawołał śniady chłopak. — Będzie nam służyła za ławkę!

Z wielkim trudem dopchnęli ją wreszcie na wyznaczone miejsce. Jedni przysiedli na parapecie okiennym, drudzy na kolumnie dla nabrania tchu i zaczęli pogawędkę. Żartowali, debatowali, skąd zdobyć ławki, ktoś się chwalił, że ma w domu dwie duże mapy Europy, więc przyniesie je w podarunku dla szkoły. Wojtek w milczeniu przysłuchiwał się tym wesołym pogawędkom. Obok niego usiadł Stach.

— Kto to jest ten w oficerkach? — zagadnął go Wojtek.

— Jurek Niwiński, też trzeciak. Dlaczego pytasz o niego?

— Bo wydaje mi się starszy od nas. Jakoś tak nie pasuje do naszej grupy.

— Racja — roześmiał się Stach — facet już ma przeszło dwadzieścia lat, ale wiesz przecie, jak to było w czasie okupacji, nie każdy miał możliwość się uczyć.

— Prawda — westchnął Wojtek — ja też właściwie powinienem być w czwartej.

— Koledzy, wracajmy do roboty — zawołała różowa blondynka o jasnych, niebieskich oczach — dość tego odpoczywania!

— Słusznie, bierzmy taczki i wiadra. Ej, leniuchy spod ściany, chodźcie na salę!

— Kto wymyśla nam od leniuchów? — zaprotestował Niwiński. — My tu ważne sprawy omawiamy.

— Rysiek — oznajmiła blondynka.

— Nieprawda, wcale tego nie mówiłem — krępy, śniady chłopak, trzymający dużą łopatę, zaczerwieniony z gniewu, zwrócił się do blondynki.

— Zaraz się poczubią — roześmiał się Stach.

— Kto się czubi, ten się lubi, prawda, Barbaro? — zapytał kokieteryjnie Niwiński.

Przekomarzając się i dogadując weszli na salę gimnastyczną. Okropny zaduch zatamował im na chwilę dech w piersiach. Wojtek spojrzał ku górze. Nawet wybite okna nie zdołały wywietrzyć tej wielkiej sali, zawalonej, może na metr wysoko, kawałkami tynku, cegieł, połamanymi ławkami, zanieczyszczonej różnymi odpadami, zbutwiałymi książkami i szmatami.

— Będziemy pracować przy jednych taczkach, dobrze? — zapytał Wojtka Stach Okoń.

— Dobrze. Tylko czy przypadkiem pod gruzami nie ma min? Lepiej, aby dziewczyny tu nie pracowały — powiedział Wojtek, rozglądając się uważnie.

— Budynek rozminowany, nie zauważyłeś napisu na murze od frontu?

— Widziałem! Ale niewypały lub porzucone granaty...

— Słuchajcie, koledzy, uważajcie, bo możemy jeszcze znaleźć bomby lub inne paskudztwo! — zawołał Stach. — Zaczniście sprzątać od drzwi, a my z Wojtkiem przejrzymy całą salę!

— Nie kiwajcie się od roboty! — zawołał Niwiński.

Wojtek poczerwieniał, ale Stach nie zwrócił na tę zaczepkę żadnej uwagi. Poszli w stronę mroczniejszego kąta w głębi sali.

— Widzisz — opowiadał Stach — tu było przed wojną męskie gimnazjum, teraz będzie koedukacja. Dyrektor jeszcze nie wrócił z niewoli, pani Maria to jego żona. Jak tylko przyszła z wygnania, sama zaczęła się kręcić, aby uruchomić szkołę. Odszukała niektórych rodziców

swoich przedwojennych uczniów, znalazła paru wychowanków, powiedziała do nich: „Pomóżcie. Władze szkolne aż się uginają od próśb różnych szkół i nauczycieli. My spróbujemy zorganizować szkołę własnymi siłami. Zgłosimy się z gotowym do władz.” Byli tacy, co z zapalem zgodzili się na to, inni krytykowali, że bez pomocy państwa nikt nie da rady. Przyszło paru nauczycieli, którzy tu przed wojną uczyli, przyjrzeni się, pokiwali głowami. Mowy nie ma, aby prędko można było ruszyć. I widzisz — zakończył z dumą — dobijamy do końca. Jeszcze parę dni i zaczną się lekcje.

— A nauczyciele przyjdą?

— Tak. Każdy z nich już ma, co prawda, inną posadę, ale obiecali pani Marii, że po parę godzin tygodniowo znajdą i dla swojej starej budy.

— Słuchaj, co ten Niwiński taki ważny?

Stach roześmiał się.

— Widzę, że nie masz dla niego sympatii. On tu chodził do pierwszej klasy przed wojną i dlatego pani Maria przyjęła go, choć taki stary. Zalażł ci za skórę? Nie przejmuj się nim, utrzymy mu nosa, kiedy zaczną się lekcje, taki ważny nie będzie.

— Bo ja — Wojtek zawahał się, rozejrzał, czy nikt nie słyszy — zetknąłem się z nim przed przyjściem do szkoły. To taka sprawa...

Stach spojrział na niego bystro i powiedział:

— Po skończonej robocie wyjdziemy razem, to mi opowiesz, o co chodzi. Gdzie mieszkasz?

— Na Saskiej Kępie.

— Ja na Czerniakowskiej. Kawalek pójdziemy razem.

Pochylali się ciągle nad rumowiskiem, Wojtek zgarniał łopata zwały śmieci, podnosił się w górę wapienny pył i drażnił płuca.

Ze wstrętem i mimowolnym lękiem Wojtek poruszył zbutwiałą kupę przekrwawionych bandaży i szmat. Coś dźwięknęło metalicznie, łopata znieruchomiła w rękach Wojtka. Stach pochylił się, spojrział i zawołał z ulgą:

— To tylko od erkaemu!

Po chwili wyciągnęli pas z nabojami, wynieśli go w kąt podwórza, gdzie leżały puste łuski po nabojach, odłamki bomb, potrzaskane lufy karabinów.

— Ty będziesz nasypywał do tacek, a ja będę wywoził — mówił Stach, kiedy wracali na salę. — Przyznam ci się, że mnie bardzo męczy ten kurz, a ty jak wytrzymujesz?

— Rzeczywiście, paskudztwo — potwierdził Wojtek — ale czemu nie polewa się wodą? Przecie wtedy nie byłoby kurzu.

— Z wodą niełatwa sprawa. Jest trochę deszczowej, ale potrzebna będzie do rozrobienia wapna do bielienia.

— Wiesz, nie żałujmy tej deszczówki, może napada świeżej, a wszystkim będzie lżej pracować.

Pomysł Wojtka przyszedł w samą porę, bo już kilka osób wycofało się na podwórze, reszta pracowała niemrawo, niechętnie.

Znalazła się jedna konewka i wiadro. Szybko spryskali całą salę. Wojtek zauważył z ulgą, że Niwiński gdzieś się ulotnił.

— Ze wszystkim niełatwo — rozgadał się Stach — żebyś ty wiedział, jaki kłopot był z wapnem! Pani Maria myślała, że wszystko rozbije się o brak wapna. Gdzie ona nie chodziła, kogo nie prosiła! Nic i nic. Wszyscy się starali, wszyscy przemyśliwali, całe dni tylko o wapnie każdy gadał. Aż któregoś dnia, kiedy zupełnie straciliśmy nadzieję, przychodzi Rysiek do pani Marii i mówi:

— Proszę pani, znalazłem zadołowane wapno, będzie tam z pięć metrów.

— A właściciela znalazłeś? — pyta go pani Maria.

— Zanim ja znajdę właściciela, to prywatna inicjatywa wyszabruje dół do ostatniego

ździebełeczka — mówi Rysiek — musimy się spieszyć z wapnem, a potem powolutku będziemy szukać właściciela. A i jemu łatwiej będzie wziąć odszkodowanie od władz państwowych niż szukać szabrowników.

Pani Maria jeszcze się wahała, ale myśmy sami zaraz zorganizowali przewóz.

— Skąd ty tak wszystko wiesz o tej szkole? — zdziwił się Wojtek.

— Mój ojciec był tu przed wojną woźnym, a teraz moja mama będzie woźną, tylko szkoła ruszy. Ja codziennie przychodzę, pomagam, ile się da.

— A gdzie twój ojciec?

— Rozstrzelali go w czterdziestym trzecim. Jestem tylko sam z mamą, bo siostrę wywieźli na roboty do Prus i nie wróciła. Pewno nie żyje.

Stach umilkł. Wojtek nie umiał znaleźć słów pocieszenia, więc zaczął z rozmachem rzucać śmieci na taczki.

— Powiedz no, skąd tyle tego? — zapytał po chwili. — Ściany całe, nawet drabinki ocalały, a gruzu, jakby się kamienica zawaliła.

— Bo i tak było. Do tej sali zwały się całe pierwsze piętro. Widziałeś, że dach nowy? Marszałkowska też robi się parterowa, a tam przed wojną były kamienice po parę pięter. Po cztery i pięć.

— Piękna sala, jak doprowadzimy ją do porządku, przyjemnie będzie przyjść i ćwiczyć.

— No — przytaknął z dumą Stach — na razie będzie to również świetlica i sala zebrań. Może i jakie przedstawienie kiedyś zorganizujemy...

Rozmawiali, nie przerywając ładowania śmieci na taczki. Były to przeważnie zbutwiałe książki.

— Ile tych zniszczonych książek! Szkoda — westchnął Wojtek. — Jak by się one teraz przydały!

— Na pierwszym piętrze mieściła się szkolna biblioteka — wyjaśnił Stach. — W czasie okupacji była tu szkoła zawodowa, w bibliotece były prawie same książki techniczne, bo inne Niemcy niszczyli.

— I technicznych szkoda.

— Ba, pewnie. A ty masz potrzebne podręczniki?

— Nie mam. Będę pożyczał od córki tej pani, u której mieszkam.

— To masz szczęście. Ja chyba będę pozostawał po lekcjach i przepisywał z książek kolegów. Nie masz pojęcia, jaki to kłopot biegać po mieście i pożyczać książki od znajomych. W niektórych szkołach nauczyciele dyktują zadaną lekcję i wszyscy uczą się z notatek.

— To wygodne.

— Wcale nie. Wolałbym mieć wszystkie książki potrzebne w szkole, a nawet więcej. Własna półka pełna książek... Własne książki... Mama znalazła taką jedną bez okładek, urwany początek i koniec. Czytałem ją z pięć razy. Ładna. Bohater Kim się nazywa. Nie wiesz, kto ją napisał?

— Nie.

— Podobno od nowego roku szkolnego będzie więcej książek, bo drukują nowe podręczniki.

— Skąd wiesz?

— Czytałem wczoraj w „Życiu Warszawy”. Za parę lat muszę mieć własną półkę pełną książek. Wszystkie w czerwonej oprawie, ze złożonymi brzegami.

— Trudno ci będzie kupować książki według okładek.

— Coś ty? Sam będę oprawiał w takie płótno, jakie mi się będzie podobało. Myślisz, że to taka sztuka oprawiać książki? Tylko szkoła ruszy, namówię panią Marię, aby zorganizowała kółko introligatorskie.

Łopata stuknęła twardo.

— Dobraliśmy się do posadzki! — zawołał z radością Stach. — Patrz, widać parkiet!

— My też, my też — odezwały się głosy z innych kątów sali. — A nie uszkodzony?

— Nie, są tylko zacieki.

— Pomyśl no tylko — perorował Stach — co to znaczy dębina. Tyle miesięcy moczył ją deszcz i śnieg, gryzło wapno, a ona nic, przetrwała. Oczyszczi się teraz, wyfroteruje i podłoga znów będzie jak złoto. Błyszcząca, równa, i do tańca, i do gimnastyki.

— Przydałoby się trochę farby olejnej do tych drabinek — powiedział Wojtek, bo jak Stach zaczął patrzeć gospodarskim okiem na swoją szkołę. — A niektóre są uszkodzone, trzeba naprawić.

— To zrobi ojciec Małgosi z drugiej klasy. Powiedział, że przyjdzie w pierwszą niedzielę po uprzątnięciu stąd gruzu.

— Zrobimy porządek do niedzieli?

— Ja myślę.

— E — zwątpił Wojtek — popatrz, ile osób zwało, niedługo to tylko my dwaj zostaniemy.

— To nic, przyjdą inni.

Rzeczywiście, wkrótce Wojtek zauważył wśród pracujących nowe twarze. Przeważnie starsi chłopcy, było też parę dziewcząt. Gruzubywało, sala stawała się coraz przestronniejsza, ogromniała, jakby ją poszerzał zapał pracujących.

— A przed szkołą zrobimy kwietnik. Zasiejemy dużo kwiatów... Pani Maria nam o tym mówiła. Wybrałbyś się ze mną w niedzielę na wieś do mojego wuja? On ma ogród w Chabówce, może uda się nam wycyganić od niego trochę nasion i cebulek?

— A jak tam dojedziemy?

— Może zabierze nas jaki wojskowy samochód.

— Mógłbym dopiero po dwunastej, bo do południa pracuję na Wiśle.

— Zrobione. Przyjdę do ciebie na przystań.

Stach wyjechał z sali z wyładowanymi taczkami. Wojtek, zgarniając śmieci, zauważył, że podłoga w jednym miejscu wypaczyła się w okrągły garb, jakby ją wypchnęła podskórna woda. Na „garbie”, w najwyższym jego punkcie, leżało jeszcze sporo gruzu. W Wojtku ocknął się stary partyzant. Zwiertzył niebezpieczeństwo. Przykucnął i ostrożnie zaczął badać podejrzaną wybrzuszenie podłogi. Spojrzał w górę, ku sufitowi, ale świeżo nałożony tynk zatarł ślady dawnych wydarzeń.

Wrócił Stach z pustymi taczkami.

— Wiesz, nie podoba mi się ten garb. Nie pamiętasz, czy w tym miejscu sufit był dziurawy?

— W ogóle prawie go nie było. Wisiały tylko druty i żelazne belki. A na ten garb położymy deskę i będziemy walić młotkami, może się wyrówna. Tylko najpierw trzeba jeszcze uprzątnąć resztę śmieci.

Stach chwycił za łopatę, ale Wojtek go powstrzymał.

— Daj spokój, tu może być bomba. Niewypał.

— Coś ty, mówiłem ci przecie, że sprawdzali minery.

— To nic. Ale minę łatwiej wykryć niż jakiś niewypał, który ugrzązał głęboko albo został przywalony taką kupą gruzu. Zresztą, poszukiwanie min w budynkach jest bardzo trudne i łatwo coś przeoczyć.

— Przecie jak gruz rąbnął na ten niewypał, to pewno on wybuchnął i wydał podłogę.

— To nie jest takie proste. A jeśli gruz zwałił się od poprzednich pocisków — Wojtek nie tyle starał się przekonać Stacha, ile poszukiwał uzasadnień dla swoich niejasnych podejrzeń — a potem w sam jego środek wpadła taka niewydarzona bomba i nie wybuchła? Patrz, tu widać takie okrągłe wgłębienie, jakbyś w ciasto wsadził palec.

— Rzeczywiście, ale jeśli wtedy nie wybuchł, to i teraz nie wybuchnie. Będziemy bardzo ostrożni.

— Z niewypałem nigdy nic nie wiadomo. Coś tam w środku mogło się zmienić, przedziewieć, czy ja wiem zresztą co, a teraz lekkie uderzenie czy nawet dotknięcie wystarczy, żeby trzasnął.

Posłyszeli tę rozmowę pracujący obok. Otoczyła ich grupka ciekawych. Rozgorzał spór. Jedni stanęli po stronie Wojtka, drudzy Stacha.

— Po co się spierać, odwalimy kilkanaście łopat, to się przekonamy — powiedziała jedna z dziewcząt — ja zaczynam.

Wojtek błyskawicznym ruchem wyrwał jej łopatę z rąk.

— Ty tchórze, ledwie przyszedłeś, już dezorganizujesz pracę — odezwał się tuż za nim gniewny i pełen oburzenia głos.

Wojtek poczerwieniał, ale się nawet nie odwrócił. Poznał głos Niwińskiego.

„Skąd on się znowu wziął, przecie nie widziałem go wśród pracujących — pomyślał tępo Wojtek. — Jeśli tu rzeczywiście nic nie ma... Przegram w ich oczach wszystko...”

— Wolę, abyście mnie nazywali tchórzem, niż aby tu była masakra. Zresztą... no tak... Wyjdźcie wszyscy na podwórze, a ja... z panem Niwińskim odwalę ten gruz... dla sprawdzenia...

— Przebrałem się — odpowiedział wyniośle Niwiński — bo na dziś skończyłem szarwark i dla twoich rozkazów nie będę znowu kładł roboczych łańców.

Wojtek spojrział na niego. Rzeczywiście, ubranie wygląda świeżo i czysto, jakby dopiero zdjęte z igły, cholewy oficerek błyszczą olśniewająco. Butów z całą pewnością nie zmienił, ale jak było z ubraniem? Co za pech, że przedtem nie zwrócił na to uwagi! I co mu odpowiedzieć?

Ale Niwiński nie czekał na odpowiedź.

— Chodźcie, koleżanki i koledzy — powiedział z czarującym uśmiechem — słuszne będzie, jeśli za to, że was przestraszył, sam uporządkuje ten teren. Niewiele tego, nie przepracuje się!

Dodał jeszcze coś, ale Wojtek nie dosłyszał. Głośny wybuch śmiechu skwitował, widać, jakiś udany dowcip Niwińskiego, który otoczony grupą kolegów opuszczał w triumfie salę.

Wojtek rozejrzał się niepewnie. Stach gdzieś zniknął, wkoło same nieznajome twarze. Przyglądają mu się krytycznie, trochę nawet szydęrczo.

Jakiś chłopiec, najwyżej dwunastoletni, podszedł do niego.

— Myślisz, że tam jest bomba?

— Czy ja wiem — wzruszył ramionami Wojtek — może jest, a może nie ma...

— U nas w podwórzu chłopaki znaleźli granat — powiedział chłopiec — chcieli go rozebrać... a ten jak nie huknie... Dwóch chłopaków na śmierć, a trzech poraniło. Akurat mama posłała mnie po sól, bo i ja pewno bym oberwał. Bawiłem się zawsze z nimi.

— Miałeś szczęście — zauważył Wojtek i dodał zniżając głos — powiedz, z czego oni tak się śmieli?

— A bo ten w oficerkach powiedział coś o wsi, ale nie dosłyszałem.

Wojtek przygryzł wargi. „Skąd on się domyślił, że ja jestem ze wsi? Mieszczuch parszywy.”

Sala opustoszała. Jeszcze się w jednym kącie kręca jakieś dziewczyny, przy nim zostało dwóch malców, a jednak wszyscy wolą być z dala, gdy on będzie odgrzebywał podejrzany garb. Przylecą, gdy nic nie znajdzie. Będą szydzić, dadzą mu szkołę.

„Odejść stąd... I więcej nie wrócić... I to zaraz. Kto mnie zmusza rozgrzebywać ten gruz? Zajmie mi to tyle czasu, że spóźnię się na przystań. I stary mnie przegoni. Gdy teraz odejdę, to nigdy nie wrócę... Trzeba jednak iść.”

Ale nie ruszył się z miejsca. Tamci są na dziedzińcu, Niwiński pewno czeka... A może on się domyślił, że pod garbem nic nie ma? Może lepiej się zna? Chodzi w oficerkach, pewno był w partyzantce? I wycofał się umyślnie, aby jemu, Wojtkowi, napędzić stracha?

— Idźcie, koledzy, na podwórze — powiedział miękko do chłopców — zawołam was, gdy sprawdzę, co i jak. Powiedzcie tamtym... nie, lepiej nic nie mówcie.

Został sam. Dziewczęta wyszły, nie zauważył nawet kiedy. Chwycił łopatę i z rozmachem podsadził pod gruz

— Wojtek, stój! Stój! — usłyszał przerażony głos od drzwi. To biegła pani Maria w towarzystwie Stacha.

— Tu? — zapytała trochę zadyszana. — Rzeczywiście to wygląda bardzo podejrzanie... Chodźmy... Zagrodźcie jakoś drzwi, aby nikt nie wchodził...

— Tam pewnie nic nie ma — powiedział Wojtek — niepotrzebnie wszystkich nastraszyłem.

— Lepszy nadmiar ostrożności niż ryzykanctwo. Chodźcie. Trzeba będzie zawiadomić wojsko...

Za drzwiami pani Maria zatrzymała się.

— Najlepiej od razu przybicie dwie deski na krzyż. O, tak, do futryny. Pamiętajcie, że tam teraz wchodzić nie wolno — zwróciła się do grupki uczniów — a tobie, Wojtku, bardzo dziękuję.

— W takim razie, co mamy robić? — zapytał ktoś z gromadki.

— Porządkujcie dziedziniec. A dopóki saperzy nie sprawdzą, nie wolno wchodzić do tej sali.

W kilkanaście minut potem Wojtek ze Stachem maszerowali przez hałdy gruzów ku ulicy Czerniakowskiej.

Wojtek opowiadał o swojej pracy u wioślarza. Stach wypytywał o szczegóły.

— Od dawna pracujesz na siebie?

— Od wyzwolenia. Teraz to mi dobrze, bo mam pracę i mogę się uczyć. Ale przedtem było ciężko. Diabelnie.

Zachmurzył się, bo znów mu się przypomniały utarczki z Niwińskim. Czy nie rozbijają się jego wszystkie plany o złośliwość i niezrozumiałą nienawiść tamtego? A właściwie skąd ta nienawiść? Za tamtą historię na przystani?

Stach zauważył jego sposępnienie. Wytłumaczył to sobie przykrością wspomnień.

— Czemu sam się szarpałeś? Nie mogłeś zwrócić się do związku, do organizacji?

— A co mi tam cudza pomoc — odpowiedział niechętnie. — Kto widzi potrzebującego? Gdyś syty i niczego nie żądasz, to cię widzą, a biednemu, ot co! — machnął ręką i umilkł.

— Mylisz się! — zawołał Stach. — My pomagamy, my idziemy gromadą, a w gromadzie zawsze lżej.

— Kto wy?

— Zetwuemowcy! Przyjdź do nas. Widzę, żeś swój chłop.

— Nie wiem — skrzywił się Wojtek — właściwie to ja chcę się tylko uczyć. Tyle mam zaległości... Gdzie mnie tam myśleć o pracy społecznej... o zebraniach, akcjach...

— Nie nalegam — zeszywniał Stach — przepraszam cię, że się tak wyrwałem. Żywot zetwuemowca nie jest lekki...

— Rzeczywiście, że się wyrwałeś — odciął się Wojtek. — A moje życie to lekkie? Trudów się nie boję. W partyzantce różnie bywało, ale nigdy po różach się nie szło.

— Byłeś w partyzantce? Gdzie? — z zachwytem wykrzyknął Stach. — Byłeś w partyzantce?

— Uhu — mruknął Wojtek rozbrojony jego zachwytem — na terenach przyłączonych do Rzeszy. Tuż obok Prus Wschodnich. Nawet zrobiliśmy raz wypad do Prus. Po broń.

— Opowiedz — szepnął błagalnie Stach.

— Dziś nie. Spieszę się na przystań. Szef mnie zruga, bo już się spóźniłem.

— A ja nie mogę cię odprowadzić, bo obiecałem matce pomóc przy praniu.

— To cześć!

— Cześć! — Stach wyciągnął podrapaną, niezbyt czystą rękę. Uścisnęli się serdecznie.
„Zdaje się, że znalazłem przyjaciela. Na nim będę się mógł oprzeć w mojej walce z Niwińskim” — pomyślał Wojtek i westchnął. Wolałby teraz spokojne życie, bo takie tylko sprzyja nauce. Niełatwo się uczyć, kiedy się ma kłopoty, nieprzyjemności i smutnienia.

III. Wyprawa po złote runo

Za oknem dziecięcymi głosikami i śmiechem dzwoniło podwórze. Gdzieś z górnych pięter rozlegał się głos kobiety, donośnie a piskliwie:

— Aaaaantoooś... Aaaaantoooś... chodźże na kolację, gdzie się włóczysz!

— Zaaaraaa... Idę! — odpiskiwało cienko z podwórza. Trwało tak już z kwadrans.

— Nie wytrzymam, pójdę, spiorę tego szczeniaka — zgrzytnął zębami Wojtek. — Czy można skupić myśli w takim harmiderze?

Ale nie wyszedł z mieszkania. Na korytarzu wybuchła znowu awantura. To szewcowa kłóciła się o sprzątanie z „rudą z gabinetu”... Tak liczni „dzicy” lokatorzy, którzy samowolnie wprowadzili się do mieszkania doktora Miłobędzkiego po ustąpieniu wojska, nazwali Celinę Bielicką, zamieszkującą wraz z mężem i dwiema córkami gabinet lekarski. Lokatorki kłóciły się często i zajadle: o sprzątanie przedpokoju, o mycie klatki schodowej, o tysiące przeróżnych a uciążliwych drobiazgów. Potem godziły się, rajcowały wspólnie na podwórzu i znów gniewały przy lada okazji. W tych bataliach słownych wodziły rej trzy Bielickie i Stasiakowa. Ani matka staruszka wiecznie zapracowanej maszynistki z magistratu, zajmująca dawny pokój Ninki, ani cicha żona robotnika z elektrowni, osiadła w poczekalni lekarskiej, nie wtrącały się do sporów i waśni kłótliwych sąsiadek. Tak samo mężczyźni unikali wtrącania się w „babskie sprawy”.

— Et, głupie babskie historie, jęzora szkoda strzepić — machał szewc trzymanym w rękę butem i robił oko do Bielickiego.

— Raczja, raczja — przytakiwał Bielicki — a przykaż pan szwojej, by się doktorowej nie czepiała, tak jak ja szwojej nakazałem.

Pani Miłobędzka z córką zyskały sympatię współlokatorów na tym wiecznie wrzącym wulkanie, jakim stało się teraz ich ciche dawniej mieszkanie. Wojtek sypiał we wnęce w kuchni. Było mu dość wygodnie i ciepło. Pani Miłobędzka przyrządzała tu posiłki, więc węgiel służył dwom celom jednocześnie — ogrzewał i gotował. „Dzicy” powstawiali do swoich pokojów „kozy” z cegieł, które były kuchniami i piecami jednocześnie, zastępującymi nieczynne kaloryfery.

Mimo że Wojtek zatkał mocno palcami uszy, trudno było skupić uwagę. Sąsiadki wylizwały sobie litanię przewinień głosami wzburzonymi, ochryplymi od gniewu. Naraz trzasnęły któreś drzwi i krzyki urwały się nagle.

„Bielicki zamknął swoją furię w pokoju” — ucieszył się Wojtek i zaczął spokojnie powtarzać koniugacje łącińskie. Głośne pukanie do drzwi przerwało mu pracę. Niechętnie podniósł głowę, znad książki.

— Proszę.

Wszedł Bielicki, niemłody, łysawy, z lekka utykający na nogę.

— Dobry wieczór, panie student, niech pan wejdzie do mego gabinetu, mam czoś dla pana.

Wojtek podniósł się z ociąganiem.

— No, niech pan idzie, proszę.

Gabinet stanowił przedziwną ni to rupieciarnię, ni to antykwariat. Wielobarwny stos przeróżnych ubrań leżał pod ścianą. Obok w nieładzie stały piękne kryształy, metalowe części jakichś przyrządów, talerze, garnki aluminiowe i oleodruki w ramkach. Wojtek zagapił się na to niezwykle bogactwo.

— Bogato, panie sztudent, czo? — zagadał Bielicki. — Ale patrz pan, to dla pana.

Na stole leżało kilka książek z wytłaczanymi złotem tytułami, oprawnych w zielone płótno. Wojtek chwycił je chciwymi rękoma.

— Adam Mickiewicz: *Pan Tadeusz*, Stefan Żeromski: *Ludzie bezdomni* — czytał jednym tchem. Rumieńce zabarwiły mu policzki.

— Ładne, panie sztudent, nie? — zachichotał Bielicki, rad z wrażenia. — Weź pan to wszystko. Żona przywiozła z Olsztyna. Kazała panu dać. Mówi do mnie: „Nam te książki na nicz, daj temu sztudentowi, grzeczny chłopak. Zawsze mi się kłania, z drogi usztepuje, a raz to mi dwie walizy wtaszczył na górę”.

Wojtek lekko gładził grzbiety książek, trochę zaskoczony, jak postąpić.

— Z Olsztyna? To ciekawe.

— Widzi pan sztudent, to niezupełnie z Olsztyna. Pod Olsztynem, będzie z piętnaście kilometrów, niedaleko takiej szpalonej wioszki leży w szopie parę tysięcy tego. Leży, mownie, ludzie palą na ogniskach, czo lepszy papier do tabaki biorą, papieroszy szkręcąją.

— O Boże — jęknął ze zgrozą Wojtek — a czemu władze się tym nie zajmą?

— Władze? — roześmiał się Bielicki. — Panie, oni nie wiedzą, czo wpierv do rąk łapać, to pilne, a tamto jeszcze pilniejsze. Roboty huk, a ludzi mało...

— Czy zawiadomił kto? Może nie wiedzą o tym?

— Może i nie wiedzą — zgodził się Bielicki — my tam jedziem za szwoimi intereszami, wolimy się z władzami nie szpotykać.

„Na szaber — uzupełnił w myślach Wojtek. — Kiedyż się skończy ten wojenny rozgardiasz? Jedni ze skóry wyłazą, aby odbudować państwową gospodarke, kolejarze dziesiąty pot leją, aby ruszyły zdewastowane pociągi... I po co? By takie oto zdemoralizowane typy, odpryski wojny, jak powiedziała pani Maria, jeździły na rabunek. Tak, ale tymi samymi pociągami jadą polscy robotnicy i osadnicy na odzyskane ziemie. A to zło chyba wkrótce się skończy...”

— Szkończy się niedługo nasz szaberek — powiedział Bielicki, jakby odczytał myśli Wojtka — miliczja łapie, odbiera, kary piszą, do mamra pakują. Do uczciwej pracy każą się brać. Ja to bym już dawno z tym szkończył, ale żona, panie... Może miliczja jej rozumu napędzi. Sztolarz meblowy, panie, jesztem, na czo mi to...

— Panie Bielicki, czy pan wie dokładnie, gdzie znajdują się te książki?

— Ja nie, ale ona wie. Jeszcze panu czoś pokażę. Takie karty pizane czudacznym pizmem... z malunkami... a papier też czudaczny. Ani go rozedrzeć, jak skóra.

Bielicki wyciągnął z kąta niewielki pakuneczek, rozwinął, wyjął ze środka kryształową karafkę, odstawił ją na stertę talerzy. Potem wygładził ręką papier, w który zawinięta była karafka, podał go Wojtkowi.

Wojtek spojrział na gęste ostrołukowe linijki liter. Średniowieczny gotyk! Przepiękny inicjał litery B, rozpoczynającej tekst, oplecionej girlandą kwiatów o złotych płatkach.

— To, panie Bielicki, pergamin. I bardzo stare pismo... Może z piętnastego, a może z szesnastego wieku... Ręcznie pisane... to chyba wiek piętnasty, a może nawet wcześniej, jeszcze wtedy, kiedy nie znano druku... Pisał jakiś mnich w klasztornej celi... a teraz ludzie używają do owijania talerzyków i karafek...

Bielicki nie odczuł wyrzutu w słowach Wojtka, a może nie zrozumiał, bo spokojnie zabrał z rąk jego kartkę, przyjrzał się uważnie i powiedział, oddając mu:

— Weź pan, bo moja sztara szpali to w kozie. A może się panu przydać. Że dwa wagonny jest tam tych książek. Każdy bierze trochę z wierzchu, ile mu trzeba, i ucieka. Książki liche interesz.

Wojtek wrócił zamyślony do swojej kuchenki. Trzeba powiedzieć o tym Stachowi... i pani Marii. Tyle książek! A tu są tak potrzebne!

W ścisku i zaduchu nie domytych ciał dojechali do Nasielska. Tu naprawiano tory i trzeba było poprzez kałuże, błota i rozmiękłe pola dobrnąć do oddalonej o kilka kilometrów stacji, by stamtąd przy szczęśliwej okazji pojechać dalej. Pociągi chodziły nieregularnie, przeznaczone wyłącznie dla celów wojskowych, i zależnie od potrzeb wojska. Ludność cywilna dniami całymi czatowała na możliwość dostania się do wagonów naładowanych węglem lub pontonami. Konwojenci pociągów przez palce patrzyli na te wykroczenia. Nie dopuszczali tylko nikogo na stopnie wagonów załadowanych amunicją i do cystern z benzyną i naftą. Czasem doczepiano bezpłatny pusty wagon z tyłu dla ludności cywilnej. Wiadomo, wracali niektórzy z wojny, inni znów z wygnania, inni z niewoli, trzeba im było pomóc w tej odysejskiej wędrówce do ojczystych gniazd.

Pani Maria, Wojtek i Stach, ze związanymi w nieduże tobołki pustymi workami, z zapasami kaszy, solonej słoniny i chleba w teczkach, gubili się w tym szarym tłumie, ciągnącym uparcie przed siebie. Po długiej naradzie, którą odbyli w szkole, zdecydowali, że najpierw sprawdzą, czy rzeczywiście istnieje ta szopa z księgozbiorem, a potem rozważą, co czynić dalej. Wojtek nazwał ich wyjazd „wyprawą po złote runo”. Po wielu godzinach cierpliwego wyczekiwania udało im się „zdobyć” przedni pomost towarowego wagonu. Dziesięć osób stłoczyło się na nim w nieprawdopodobnym ścisku, wisząc niemal nad żelazną barierką.

— Czy długo tak wytrzymamy? — jęknął ktoś.

— Dopóki nas na którejś stacji nie spędzą stąd — wyjaśnił jakiś kpiący głos. — Czasem się uda przejechać i pięćdziesiąt kilometrów, a czasem wyganiają już po dziesięciu. Jeśli konwojent otrzymał rozkaz szybszej jazdy, to się nie patyczkują z cywilami.

Chłodna noc wiosenna dawała się ostro we znaki. Przymrozek wspomagany wiatrem smagał twarze i przenikliwie wdierał się pod ubrania. Wszystkim było zimno i niewygodnie, milkły rozmowy, bo wiatr wpychał do ust słowa, chwilami po prostu dusił. Po kilku godzinach powolnej jazdy, z ciągłymi przystankami, pociąg zatrzymał się na dobre na jakiejś małej stacyjce. Tory były zapchane nie kończącymi się sznurami wagonów. Kazano im wysiąść i oddalić się od stacji. Poszli ku uśpionej wsi. „Konopki” — przeczytał Stach na drogowskazie. Kundle wiejskie przyjeły ich zgodnym jazgotem. Chaty pozostały jednak nadal ciemne i nie-me.

Tylko w jednym dalekim okienku pełgało niepewnie nikłe światelko. Szli tam utrudzeni, senni, przemarznięci do szpiku kości. Zapukali z odrobiną nadziei. Gospodyni, snadź przyzwyczajona do tego rodzaju nocnych wizyt, wpuściła ich bez wahania, przykazując tylko półgłosem:

— Wejdźcie do tej izby i nie hałasujcie, bo dziecko mam chore. Mąż wam zaraz przyniesie słomy, to prześpicie jako tako do rana.

Była to, jak się okazało później, najwygodniejsza noc w podróży. Udręki rozpoczęły się od rana. Żaden pociąg nie zatrzymywał się na stacji, ruszyli więc dalej pieszo. I odtąd więcej maszerowali, niż jechali. Czasem podwiozł ich parę kilometrów jakiś samochód, czasem furgon wojskowy. Żołnierze zresztą niechętnie zabierali cywilnych podróżników. Okolice wciąż jeszcze dyszały oparami wojny, kryły się w bliskich lasach niedobitki armii hitlerowskiej, szpiedzy, dywersanci. Wojtek przypomniał sobie ciężką wędrówkę do rodziców na Mazury. A to przecie tak niedawno, parę tygodni temu. Wzięto go za szpiega i omal życia nie postradał. Cudem się wywinął. Co prawda wrzała wtedy tutaj wojna, a on szedł zaraz za pierwszą linią, tak go gnała tęsknota i niepokój. Zastał rodzinę całą i zdrową, wrócił więc spokojnie do Warszawy. Ojciec nie zatrzymywał go, choć pewnie przydałyby się i jego ręce do pracy na roli. Powiedział tylko: „Pragniesz się uczyć, idź, zdobywaj naukę. Ale na mnie nie licz. Widzisz, co zostało z tutejszego gospodarstwa: ruiny i ziemia. Od nowa trza się będzie do

wszystkiego brać. A najtrudniejsze to będzie zdobyć konia i krowę. Szczęście, że trochę ziarna zdołał w porę schować i zadołować kartofle. Głód nas nie zje.”

Wojtek z niepokojem śledził każdy zakręt drogi i załom lasu. Ale widział, że na tej ziemi, sponiewieranej przez wojnę, rodzi się nowy ład. Szosy były uprzątnięte, wskaźniki na drogach informowały o miejscowościach i odległościach, powoli zaludniały się osiedla. Wracali autochtoni tej ziemi, Mazurzy, i przyjeżdżali osadnicy. Niektóre wioski zorganizowały samoobronę przed dywersantami i bandytami. W gromadzie można było żyć, tylko samotny człowiek przepadał bez śladu i echa. Nasłuchali się po drodze różnych historii. Pani Maria puszczała te niesamowite opowieści mimo uszu i śmiejąc się, mówiła niedbale:

— Opowiadacie, że zaginał? Ot, bajka. Na pewno przeniósł się po cichu w inne strony. Za trudno tu mu było, za wiele pracy, więc zląkł się i zwiął.

Stacha ten beztrouski śmiech mamił i uspokajał. Nie lękał się niczego i lekceważąco przyjmował przestrogi Wojtka.

— Wypchaj się ze swoimi strachami. Wykombinuj coś lepszego do jedzenia. Już mi ten kartkowiec zbrzydł na amen. Brr, tak samo jak twoje krakanie. Dobrze jeszcze, że pani Maria tego nie słyszy.

— Masz twardą łepetynę. Ale z czasem moje argumenty też dotrą do ciebie. To tak jak z kamieniem: walisz, walisz i nic, ale wreszcie i kamień rozłupiesz... Raz cię przekonałem...

— Myślisz o tej bombie w szkole? To ci się rzeczywiście udało. Przecie gdybyś machnął jeszcze ze trzy razy łopata, byłibyśmy pewno wszyscy frunęli do nieba. Całe szczęście, że pani Maria ci uwierzyła. Wtedy cię twój partyzancki nos nie zawiódł.

— I teraz nie zawodzi. Byłem tu zresztą parę tygodni temu, pamiętasz, co ci opowiadałem. Wiem, czym te strony pachną. Szkoda, że pani Maria teraz mi nie wierzy.

— To po cóżeś laźł w tę kabałę i nas ciągnął?

— A kto najgłośniej krzyczał, że tylu ksiązek nie wolno zmarnować? Kto głosował za wyprawą po złote runo?

— I nie cofam tego. Ale byłbym odradzał pani Marii i tobie. I pojechałbym z zetwue-mowcami i wojskiem.

— Wojsko ma teraz inne kłopoty na głowie. A twoi zetwue-mowcy to takie same chłopa-ki jak my.

— To prawda. A my nie mamy żadnych kłopotów. I włos z głowy nam nie spadnie, jak do tej pory nie spadł. Szabrownicy umyślnie straszą, aby im tchórze nie przeszkadzali i nie pomagali w rabunku. A do odważnych świat należy.

Wobec zdecydowanej beztrouski obojga Wojtek cały ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo wziął na siebie. Noclegi starał się organizować w miejscach zabezpieczonych od niespodziewanej napaści, a jednocześnie przydatnych do obrony czy przymusowego odwrotu. Gromadził, ku uciesze pani Marii i Stacha, środki obronne: kamienie, kawały żelaza, a gdy się udało znaleźć jakiś porzucony karabin, to cieszył się niewypowiedzianie. Niestety, broni nie można było z sobą zabierać, bo narazić to mogło na nieprzyjemności przy spotkaniu z oddziałami wojskowymi.

Wreszcie dobrnęli do spalonej wsi, gdzie miał się znajdować księgozbiór.

— Ta pergaminowa kartka z Ewangelii spać mi nie daje — marzyła głośno pani Maria. — A może nam się uda odnaleźć jakiś zbiór starych druków? Wszyscy są przekonani, że Niemcy spalili Bibliotekę Zamoyskich i Krasieńskich, a my nagle znajdujemy księgozbiór! Pomyślcie, co to byłoby za święto dla kultury polskiej!

— Za nasz trud chyba dostaniemy po parę ksiązek, prawda? — pytał Stach. — Tak marzyłem o własnej półce z ksiązkami i czuję, że będę ją miał.

— Oto i ciebie poraził bacillus szabrownikus — roześmiała się pani Maria. — Jeżeli ksiązki będą miały pieczęcie jakiejś biblioteki, będziemy musieli je oddać prawowitemu właścicielowi.

— O raju! — jęknął Stach. „Niby to i słuszne, co pani Maria mówi — myślał — ale taki wysiłek za darmo, dla kogoś, kogo się nawet nie zna jeszcze?”

— Wojtek, te twoje książki miały stempelki właściciela? — Stach był szczerze zmartwiony.

— Miały — spokojnie odpowiedział Wojtek — na pierwszej, piętnastej i ostatniej stronie było odbite tuszem: „Z księgozbioru A. Kowalskich”.

— Kowalskich nietrudno nam będzie znaleźć — zakpił Stach — jak ogłosimy, to pewno parę tysięcy właścicieli do nas przyleci.

Mijali spaloną wieś. Śniegi i deszcze rozmyły już popieliska, tylko szerniały obeliski kominów i poszczerbione prostokąty murów żałośnie odbijały się w kałużach i bajorach, w lejach po bombach i pociskach. Zardzewiałe zęby maszyn rolniczych i kikuty uszkodzonych wozów wyzierały przez otwarte wierzeje stodół. Nabrzmiałe wiosennymi pąkami drzewa stały w bezruchu spokojnego, bezwietrznego popołudnia. Szli szybko szeroką drogą ku szopie, która według opisu Bielickiej znajdowała się na przeciwnym krańcu wsi nie opodal cementarza. Z autostrady należało skręcić na lewo w aleję wysadzoną młodymi topolami. Trudno się pomylić, bo czerwony dach szopy podobno widać dobrze z daleka. Ale równej linii horyzontu nie przecinała żadna plama zabudowań. Gdzieś na styku nieba z ziemią niebieszczyła się wąska tasiemka lasu, poza tym — szara pustka bezbrzeżnych pól.

— Chyba zbłądziliśmy — przerwał zdumione milczenie trojga niespokojny głos Stacha.

Przystanęli. Wojtek wyciągnął z kieszeni niezdarnie nagryzmołony według wskazówek Bielickiej plan sytuacyjny. Chwilę porównywał poszczególne znaki.

— To jednak tu — odrzekł po chwili — tylko że tej szopy nie widać...

— Podejźmy bliżej, przekonamy się — powiedziała pani Maria.

Po kilkuset krokach zagadka wyjaśniła się nieoczekiwanie. Szopa była spalona. Ciemny stożek popiołu dymił jeszcze z lekka. Wiatr podrywał płatki spalonego papieru. Wirowały nad pogorzeliem jak czarne motyle. Gdy podeszli bliżej, ogrom zniszczenia uwidocznił się w całej pełni. Spod osmalonych, zwęglonych belek wyzierały grzbiety równo poukładanych tomów, niektóre z widoczną jeszcze numeracją. Szara powłoka popiołu pokrywała wszystko zwiewnym puchem.

— A niech to szlag — zaklął Stach i splunął.

— Może od spodu coś ocalało — powiedział cicho Wojtek.

— Może — jak echo powtórzyła pani Maria.

— To zalejmy ten żar wodą — zakreślił się Stach w poszukiwaniu naczynia i wody.

— Stój, wariacie — rozgniewał się Wojtek — chcesz zniszczyć resztę, jeśli ocalała? Trzeba sypać ziemię i piasek. Pójdę do wsi, poszukam łopat.

Znalazł widły, łopatę z ułamanym trzonkiem, pokrywę od kotła, z której za pomocą kamienia zrobili łopatę. W czasie poszukiwania zobaczył na werandzie jednego mniej zniszczonego domu kilka porzuconych granatów. Namyslał się chwilę, czy zabrać je ze sobą, ale zrezygnował. Pani Maria będzie się denerwować, a ukryć to przed nią — głupio.

Pracowali bez wytchnienia do zmierzchu. Do wnętrza pogorzeliiska nie dotarli. Pani Maria nie pozwoliła chłopcom wchodzić na zasypane zarzewie. Obawiała się, że płomień, który przygasł, może przy poruszaniu wybuchnąć i poparzyć śmiałka. Lepiej zaczekać do rana.

Opamiętali się w pracy, kiedy z wysiłku nabrzmiały mięśnie i szybko kładąca się na świat ciemność nocy uwidoczniła nad szopą światło pożogi. Ogień, niewidoczny w dzień, różowił się teraz nikłym blaskiem nad pogorzeliem jak nad kraterem wulkanu.

— I co, Wojtku, tak się zagalopowałeś w pracy, że nie pomyślałeś o bezpiecznym noclegu — roześmiała się pani Maria.

— Myślę, że tu jakoś przebijemy. Oby tylko nie było tak zimno jak poprzedniej nocy.

— Zrobimy duże ognisko. Będzie raźniej na tym bezludziu, no i cieplej.

— Jeszcze sobie na kark ściagniemy jakich nieproszonych gości...

— Szabrowników nie było widać, to może i innych nie ma — wtrącił Stach.

— Sądzisz, że bandyci kręcą się przy szabrownikach jak szakale przy padlinie — powiedziała w zamyśleniu pani Maria. — Może się nie mylisz. Szopę jednak ktoś podpalił... I to pewnie wczoraj lub przedwczoraj...

Z nie spalonych całkowicie belek wzniecili potężne ognisko, ugotowali kaszy ze słoniną, naparzyli kawy zbożowej. Chłopcy nie mogli przeboleć straty książek.

— Gdybyśmy się pospieszyli chociaż o jeden dzień, może byśmy zdążyli na czas. Kto to mógł zrobić?

— Albo dywersanci niemieccy, albo jakiś szabrownik — powiedziała pani Maria.

— Polak niszczyłby polskie książki? Po co?

— Przez nieostrożność lub głupotę. Widzicie zresztą, chłopcy, sami nieraz mieliście okazję to zaobserwować, wojna wyzwała w człowieku najgorsze instynkty. Żądę niszczenia i rabowania. Niestety te wojenne opary nie wywietrzały z wielu ludzi. Niemało lat pracy trzeba będzie, nim się odbuduje dusze ludzkie, może więcej niż na usunięcie zniszczeń materialnych. A świadomość bezkarności za popełnione występki w dużym stopniu przyczynia się do szkód, jakie są na porządku dziennym. Prawo i władza nie wszędzie już zdążyły dotrzeć, a elementy przestępcze dotarły. Wieś wygląda na niedawno spaloną, chyba po ustaniu działań wojennych.

Długo jeszcze rozmawiali, aż wreszcie Wojtek zdecydował:

— Pani i Stach pójdą teraz spać. Ja będę czuwał do pierwszej, potem ty, Stachu, do świtu. Dochodzi siódma.

Byli bardzo zmęczeni. Wojtek miał wielką ochotę przespać się, ale wolał odstąpić pierwszeństwo odpoczynku koledze. Pierwsze godziny nocy są najbardziej niebezpieczne, lepiej, gdy sam będzie czuwać.

— A ja kiedy? — zapytała pani Maria.

— Pani będzie odpoczywać cały czas.

— Dlaczego mnie wyklucasz z obowiązków? — oburzyła się pani Maria.

— Bo pani jest kobietą i słabszą od nas.

— Może gorzej się spisuję? Gorzej pracuję?

— Lepiej — zaprotestowali jednocześnie — i właśnie dlatego należy się pani dłuższy odpoczynek.

— Jestem przegłosowana — roześmiała się pani Maria — więc muszę ustąpić. Co za wspaniałe materace przygotowaliście dzisiaj?

Mile ich pogłaskała ta pochwała. To Wojtek namówił Stacha, by worki wypchać zeschłą trawą i drobnymi gałązkami. Blisko ogniska było ciepło. Pani Maria położyła się wygodnie i natychmiast zasnęła. Stach rozłożył swój worek obok Wojtka.

— Kładź się i ty — powiedział ziewając — tak tu cicho, możemy być spokojni, nikt nie przyjdzie.

— Nasze ognisko widać z daleka.

— A tam na horyzoncie też widać jakąś łunę — odpowiedział Stach — chyba się pali coś większego.

— Tym bardziej trzeba czuwać.

— Niech cię tam, ustępuję.

— Dobranoc.

Tego Stach pewnie nie dosłyszał, bo od razu zachrapał. Wojtek objął rękoma kolana i zapatrzył się w ognisko. Paliło się równo, dając dużo żaru i ciepła, a mało dymu. Od czasu do czasu podrzucał parę szczapek ze zwęglonych belek. Przypomniawszy mu się obóz partyzancki na wysepce wśród jeziora, potem wrócił myślami do wydarzeń szkolnych. Klasa wyraźnie

podzieliła się na dwie grupy. Jedni opowiadali się po stronie jego, Wojtka, i Stacha, drudzy po stronie Niwińskiego. Niestety, Niwiński miał za sobą większość.

„Umie trzymać przy sobie zręcznym słówkiem, groźbą, pochlebstwem. Jednym imponuje forsa, drugim swoją partyzancką przeszłością” — Wojtek już chyba po raz setny rozważał przyczyny popularności Niwińskiego. „A właściwie to on demoralizuje klasę. Cała jego kompania pali papierosy, kto wie, może nawet i piją, bo kiedyś od Niwińskiego czuć było wódkę. Powiedzieć pani Marii? Nazwą mnie skarżypyłą. A on i tak ciągle szuka zaczepki, przecie dwa razy próbował wywołać bójkę. Jak to on mnie nazywa? «Czerwony flisak», «Bosy Jędrus». Mnie, a nie Stacha, uważa za przywódcę wrogiej mu grupy. W samą porę przyszła ta «wyprawa po złote runo», bo w klasie sytuacja była bardzo naprężona. Ale do rozgrywki i tak przyjść musi. Poradzić się kogoś starszego?”

Nie bardzo mu się uśmiechała ta myśl. Gdyby tak odnaleźć wuja Marcina lub porucznika, im bez obawy zwierzyłyby się ze swoich zmartwień.

Tak go rozstroiły te rozmyślenia, że senność całkiem odeszła. Wuj Marcin, porucznik, sympatyczny Piorun... Czy ich spotka jeszcze kiedy w życiu? Spojrzał na zegarek. Dochodzi druga, czas, aby Stach zastąpił go w czuwaniu.

Niełatwo było rozbudzić kolegę, dopiero parę kuksańców doprowadziło go do jakiejś takiej przytomności. Przykazał mu surowo, aby nie usnął, i sam ułożył się na miejscu Stacha. Zapadł od razu w twarde, ciężki sen. Jakieś dręczące, niespokojne zjawy zaczęły go męczyć, jęczał, odpychał coś od siebie i starał się zrzucić z piersi okropną zmore, która go dusiła. I nagle ocknął się gwałtownie i zaraz oprzytomniał, jakby go kto zanurzył w wiadrze wody. To Stach krzyczał przeraźliwie, szarpiąc się z jakimiś ciemnymi postaciami. Tę scenę Wojtek zobaczył w jednym mgnieniu oka, próbował zerwać się na pomoc, ale i na niego zwałił się drab, chwytając go za obie ręce. Wojtek zwinął się, odepchnął silnie kolanami, kopnął napastnika w brzuch. Ten puścił jego ręce. Wojtek zerwał się błyskawicznie i skoczył w pole między krzewy. Usłyszał niemieckie przekleństwa i tupot goniących. Posypały się za nim kamienie. Wojtek gnał zapamiętale, bezwiednie kierując się w stronę cmentarza. Nim dobiegł do furty cmentarnej, zorientował się, że nikt go nie goni. Stał z zbierając rozpierzchłe myśli i oddychając głęboko. Krew w skroniach waliła, serce niemal podchodziło do gardła.

„Kto nas napadł i po co? Szabrownicy? Jeśli nas obserwowali w dzień, to z pewnością widzieli, że nie mamy żadnych łupów. Nie, to nie szabrownicy! A więc kto?” Nagle Wojtek przypomniał sobie niemieckie przekleństwa i krew w nim stężała. Wydało mu się, że nogi wrosły w ziemię. Poczul zimny pot na skroniach.

„Hitlerowcy! Dywersanci niemieccy! Uciekać!” — podsunęła usłudźnie trwoga ścisnąca gardło tak, że nie mógł przełknąć śliny. „Uciekać! I szukać pomocy... Zawiadomić wojsko... Tylko wojsko może dać im radę... Oddziały wojska stacjonują w Olsztynie... A to tak daleko... Choćbym biegł jak w maratonie, mogę nie zdążyć. Aby zabić człowieka, wystarczy przecie jedna chwila. Ja tu się zastanawiam, waham, a może oni już... Trzeba sprawdzić... Podejść tam... A jeśli hitlerowcy gdzieś zaczęli się na mnie? Strzelą, kiedy podejdem bliżej? Przecie nie strzelali, kiedy uciekałem, a mogli mnie wtedy łatwo trafić. Widocznie nie chcą strzelać, robić hałasu, a może nie mogą? Nie strzelają, to ważne. A dogonić się nie dam.”

Ta myśl uspokoiła go trochę, wróciła sprawność ruchów. Ukląkł i przytknął ucho do ziemi. Cisza. Znalazł w ciemności dwa kamienie i tak uzbrojony ruszył w stronę migocącego słabym blaskiem ogniska. Zatrzymywał się co parę kroków, nasłuchiwał, łowił najlżejszy szelest. Zamierał na chwilę w bezruchu, kiedy jakiś krzak czy kamień wydawał mu się zaczajonym człowiekiem. Wkrótce w blasku ognia zobaczył majaczące sylwetki i usłyszał krzyki. Skóra na nim ścierpła.

„Mordują ich — pomyślał z przerażeniem — a mnie też mogą zauważyć, jeśli podejdem jeszcze parę kroków.” Położył się na ugór i zaczął czołgać. Właściwie nie wiedział po co. Cóż on sam, bezbronny wobec kilku uzbrojonych drabów? Krzyki umilkły nagle. Zaniepokoiło go

to jeszcze bardziej. Zaczął pełznąć szybciej, już całkiem bezbronny, bo kamienie bardzo mu przeszkadzały i musiał je zostawić. Gdy doczołgał się prawie do samego ogniska, zobaczył, że nikogo nie ma. Zdeptane worki, przewrócony garnek z kaszą, plecak Staśka.

„Nie zamordowali ich, tylko uprowadzili z sobą. Oto tak ludzie giną bez śladu. Wykończą ich gdzieś w lesie — pomyślał zgnębiony. — Co teraz robić? Gdzie ich szukać? Pewno przez spaloną wieś poszli do lasu. Jest jeszcze noc, więc swobodnie mogą poruszać się wszędzie.”

Wyszedł na topolową aleję. Posuwał się dość szybko skrajem drogi tuż obok topoli po wydeptanej ścieżce. Obliczał, że mogą się znajdować o kilkadziesiąt kroków przed nim. „A jeśli poszli w inną stronę?” Zaniepokojony przyspieszył kroku. Aleja się kończy, na szosie łatwiej będzie spostrzec idących. Biała plama na asfalcie. Dopadł jej jednym susem. Chusteczka pani Marii obszyta ząbeczkami. To znak dla niego. Pani Maria wierzy, że Wojtek ich nie opuści.

— Nie omyliłem się — szepnął z ulgą.

Wkrótce zobaczył ich i nawet usłyszał głosy. Widocznie napastnicy czuli się bardzo pewnie i bezpiecznie, bo śmieli się głośno i rozmawiali. Rozróżniał pojedyncze niemieckie słowa, ale nie mógł się zorientować, o czym mówią. Szedł za nimi bez obawy, że usłyszą jego kroki, tylko starał się zachować odpowiednią odległość. Chwilami tracił ich z oczu, ale nie martwił się tym. Umysł pracował gorączkowo nad znalezieniem drogi ratunku.

„Dopóki ręce mam wolne, nie mogę dopuścić, aby ich zamordowali. Podkraść się do nich na odległość wyciągniętej ręki i wyrwać idącemu z tyłu broń? Ba, gdybym ja wiedział, jaką on ma broń? A może nie ma jej wcale? Zdzielić go w łeb łomem żelaznym albo jakim sękatym kijem? W dzień byłoby łatwo znaleźć coś odpowiedniego w spalonej wsi, ale teraz... Gdybym miał niezawodny rewolwer porucznika jak wtedy na poligonie...”

Mijał pierwsze ruiny spalonej wsi. Spojrzał w ślepe oczodoły okien. Jakież one są przerażające w tę straszną noc! Wejść teraz w te ruiny, aby poszukać czegoś odpowiedniego? Za nic!

Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Nie mówił o tym pani Marii ani Stachowi, a przecież w jednym domu znalazł zwęglone zwłoki człowieka! I teraz iść tam szukać broni? Ale broń znaleźć trzeba... Weranda! Jakże mógł o tym zapomnieć? Pędem rzucił się w poznaną przedtem uliczkę wsi. Dopadł domu z werandą jednym susem, wyciągnął rękę pod kamienną ławę. Są! Westchnienie ulgi wyrwało mu się z piersi. Nie bacząc, że bezpieczniki mogą być przerdzewiałe, uszkodzone, wtłoczył trzy granaty do kieszeni, czwarty zacisnął w dłoni. Choć wydawało mu się, że przebywał tam zaledwie kilkanaście sekund, kiedy wybiegł na szosę, nikogo nie było widać. I głosy umilkły. Cisza. Puścił się kłusem, bo jeśli teraz straci ich z oczu... Mogą zboczyć do jakiegoś zamaskowanego bunkra we wsi...

Na szczęście nie skręcili. Minęli ostatnie zabudowania. Idą do lasu. To pewne. Trzeba ich wyprzedzić, a czas już najwyższy, bo noc jakby zszarzała i widoczność stawała się coraz lepsza. Wojtek skręcił w pole i na przelaj zaczął pędzić do wyłaniającego się z ciemności lasu.

Kiedy zdyszany, bez tchu dopadł pierwszych jałowców i zanurzył się w ich bezpieczną gęstwinię, szarość nieba zaczęła od wschodu różowieć. Wstawał świt. Wojtek spojrział na szosę. Szli. Pani Maria nienaturalnie mocno wsparta na ramieniu Stacha. Albo ranna, albo opadła z sił. Posuwali się środkiem szosy. Po bokach dwóch uzbrojonych drabów, za nimi reszta. Ilu ich jest? Sześciu? Chyba jednak więcej. Siedmiu albo nawet ośmiu. Pani Maria potknęła się i upadła. Jeden z bandytów ją kopnął. Wstała, czepiając się spodni Stacha. Dlaczego Stach nie pomógł jej wstać? Aha, pewno związali mu ręce.

Wojtek pomyślał mściwie: „Ja wam, łotry, zapłacę za to wszystko... choćbym sam miał zginąć...”

Widział ich coraz wyraźniej, rozróżniał poszczególne słowa niemieckie. Mają karabiny,

rewolwery, granaty przy paskach.

„Ależ są uzbrojeni — zdumiał się — dlaczego w takim razie nie strzelali do mnie? Czyżby tu gdzieś w pobliżu było nasze wojsko? A może szkoda im kul?” Posuwał się niemal równolegle z nimi, kryjąc się za drzewami i krzewami. Szli nie zachowując ciszy, rozmawiali głośno, pokrzykując co chwila, trzaskały gałązki pod ich ciężkimi buciorami, więc też Wojtek nie obawiał się, że zdradzi go jakiś szelest. Starał się jednak iść jak najostrożniej, zdawał sobie sprawę, że nagły upadek byłby teraz niebezpieczny. Nie poszli daleko w głąb.

Widział ich, jak idą ku niewielkiej polance. Rósł na niej samotny stary dąb, przyodziany w czarne liście, obumarłe jesienią, które jak żałobne kwiaty czyniły to miejsce dziwnie smutnym i złowrogim.

Grupka zatrzymała się. Jeden z napastników, widać przywódca, powiedział coś donośnie. Reszta zarechotała w odpowiedzi złym śmiechem. Panią Marię i Stacha podprowadzili pod dąb, a przywódca bandy zaczął ich przywiązywać do pnia. Inni rozproszyli się po lesie. Wojtek ledwo zdążył kucnąć między jałowce, zaniepokojony w najwyższym stopniu. Czyżby się domyślili, że on tu jest, i rozpoczęli poszukiwania? Z trzasku łamanych gałęzi i wesołych okrzyków domyślił się, że to jednak coś innego. Wydało mu się w pewnej chwili, że tamci wrócili pod dąb. Odważył się i wyjrzał. To, co zobaczył, wstrzymało mu na chwilę dech w piersi. Poczul, że włosy zjeżyły mu się na głowie, a zimny pot, który już raz tej strasznej nocy czuł na skroniach, wystąpił znowu. Wokół dębu bandyci układali stos z suchych gałęzi i chrustu. Poprzez gałęzie widać było srebrną głowę pani Marii przywiązanej do pnia. Bandyci, odwróceny do Wojtka plecami, stali w jednej grupce. Wojtek uniósł rękę z granatem i zaraz ją opuścił. Obliczył odległość, jaka dzieliła przywiązanych do pnia od bandytów. Za blisko. Odłamki poranią panią Marię i Stacha. Mogą nawet zabić. Przywódca wyjął z kieszeni jakiś paperek i zapalniczkę. Pstryknął. Różowy języczek ognia przywarł do stosu. Zatrzeszczała podpalona gałązka, powiało dymem. Wojtek ścisnął granat, aż poczuł ból w dłoni, zagryzł wargi. Płomień skoczył wysoko w górę, chrust zaczął się palić. Pani Maria i Stach milczeli. Bandyci przestali rechotać. Stali i patrzyli, jak płomień chwyta coraz wyższe gałązki. Wojtek zdecydował się. Przebiegł chyłkiem parę kroków i stanął za pniem sosny. Stąd chyba trafi w sam środek bandy. Ale ręka była jakby sparaliżowana, nie mógł jej podnieść. Jeszcze czas. Ogień widocznie nie dosięgnął przywiązanych, bo milczą. A może nie żyją?

Nagle przywódca coś powiedział rozkazująco i odwrócił się od stosu. Nie oglądając się, ruszył w głąb lasu. Za nim poszli jego podwładni. Serce Wojtka zadygotało. Wróciła sprawność ruchów. Kiedy oddalili się wystarczająco od stosu, zwinnie i lekko jak kot skoczył za nimi, wziął rozmach i cisnął. Błysnęło, zawyło, podniósł się w górę na mgnienie oka czarny słup ziemi i opadł. Pęd powietrza przewrócił Wojtka, ale chłopiec zaraz się zerwał, odbezpieczył drugi granat, usłyszał lekki syk i cisnął znowu. Potem dwa pozostałe.

I natychmiast, nie sprawdzając skutków swego ataku, podbiegł do stosu. Nie czuł, że parzy sobie ręce, że jakaś gałąź zadrasnęła go w policzek, że dym dławi i gryzie w oczy. Płomień nie dotarł na szczęście do przywiązanych. Mimo to wyglądali okropnie. Stach narbrzmiały na twarzy, sinofioletowy. Pani Maria zwisała bezwładnie. Wojtek dygocącymi rękoma odszukał koniec drutu i zaczął go odkręcać. Po chwili ułożył zemdloną panią Marię na mchu, Stach usiadł pod drzewem, oddychając ciężko.

— Jeszcze chwila, a bylibyśmy się udusili, tak nas ścisnęli. I ten dym... Zaczęło nas parzyć w nogi — szepnął nie swoim głosem. — Rób sztuczne oddychanie, zaraz ci pomogę — dodał spojrzawszy na panią Marię.

Wojtek ukląkł przy swojej nauczycielce, ujął jej rękę, wyszukał puls. Biję nierówno, urywanie, ale jednak bije. Westchnął z ulgą.

Wkrótce ją ocucili. Usiadła próbując uśmiechnąć się bladymi wargami.

— Widziałam twoją ucieczkę i byłam pewna, że jeśli żyjesz, to nas uratujesz — powiedziała słabym głosem. — A gdzie oni? — dodała, z trwogą rozglądając się wokoło.

— Poczęstowałem ich granatami — powiedział Wojtek — myślę, że się do sądnego dnia nie pozberają po tym poczęstunku.

— Skąd wzięłeś granaty? — zdziwił się Stach.

— Kiedy mijaliśmy wieś, spostrzegłem je na werandzie jednego domu. Na szczęście zapamiętałem, gdzie to było. Myślę, że wszystkich wysłałem na apel do Hitlera.

Rubaszny żart Wojtka podziałał na nich orzeźwiająco jak szklanka zimnej wody. Pani Maria powiedziała rażno:

— Chodźmy stąd. To straszne miejsce...

— Tu musi być bardzo pięknie w lecie, kiedy ten dąb jest zielony, a wokoło kwitną zioła. — Wojtek rozejrzał się, jakby szukając śladów tych kwitnących ziół, ale w rzeczywistości sprawdzał, czy znowu nie czyha gdzieś niebezpieczeństwo. — Jeśli pani odzyskała trochę sił, możemy iść.

Z tymi siłami było nie najlepiej. Pomogli jej wstać, ale chwiała się na nogach, więc podtrzymując ją poprowadzili w stronę szosy.

— Nie rozumiem — zastanawiał się Stach — po co chcieli nas upiec... mogli przecież zwyczajnie zabić jako swoich wrogów... ale takie zezwierżenie... To mi się nie mieści w głowie...

— Nie ubliżaj zwierzętom — oburzyła się pani Maria — hitleryzm to coś gorszego niż zezwierżenie... mowa ludzka jest za uboga, abym jednym słowem określić cały ogrom zbrodni faszyzmu... cały ogrom upodlenia człowieka, jaki z sobą niesie... Hitleryzm to coś antyludzkiego.

— Spalili parę milionów ludzi w Oświęcimiu — powiedział Wojtek — nabrali wprawy...

— Dokąd my idziemy? — zaniepokoił się nagle Stach.

— Jak to dokąd? — odpowiedziała pytaniem pani Maria. — Do naszej szopy.

— Po co?

— Zostały tam nasze worki i plecaki...

— Mogę z tych skarbów zrezygnować — zachmurzył się Stach, który widocznie miał dosyć wędrówki i przygód.

— Może ocalało coś z naszych prowiantów — powiedział zawsze praktyczny Wojtek — jesteśmy głodni, wyczerpani, trudno nam będzie w tym stanie dotrzeć do Olsztyna.

— Tak, tak — gorąco przyświadczyła pani Maria — marzę o kubku wrzątku...

Stach się skrzywił, ale nie protestował.

W jednej torebce znalazło się trochę kaszy. Ugotowali rzadki krupnik i choć nie solony i nie kraszony, smakował im nadzwyczajnie.

Stach zebrał porozrzucane worki, strzepał z nich piasek, zawiązał w węzłki.

— Możemy wędrować do Olsztyna.

Wojtek podniósł się również. Pani Maria patrzyła na nich ze smutkiem. Siedziała nieporuszona, jakby na coś czekała.

— Chcecie odejść? A książki?

— Książki — za jąkał się Stach. — Powiemy miejscowym władzom o tej spalonej szopie, niech przyjadą i zabiorą... Ja mam dość.

— Sam mówiłeś, że mają pilniejsze sprawy na głowie. Przyjadą wiosenne deszcze, zniszczą, co tu jeszcze ocalało.

— To prawda — poparł panią Marię Wojtek — musimy sprawdzić, czy warto się trudzić. Dogrzebanie się do dna nie zajmie nam dużo czasu.

Do warstwy nie spalonych książek dotarli prędzej, niż się spodziewali. Stach pierwszy wyciągnął parę pięknie oprawnych tomów. Tekturka okładki była trochę skrecona, ale kartki wewnątrz białe.

— Całe! — krzyknął z triumfem.

Pani Maria i Wojtek podbiegli do niego. A Stach skrzywił się i powiedział z rozczarowaniem:

— Phi, francuskie. Nie warto się było mordować...

Pani Maria spojrzała na niego, aby mu odpowiedzieć, i nagle wybuchnęła niepojętym śmiechem. Stach spojrzał na nią ze zdziwieniem i też nagle zaczął rzeć jak młody żreback. Wojtek poszedł za ich przykładem. Śmiali się niepowstrzymanie, zataczali ze śmiechu, patrząc na swoje umazane sędziawymi twarzami, na niezwykle wąsiki i bródki, na uczernione policzki. Niespodzianie Strach stracił równowagę, przewrócił się i potoczył parę metrów po spalisku, wznosząc tuman czarnego pyłu. Rozśmieszyło ich to jeszcze bardziej. Całe niedawne napięcie nerwów i przeżyta trwoga wyładowywały się w tym niepowstrzymanym śmiechu. Wojtek, który nigdy nie wychodził z roli czuwającego, usłyszał nagle z krzewów, które mu w nocy ocaliły życie, zduszony szept:

— Obywatelu poruczniku, to chyba jakieś pomyłone...

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył kilku zaczajonych żołnierzy. Lufy karabinów były skierowane w stronę pogorzeliska.

— Nie strzelajcie, my swoi! — krzyknął zeskakując.

Otoczyła ich grupka żołnierzy. Pani Maria zmieszana zaczęła wycierać twarz rękawem zakieciaka. Wojtek ze Stachem rozpoczęli chaotyczne wyjaśnienia, ale młody porucznik przerwał im i poprosił panią Marię, aby opowiedziała, co się stało. Wysłuchawszy uważnie krótkiego sprawozdania, rozkazał, by sierżant z kilkoma żołnierzami i Wojtkiem poszli obejrzeć polankę w lesie, a jednemu z żołnierzy przekazał meldunek do kapitana.

Wkrótce nadjechały dwie ciężarówki pełne żołnierzy. Na jednej parowały potężne dwa kotły. Wrócił Wojtek z patrolem. Żołnierze rozprawiali o celności rzutów Wojtka.

Śmiejąc się i żartując zjadano smakowity, gorący gulasz z kaszą. Pani Maria przypomniała sobie, że hitlerowcy rozmawiali między sobą o jakiejś bazie w lesie, w zagajniku brzoźowym.

— Ścigamy ich od kilku tygodni i zawsze nam się wymykali — powiedział porucznik — może dzięki wam uda nam się odkryć ten schron czy bunkier. Teraz psy podejmą ślad. Według naszych spostrzeżeń banda liczy około dwudziestu ludzi i Wojtkowi udało się zlikwidować tylko część, która brała udział w napadzie na was. Reszta gdzieś jeszcze grasuje. Jesteś wspaniały chłopak, porozmawiam z kapitanem, przedstawimy cię do odznaczenia.

Wojtek pokraśniał z dumy i ze szczęścia. Porucznik rozkazał żołnierzom pomóc w rozgrzebywaniu pogorzeliska. Na ciężarówkach było parę bosaków, więc praca poszła teraz łatwo i sprawnie. Załadowano sześć worków zupełnie nie uszkodzonych książek. Pani Maria, która rozpaczała nad każdą zniszczoną książką, teraz zaczęła rozpaczać z innego powodu:

— Jak my się z tym zabierzemy? Przecie mowy nie ma, abyśmy mogli udźwignąć taki ciężar... A to są wszystkie książki z warszawskich bibliotek, więc...

Uczynny porucznik rozstrzygnął te sprawy niespodziewanie pomyślnie.

— Dziś nasza ciężarówka idzie po prowiant do Działdowa, podwiezie was i wasze skarby. Dam pani list do komendanta stacji, to mój kolega. Na szczęście nie odkomenderowali go jeszcze gdzie indziej, na pewno ułatwi pani przewiezienie książek do samej Warszawy.

I tak szczęśliwie zakończył się ostatni etap „wyprawy po złote runo”.

IV. Prośba Ninki

— Ja muszę, rozumiesz, ja muszę mieć tę fizykę — mówiła Ninka, a w jej szafirowych oczach Wojtek widział niepokój — jutro repetycje, pewno Kasiński będzie mnie pytał...

— Czemu nie notowałaś wykładów? — Wojtkowi nie uśmiechała się perspektywa poszukiwania książki u kolegów.

— Notowałam, ale nie mam kilku ostatnich lekcji... Wiesz przecie, że chorowałam na grype...

— To co robić?

— Rysiek ma tę książkę...

— Skąd o tym wiesz?

— Spotkałam go dziś, wracając ze szkoły. Szedł z Niwińskim. Powiedziałam im, że strasznie boję się tej repetycji. Wtedy Niwiński zaproponował, że Rysiek może mi pożyczyć Kalinowskiego... Rysiek początkowo się wymawiał, nie chciał pożyczyć, ale kiedy Jurek na niego krzyknął, to Rysiek od razu się zgodził.

Wojtkowi jakby kto szpilę wsadził pod serce... Żachnął się. Niwiński to dla niej Jurek. Zamierzał odpowiedzieć ostro, że nie pójdzie, ale mu się przypomniało, że ona zna Niwińskiego od paru lat. Przecie tak niedaleko mieszka...

— Jeśli tacy koleżeńscy, mogli ci przynieść... Wiedzą, że przed repetycją mało masz czasu...

— Tak, ale oni nie mogli.

— Więc co?

— Trzeba pójść do Ryśka. Może ze mną pójdziesz?

— Też masz pomysły. Rysiek mieszka na Stalowej. Spacer na pięć godzin.

— Nie, on mieszka na Starym Mieście.

— Co ty wygadujesz. Tam same ruiny. Nikt nie może mieszkać w takim rumowisku.

— Mieszkają. On i kilku kolegów. I nawet kota chowają. Pimpus się nazywa. Rysiek przeniósł się tam niedawno. Może tydzień temu. Po ostatniej awanturze z ojcem.

Wojtek słyszał o tym, że Rysiek ma ciężkie życie w rodzinnym domu, bo jego ojciec jest pijakiem. Często Ryśka bił i wypędzał z domu. Biedny chłopak.

— Wycieczka na Stare Miasto zajmie również ze trzy godziny. Już późno. Czego ty się nauczysz przez taki krótki czas?

— Posiedzę dziś do północy. A jutro idę do szkoły dopiero na pierwszą.

— Jak go odnaleźć w tych ruinach? — Wojtek niechętnie złożył zeszyt z zadaniami matematycznymi.

— Patrz, Niwiński narysował plan sytuacyjny. Rysiek obiecał, że od siódmej będzie czekał w tym miejscu na Wybrzeżu Gdańskim. Pójdę z tobą, włożę tylko płaszczyk i beret.

— To nie ma sensu, żebyśmy chodzili we dwójkę. Ty się ucz. Na szczęście ja mam na jutro mało lekcji do odrabiania. Nie mogę tylko dać sobie rady z tym zadaniem z geometrii.

— Odprowadzę cię kawałek — powiedziała rozradowana — muszę z pół godziny odpocząć, bo mi nic nie wchodzi do głowy.

Wyszli po chwili. Wczesny majowy zmierzch kładł liliowe cienie we wnęki kamienic i pod rozkwitające drzewa. Łagodna, młoda zieleń okryła nadbrzeżne wały, uśmiechała się na drobnych listkach krzewów i kasztanów.

Szli w milczeniu. Ninka zanadto zmęczona, aby mówić, Wojtek przeżuwał gryzący gniew na wspomnienie Niwińskiego. Źle, że ten łobuz ciągle wchodzi mu w drogę. Nie dość utrapień z nim w szkole, to jeszcze wkręca się do domu pani Miłobędzkiej. Był tu parę dni temu, Wojtek dowiedział się od stolarza, który zna go od dawna. Zresztą to nie pierwsza wizyta. „Dlaczego Ninka kryje się z tym? Czy uważa to za mało ważne, czy...” Myśl cofała się ze strachem przed niedobrymi przypuszczeniami. Było mu ciężko i smutno. W takich chwilach najlepsza jest samotność. Wojtek zatrzymał się.

— Wracaj, Ninko. Jest dość późno, sam pójdę znacznie prędzej. Wolałbym załatwić tę sprawę przed zmrokiem. A dla dziewczyny w ogóle niebezpiecznie byłoby znaleźć się w okolicach Starego Miasta o tej porze.

— Może lepiej i ty nie chodź — powiedziała niepewnie — jeśli sądzisz, że...
— Nic nie sądzę — przerwał szorstko — trzeba się pospieszyć, ot co... sam chodzę znacznie szybciej.
— Dziękuję ci — odszepnęła nieśmiało, a jemu wydało się, że powiedziała to z lękiem — bardzo ci jestem wdzięczna.
— Głupstwo. Cześć.

Zmęczenie powoli ustępowało. Nince wydało się, że rozluźniły się żelazne obręcze, które jej skuwały głowę. Miejsce wzorów i „praw” fizycznych, które wkuwała na pamięć, wypełniała w mózgu cisza i jakieś błahe myśli. Słońce tak ładnie zachodzi, Wisła lśni rubinowo. Nad Bałtykiem na pewno teraz tak złociście i purpurowo zachodzi słońce, a plaża ma kolor kwitnących bzów... Fale przyływu o grzbietach z różowej piany głaszczą ją niezmiernie, a morze szumi, gra tę swoją przedziwną pieśń, którą ona tak lubi... Pojechać tam w lipcu, na dwa, trzy tygodnie... Małym szkrabem była, kiedy w trzydziestym dziewiątym roku ojciec zawiózł ją z matką do Jastarni, a przecie pamięta... I radosne zdziwienie, że woda w morzu jest słona i gorący piasek plaży, i zimny dotyk wody na rozgrzanych nóżkach, i czerwona piłkę, skaczącą po falach, którą ojciec tak umiejętnie rzucał... Gdyby ojciec był teraz, z pewnością urządziłby im wspaniałe wakacje... Ale gdzie on jest? Mama niezachwianie wierzy, że ojciec wróci, czeka z dnia na dzień, czasem nawet ukradkiem odkłada dla niego jakieś ulubione przysmaki, drży cała na każde nieoczekiwane pukanie do ich pokoju. „Dlaczego ja nie mam tej pewności — pomyślała ze zdziwieniem — również kocham tatusia, a nie jestem pewna, czy żyje, czy nie. Gdzie tatuś będzie przyjmował pacjentów, kiedy wróci, przecież nawet gabinet zajęty?”

Z niechęcią pomyślała o przymusowych sublokatorach. Takie się teraz to mieszkanie zrobiło niemiłe przez tych krzykliwych, licznych sąsiadów... Brudne, obce.

Gdy skręcała w ulicę Berezyńską, spotkała Ludka Przyłuskiego. Nie bardzo lubiła tego zarozumiałego, samolubnego chłopaka, ale on zawsze okazywał jej tyle sympatii i serdeczności, że hamowała objawy swojej niechęci.

— Jak się masz, niewiasto! — zawołał wesoło. — To ty zamiast wkuwać wyjątki łacińskie i francuskie włóczysz się po świecie, jak panna na wydaniu.

— A ty jak łowca posagów — śmiała się wyciągając rękę.

— Skąd wracasz?

— Ale wścibski — udała oburzenie — wszystko chciałby wiedzieć. Odprowadziłam Wojtka, poszedł do Ryśka po fizykę dla mnie. Aż na Wybrzeże Gdańskie...

— Odprowadziłaś Wojtka, do Ryśka — powtórzył przeciągle i przystanął, patrząc na nią dziwnie — odprowadziłaś Wojtka...

— Cóż to takiego niezwykłego? — odpowiedziała urażona.

— Opowiadałaś kiedyś, że on uratował ci życie — Ludek powoli cedził słowa, jakby smakował ich treść — a dziś odprowadziłaś go do Ryśka!

— Czyś zwariował? Czego ty chcesz ode mnie? — oburzyła się szczerze. — Czy to tak wielkie poświęcenie, że poszedł po książkę dla mnie?

Ludek przystanął i popatrzył na nią uważnie.

— Czy ty udajesz niewiniątko, czy naprawdę nie wiesz, po co go posłałaś?

Ninka zbladła. Chwyciła go za rękę.

— Nic nie rozumiem! Ty coś wiesz! Mów! — krzyknęła, aż obejrzało się kilku przechodniów.

Ludek skrzywił się.

— Niepotrzebnie ci wypaplałem, ale lubię Wojtka, bo to porządny chłopak... I tak mi się głupio zrobiło... A teraz sam mogę oberwać od tamtych...

Zaczął ją wtajemniczać w spór, jaki się toczył w klasie trzeciej między grupą Niwiń-

skiego i zetwumowcami. Choć Wojtek nie należy do ZWM, Niwiński jakoś bardzo go nie lubi, uważa za swego głównego przeciwnika. Wydarzyło się kilka awantur. Niwiński chce się na Wojtku odegrać, może chce go zmusić, aby przestał chodzić do szkoły. Kto wie zresztą, do czego Niwiński jest zdolny. A Rysiek słucha go ślepo.

W miarę wyjaśnień Ludka krew gorącym strumieniem odpływała jej z serca do nóg. Oparła się o skrzywioną latarnię i łzy zaczęły spływać po twarzy, słonym strumyczkiem zwilżać wargi.

— Faktycznie, niepotrzebnie ci to wszystko powiedziałem — zmartwił się Ludek — szedłem właśnie do was uprzedzić Wojtka, aby się miał na baczności. No cóż, nie zdążyłem. Tylko, błagam cię, nie wsyp, że wiesz to ode mnie... i nie przejmuj się, na razie nic się jeszcze nie stało...

Ninka opanowała się z wysiłkiem.

— Dobrze, żeś mi powiedział. Dziękuję. Do widzenia.

— Może cię odprowadzić?

— Nie, nie! — podała mu rękę i szybko odwróciła się, nie troszcząc się o Ludka, który jeszcze coś tam do niej mówił.

To rzeczywiście podejrzone. Rysiek nie chciał dać jej książki... A może jej nie miał? Widziała, jak Niwiński dał mu kuksańca w bok i potem Rysiek zgadzał się na wszystko. Potakiwał mu i wydawał się jakiś wystraszony czy roztargniony. A Niwiński namawiał ją na tę książkę, powiedział, że żadne notatki nie zastąpią podręcznika. Notatki zrobione na lekcji to niepewna pomoc. Łatwo się omylić przy zapisywaniu, a fizyka to nauka ścisła. Czasem opuszczenie jednego słówka wypacza sens jakiegoś „prawa”, fałszuje je. Dał przykład. Pół klasy mówiło, że ciało zanurzone w wodzie traci na wadze tyle, ile waży woda przez nie wypchnięta. „Otóż — powiedział z wyższością — ja tylko jeden zrozumiałem, dlaczego Probówka się złości na takie odpowiedzi. Wstałem i powiedziałem jedno słówko: pozornie. Traci pozornie na wadze. Probówka rąbnął mi czwórkę. Teraz mogę do końca roku bimbać na fizykę. A połowa klasy to oblane delikwenty.”

Nie chciała być takim „oblanym delikwentem”. Co teraz robić? Jeśli to prawda, co mówił Ludek... Pewno prawda. Wojtek nie cierpi Niwińskiego, a ten znowu obgaduje go. Aż musiała ofuknąć go za złośliwe wyśmiewanie Wojtka. Trzeba Wojtka ratować. Ale jak i przed czym? Zemszczą się na Wojtku. Chcą go pobić... a może zabić? Wstrząsnęły nią zimne dreszcze. Pójść do milicji? Zaraz odrzuciła ten zamiar. Co im powie? Że posłała Wojtka po książkę, a teraz boi się, aby koledzy go nie skrzywdzili? Milicja ma poważniejsze kłopoty niż bójkki uczniowskie.

— O Boże, Boże, co ten Wojtek pomyśli o mnie — jęknęła z rozpaczą. — Odnosiłam się do niego ostatnio źle, to pod wpływem złośliwych docinków Niwińskiego... A teraz znowu... Jakie to straszne. I nie wiem, jak mu pomóc... Muszę jednak...

Różowe blaski nieba ciemniały na fiolet. Kiedy dobiegała do przystani, było pusto. Ostatnia łódź z nielicznymi pasażerami kołysała się pośrodku Wisły. Zdawało się Nince, że wśród jadących widać jasną czuprynę Wojtka. Krzyknęła parę razy jego imię. Wioślarz obejrzał się, machnął ku niej wiosłem, ale popłynął dalej.

„Trzeba iść do domu i czekać, aż on wróci — pomyślała z rezygnacją — innej rady nie ma.”

Na ulicy Walecznych stała chłopska furmanka. Woźnica zbierał pasażerów na ulicę Targową. Ninka sięgnęła ręką do kieszeni. Jest dwadzieścia złotych. Akurat tyle, ile kosztuje przejazd. Stanęła na szprychę koła, skoczyła na furkę. Konik szedł ospale, woźnicy też się nie spieszyło. Nince zdawało się, że gdyby biegła sama, byłoby znacznie szybciej. Postanowiła zeskoczyć, ale spostrzegła, że furka wymija nielicznych przechodniów.

Głucho zadzwoniły pod jej stopami deski drewnianego mostu. Przemknęło parę samochodów ciężarowych z przygaszonymi światłami. Nieliczni, nędznie ubrani ludzie spieszyli w

kierunku Pragi, ona jedna biegła na przeciwny brzeg. Już tchu brak. Usta łapią krótkie hausty powietrza, nogi w kolanach drżą.

Wyszczerbiony asfalt wybrzeża nie ułatwiał drogi. Potknęła się parę razy. Wszędzie pusto. Jak tu ponuro. I te domy wypalone, z wyszczerzonymi czarnymi prostokątami okien, z podzwaniającymi resztkami blach i drutów zwisających z zawalonych stropów. Chwilami wiatr przywiewa zapach spalenizny i jakiś inny, straszny. Pod tysiącami ton gruzów w piwnicach pomordowani ludzie... Po lewej stronie czai się wymarły Mariensztat. Zaraz będzie Stare Miasto. Teraz miasto umarłych. Wiele upłynie tygodni, zanim troskliwe ręce krewnych i bliskich przeniosą nieszczęsne szczątki ofiar powstania na prawdziwe cmentarze.

Co mówił Rysiek? „Po prawej stronie leży rozbity czołg, a przy nim zwalona wierzba.” Tam miał czekać z książką. Daleko to jeszcze? Nogi jej sztywniały, stawały się ciężkie jak odlew z ołowiu, coraz trudniej było iść. To lęk. Im szybciej zapadał mrok, tym lęk bardziej wzrastał. Przyspieszał bieg krwi, wysuszał ze śliny gardło. Coś przemknęło przez drogę. Zdziczały kot, wielki szczur czy coś jeszcze gorszego?

Ninka szła coraz wolniej. A czołgu nie było widać. „Ktoś stoi przy drodze. Drugi obok niego kłęczy. Błaga o darowanie życia? Gazety pisały, że w ruinach Starego Miasta grasują bandyci... Jeśli zaczną iść w moją stronę, ucieknę” — pomyślała posuwając się krok za krokiem. Przesunęła językiem po spieczonych wargach.

„To złamany słup od latarni — uspokoiła się po chwili — coś tam dalej majaczy, jakaś ogromna bryła. Rozbity czołg i zwalona wierzba? Jak to dobrze, że to już tak niedaleko.”

Nagle jakiś niesamowity, przeraźliwy krzyk rozdarł ciszę wieczoru. Ninka struchlała, zimny pot wystąpił na jej skronie. Krzyk ustał nagle, tak raptownie, jak wybuchł. Cisza, jaka zapanowała po nim, była równie niesamowita, chyba jeszcze bardziej groźna, bardziej zającażona nieznanym niebezpieczeństwem.

— Nie mogę — wyszeptają ledwie poruszając wargami — za nic...

Na tym wymarłym pustkowiu ani śladu ludzkiego życia, ani światelka, nic... Niemożliwe, żeby tu ktoś mieszkał. Wojtek nie mylił się, kiedy to mówił. Księżyc wysunął się czerwony, ogromny zza czarnej ściany jakiejś kamienicy, rozświetlił drogę. Niedaleko przed sobą zobaczyła okrągłe kontury rozbitego czołgu i roztrzepane gałęzie wierzby. To tu.

„Trzeba podejść bliżej... trzeba bliżej choć kilkanaście kroków... wtedy sprawdzę, czy tam...” — przekonywała się, starała zmusić do decyzji, ale bezskutecznie. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Jeszcze skóra cierpła na niej na wspomnienie tamtego krzyku. Coś w pobliskich ruinach zazgrzytało jak żwir pod podkutymi butami idącego człowieka. Ten ludzki odgłos przywrócił Nince zdolność ruchu. Zawróciła i zaczęła uciekać.

Biegła na palcach, aby sprawić jak najmniej hałasu. Zdawało się jej, że ktoś ją goni, ale nie odwracała się. W przerażonym mózgu kołatały się strzępy jakichś modlitw i wezwania do matki. Bez tchu dobiegła do mostu.

— Hej, panienko, szybciej, za kwadrans zamykamy most! — zawołał na nią wartownik. — Taka młoda, a po nocy się włóczy, tfu!

Przez ciche, opustoszałe i zaciemnione ulice Pragi szła spokojniej. Strach pozostał za nią, ale trwoga o Wojtkę przydusiła ją teraz z podwójną siłą. Chwilami pocieszała się myślą, że może wyminęła się w drodze z Wojtkiem, że on pewnie czeka w domu i dziwi się, że ona zamiast wkuwać fizykę, goni gdzieś po kominkach. Ale w głębi serca czuła, że się ludzi.

Matka przywitała ją wymówkami. Ninka nie odezwała się ani słówkiem, pocałowała matkę zimnymi wargami w rękę i położyła się na tapczan. Matka coś tam jeszcze mruczała gniewnie, potem podreptała do kuchni, przyniosła kubek gorącej herbaty, kawałek chleba z marmoladą. Udawała, że śpi, ale matka poruszyła ją za ramię.

— Jedz. Pewno myślisz, że mam za mało zgryzoty, więc chcesz mnie dobić. Wojtek nie wrócił. Ładny bierzesz z niego przykład.

Zmusiła się do wypicia herbaty. Kiedy się matka odwróciła, schowała chleb pod podu-

szkę. Matka spojrzała na pusty talerzyk, zgasiła naftową lampkę i położyła się, wzdychając, do łóżka.

Ninka całą noc nasłuchiwała zgrzytu klucza w zamku. Ale Wojtek nie wrócił.

„Właściwie należało jej odmówić — rozmyślał Wojtek idąc spieszenie na spotkanie z Ryśkiem — też miała pomysł! Ale gdybym nie poszedł, to pewno sama by się wybrała, to uparta sztuka, dobrze ją znam. A na mnie to by później i spojrzeć nie chciała.

I tak źle, i tak niedobrze... Gdzie diabeł nie może, tam posyła Niwińskiego, aby mi dokuczył. Właśnie trzeba sprawę Niwińskiego postawić na najbliższym zebraniu klasy. On demoralizuje całą tę paczkę, która się przy nim skupiła. Rysiek początkowo był porządnym chłopakiem, a odkąd się pokumał z tym łobuzem, zmienił się nie do poznania. Klnie, pali, raz nawet czuć było od niego wódkę...”

Wojtek splunął z obrzydzeniem. Trzeba mimo wszystko naradzić się z kilkoma innymi chłopakami, co robić. Mówić o tym na zebraniu klasowym to znaczy mówić w obecności wychowawczynie, pani Marii. Tamci okrzykną go jako skarżypytę, do reszty obrzydzą pobyt w „budzie”. Kto wie, czy od wakacji nie trzeba będzie szukać innej szkoły, jeśli w tej zostanie Niwiński. Odejść, dać mu wolne pole do popisu? Do wciągania porządných chłopców na złą drogę?

„Co mnie do tego, niech się ZWM martwi... Wprawdzie złożyłem deklarację, ale jeszcze mnie nie przyjęli. Im się nie spieszy, a ja mam się tak wrywać zawsze pierwszy? Nie mam to innych zmartwień? Nadstawiać karku za wszystkich?”

Zawstydził się sam przed sobą egoistycznych myśli. „Co na to powiedziałyby pani Maria? To taka mądra nauczycielka i taka dzielna kobieta, przyjaciel młodzieży. Już się zorientowała, że w klasie dzieje się coś niedobrego, widać to po jej pytaniach, po jej zachowaniu. Czy, milcząc nadal, zdradzam ją, czy klasę?”

Niwiński nie jest moim kolegą, tylko wrogiem, i wrogiem całej klasy, jeśli całą klasę chce odciągnąć od nauki. A z wrogami należy walczyć — zdecydował Wojtek twardo — i trzeba szukać mądrych sprzymierzeńców. A pani Maria będzie najlepszym sprzymierzeńcem.”

To postanowienie przyniosło ulgę. Właściwie niepotrzebnie tak się przejmuję tymi sprawami. Czuje się zmęczony, wyczerpany. Pewno wszystkiemu winno to zadanie geometryczne, którego nie rozwiązał. Miał nad nim posiedzieć cały wieczór, a tu Ninka wyskoczyła z fizyką. I jutro pójdzie do szkoły z nie odrobioną lekcją. „Jak to przecięcie graniastosłupa powinno wyglądać? Ta złamana latarnia ma kształt zbliżony do graniastosłupa. Jeśli przeprowadzić tak te linie przecięcia...” Wojtek przystanął, palcem nakreślił przypuszczalną linię na słupie, potem wyciągnął ołówek. Potrzebny jeszcze kawałek czystej kartki. Coś w kieszeni zaszeleściło. Aha, to ten plan sytuacyjny, gdzie ma spotkać Ryśka. Na odwrocie naszkicował pomysł rozwiązania. Zgadza się! Rozwiązał!

„Może i dobrze, że poszedłem na spacer. Byłem tak zmęczony, że nie mogłem wpaść na żaden koncept. A to takie proste...” Rozradowany pogwizdując przeskakiwał wyrwy w asfalcie i kałuże błota po niedawnym deszczu. Z budki, skleconej z desek i resztek ocalałego muru po wypalanej i zburzonej kamienicy, wyszła kobieta z pustym wiadrem. Ciekawe, gdzie ona chodzi po wodę, czy aż do Wisły? Dach tej najuboższej, jaką sobie można wyobrazić, chatki był zrobiony z desek przykrytych kawałkami papy przyciśniętej cegłami.

„Co za szczęście, że ja mam taki dobry dach nad głową. I nic mnie nie kosztuje. Tyle że przyniosę dla pani Miłobędzkiej z piwnicy węgiel i wodę, a sam przecie z tego korzystam. Gdybym musiał mieszkać w takim oto domku!”

Odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na mijaną budkę. Wybiegło z niej dwoje dzieci i usiadło wśród gruzów. Kobieta z wiadrem gdzieś zniknęła. Pewno kiedyś miała dach nad głową, schludne mieszkanie, a na wyfroterowanej podłodze bawiły się dzieci...

Świat zasnuwał się zmierzchem jak przędzą pajęczą. Wojtek rozejrzał się niespokojnie. Czy zdąży, nim zapadną ciemności, dotrzeć do celu?

Szarzało, kiedy przed nim zamajaczył obły kształt zwałonej wierzby. Na wywróconym, spalonym czołgu siedział Rysiek i pogwizdywał.

— Myślałem, że już nie przyjdiesz — powiedział zeskakując na asfalt jezdni — chodźmy.

— Dokąd? — zdziwił się Wojtek.

— Po książkę.

— Dlaczego nie wzięłeś jej z sobą?

— Chciałem ci pokazać moją melinę — odparł Rysiek schrypniętym głosem — mieszkam z fajnymi chłopakami.

— Zbyt późno — skrzywił się niechętnie Wojtek — muszę zdążyć przed zamknięciem mostu.

— Przenocujesz u nas.

— Coś ty, sfiksował! Ninka czeka na książkę, żeby się wkuwać, a ty mi proponujesz nocleg.

— Zapomniałem. To chodź po książkę.

— Prowadź — odpowiedział Wojtek bardzo niezadowolony.

Rysiek wszedł między ruiny. Wojtek milcząc postępował za nim. Wszystko to zaczęło mu się wydawać bardzo dziwne, a nawet podejrzane. „Melina”, do której nie prowadzi jako tako przetarta droga czy nawet ścieżka? Tu chyba nie chodził nikt od czasu powstania. Ani śladu ludzkiego życia, ludzkiej obecności.

— Rysiek, gdzie ty mnie ciągniesz po jakichś wertepach?

— Idziemy na przełaj, aby skrócić drogę — odpowiedział mrukliwie Rysiek.

— Nogę tu można skrócić.

— To niedaleko.

Wojtek zwolnił kroku. Coraz mniej mu się podobała ta cała eskapada. Lepiej mieć Ryśka na oku. Ale Rysiek zauważył to i też zaczął iść wolniej. W Wojtku ożył dawny człowiek z lasu, który wszędzie wietrzy niebezpieczeństwo. Sprężył mięśnie jak przed niespodziewanym atakiem, zacisnął pięści. „Czyżby Rysiek był zdolny do takiej podłości? Sam może nie, ma jednak wodza i doradcę, Niwińskiego... Co im przyjdzie z tego, że mnie pobiją? Przecie wiedzą, że za to mogą wylecieć ze szkoły... Czy to dla nich takie groźne? Pójdą do innej... teraz tak jeszcze wszystko pokiełbaszone, że sam diabeł nie dojdzie. Są szkoły, o których władze szkolne nie wiedzą, a są też szkoły, które nie wiedzą, gdzie szukać władz. Wszystko się tworzy, powstaje jak grzyby po deszczu... Może zawrócić? Uciec? Może umyślnie Niwiński chce go nastraszyć i ośmieszyć w oczach Ninki. Warto byłoby mieć mocny kij lub kawałek pręta żelaznego do obrony.”

Rozejrzał się. Wśród zwałów gruzu trudno znaleźć coś poręcznego, tym bardziej że się zmierzcha. Wyrastają przed nimi resztki murów, wyglądają jak szkielety przedpotopowych olbrzymów. Wokoło ciemnieją leje po bombach, zwałone gruzem prostokąty piwnic. Zadzwońnięło coś pod nogą. Wojtek schylił się. Niestety, pognieciona pokrywa od rondla. Kiedy brał tę pokrywę do ręki, usłyszał przeciągły gwizd. Trzy postacie wyskoczyły z trzech stron zza murów. Rysiek odwrócił się błyskawicznie (czy to on gwizdał?), ale zawadził o coś nogą. Suchy trzask rozdartych spodni i Rysiek runął na ziemię. Jeden z napastników zamierzył się na Wojtkę grubym kijem. Zdążył się uchylić, zasłonić, jak tarczą, znalezionej pokrywą. Ale impet uderzenia wytrącił mu z ręki słabą osłonę. W tej samej chwili drugi z napastników zaatakował wściekle. Trafił kijem w obojczyk. Wojtek poczuł mocny, tępy ból. Trzeci, również uzbrojony w pałkę, usiłował przeciąć Wojtkowi drogę, zachodząc od tyłu po stromej krawędzi nad otwierającą się pod nogami piwnicą. Rysiek gramolił się z drutów, sapiąc i przeklinając.

„Jeśli mnie okrażą, przepadłem... — myśli Wojtka przelatują, rwąc się co chwila, szybsze niż błyski światła. — Tam za mną wyrwy tych mijanych piwnic... będę uciekał, zwalę się w nie po ciemku... kark skręcę albo mnie oni zatłuką...”

I nieoczekiwanie sam przeszedł do ataku. Skoczył długim susem, zwałił się na tego drugiego, podciął mu nogi. Tamten padł, szeroko rozkładając ręce. Wojtek zdążył chwycić jego pałkę, ale w tej samej chwili posypały się na niego kamienie i bolesne ciosy. Wtulił głowę w ramiona, osłonił się jedną ręką, a drugą, uzbrojoną w zdobyczną pałkę, zawirował młynka. Skrzyżowały się kije, zafurczało w powietrzu i pierwszy z napastników też został rozbromiony. Poderwał się z ziemi ten powalony i teraz we trzech rzucili się z pięściami na Wojtka. Znowu zdążył odskoczyć. Ale przeciwnicy mieli w zapasie kamienie. Jednym trafili go w twarz, tuż obok oka. Wojtek cofnął się jeszcze o krok, odwrócił się i zaczął uciekać. Popędzili za nim z wrzaskiem triumfu.

„Muszę dobiec do wybrzeża... tam ocaleję... piwnice są chyba bardziej na prawo... ten występ muru osłoni mnie przed kamieniami... znowu są blisko...”

Odwrócił się. Nie zdołali zatrzymać się w pędzie, więc z rozmachem przejechał po nich pałką. Usłyszał okrzyki bólu i wściekłości. Odsądził się od nich o parę kroków. Zatrzymali się na moment, zbierając kamienie i odłamki cegieł. Wojtek biegł z wysiłkiem. Czuł, że słabnie. Krew ciekąca spod oka zalewała mu twarz. Pałyły razy kija i łupał ból w plecach od uderzeń kamieni. Choć furczało ich wiele, na szczęście nie wszystkie trafiały.

„Ukamienują mnie, zanim dobiegnę do drogi.” Wydawało mu się, że tam czeka ocalenie. Ale to jeszcze tak daleko dla słabnących nóg. Prześladowcy są znowu blisko, zaraz zwalą się na kark.

Nagle na drodze zamigotały ślepie latarni. Usłyszał warkot motoru. Zamajaczyło coś wielkiego, chyba ciężarówka. Warkot motoru przycichł, maszyna zatrzymała się. Błyskają reflektory ręcznych latarek, prześlizgują się po ruinach. Może to patrol milicyjny? Ucichł odgłos kroków biegnących. Śmigają jeszcze nieliczne kamienie.

„Ocalałem” — pomyślał. I w tej samej chwili wydało mu się, że skalista góra zwała mu się na głowę. W opętańczym kołowrocie zatańczyły przed nim światła samochodu, tysiąc gwiazd zamigotało przed oczyma. Wojtek padł.

— Ten mój ostatni kamień był najcenniejszy — powiedział Niwiński. — Widzieliście, jak go rozłożyło?

— Na śmierć? — zapytał rozdygotanym głosem Rysiek.

— Uhm. Przyjdziemy tu za dwie, trzy godziny, to go uprzątniemy.

— Nie lepiej zaraz? — zapytał jeden z kompanów.

— Mogą zauważyć ci na szosie. A może to z milicji?

— Oni mogą znaleźć...

— Spokojna głowa — burknął Niwiński — za mało ich na obławę, a sami się nie wypuszczą na ruiny, nawet gdyby ktoś wzywał pomocy. Chodźcie.

Obejrżeli się parę razy, ale na szosie jeszcze błyskało światło. I smugi reflektora przeczesywały ruiny.

„Dlaczego taki ciężar ugniata głowę? I warczy coś bez przerwy... Aha, to meserszmity nad poligonem. Tak ciemno... Dlaczego jest taka czarna noc, przecie powinien być dzień! Jakiś niemiły odór uderza w nozdrza, przecie las tak zawsze wspaniale pachnie...” To nie las. Wojtek powoli przytomnieje. Jedna ręka piekielnie boli od uderzenia czy upadku, druga jest zdrowa. Wojtek podnosi ją ku twarzy. Duża krwawiąca bulwa zasłoniła jedno oko, ale drugie spostrzega zarysy niewysokich pagórków, strzepy murów. Wraca pamięć niedawnych wydarzeń. Wojtek skupia rozpieczętowane myśli.

„Stłukli mnie i zostawili... mogli przecie zabić... aha, zlekli się samochodu... samochodu

nie ma, a oni mogą wrócić...”

Powoli, ostrożnie Wojtek siada. Gdyby głowa nie była taka ciężka, można byłoby wstać i iść... Niestety, opada na piersi, zawadza, wydaje się jak obca. Wojtek odpoczywa dłuższą chwilę, mocując się z własną słabością. Potem spróbował wstać, ale mu się nie udało. Podpie-
rał się rękoma o ziemię, ciągle jednak opadał bez sił, z jękiem. W czasie tych bezradnych szamotań natrafił dłonią na zgubioną pałkę. Oparł się na niej, wstał. Wolno, z niezmiernym wysiłkiem szedł ku lśnącemu pasmu asfaltowej drogi. Zatrzymywał się co kilkanaście sekund, odpoczywał. Zauważył, że mniejszy ból sprawia mu posuwanie się drobnymi krokami, niemal cal po calu. Najgorsze to te odłamki betonu i cegieł, tak nierówno się po nich idzie, trzeba każdą piędź ziemi wymacać kijem, bo kiedy się stopa niespodzianie osunie, to ból jak prąd elektryczny przebiega całe ciało.

Księżyc życzliwie wypłynął zza chmur i oświetlił mu trasę. Wszędzie pusto, głucho. Gdzieś daleko zamiauczał kot. A może to zew nawołujących się opryszków? Może to Niwiński daje sygnały swojej bandzie? To on był ten trzeci, co najpóźniej przystąpił do ataku. Jego głos rozróżnił w okrzykach napastników.

„Gdybym tak doszedł do tego rozwalonego czołgu, ukryłbym się tam, przesiedział do świtu...”

Czuł jednak, że nie dotrze. Coraz trudniej iść, nie wiadomo, pot czy krew spływa po twarzy. A może jedno i drugie?

Na skraju szosy coś czernieje. To pusta drewniana skrzynka, zgubiona przez samochód. Wojtek usiadł na niej, odpoczywał. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni, otarł twarz. Spróbował przewiązać najbardziej bolesną ranę pod okiem, ale chusteczka była za krótka. Nie miał siły jej rozedrzeć. Twarde, niewygodne siedzenie bez oparcia zmęczyło go wkrótce. Zsunął się na ziemię, nogi wyciągnął przed siebie, oparł się plecami o pustą skrzynię.

„Długo tu nie wytrzymam. Odpocznę jeszcze trochę i pójdę... Ale dokąd?”

I nagle uświadomił sobie, że już nie ma domu. Nie ma nic. Jeszcze parę godzin temu czuł się taki szczęśliwy, miał własny wygodny kątek do spania i do nauki. Przebywał pod jednym dachem z Ninką, mógł świadczyć jej drobne usługi, mógł z nią rozmawiać i żartować. Czuł serdeczną życzliwość jej matki. I ci krzykliwi sąsiedzi go lubili, nawet ten szewc. „Ninka... Jak ona mogła! Jak mogła! Wysłała mnie nie po książkę, lecz po śmierć... Czy ona zastanowiła się, jaką krzywdę wyrządza? Czy wiedziała, co robi? Chyba wiedziała... Aż tak bardzo byłem jej wstrętny? I za co? Ten elegancik, Niwiński, tak się jej podobał?”

Narastał w nim jakiś protest, żal, ból ogromny. Ból, dla którego nie ma nazwy, dla którego serce ludzkie i piersi są za ciasne, gotów je rozsadzić, rozerwać jak pocisk. Poczucie krzywdy rosło, wzmagala się świadomość niezawinionej klęski. Czemu? Kto odpowie na to straszne pytanie? Kto by uwierzył, patrząc na jej łagodną, pełną czaru twarz. Czy to możliwe, żeby człowiek tak odplącał człowiekowi za dobroć, za serce?!

„Nie ma gdzie pójść, chyba tylko do Wisły... Ale i na to trzeba znaleźć siłę...”

Runęły w gruzy naiwne, piękne sny. Sponiewierany, odarty ze wszystkiego, jak będzie dalej żyć? Ustał ból fizyczny, nawet ta potworna narośl pod okiem nieco mniej paliła, tylko serce pełne było rozpacz. Wydało mu się, że jest już bardzo stary, jakby za sobą miał nie tych kilkanaście lat, ale dwa przecierpiane żywoty. „Pamiętasz, jak ją znalazłeś słabą, bezradną pod nasypem kolejowym? Jak ją potem kurowałeś w chorobie? Od babci ze wsi przynosiłaś jej ziółka, miód, chowałeś pod kurtkę garnek, parząc się w piersi, aby po drodze nie wystygła zupa i kartofle? A chatkę z bajki «Na kurzej łapce» pamiętasz?” — zaszlochał krótko. Zabolala narośl pod okiem, zapiekła żywym ogniem. Wstrząsnęły nim dreszcze.

„Trzeba stąd iść, trzeba poszukać ludzi” — postanawiał, ale nie mógł ruszyć się z miejsca. Było mu coraz bardziej zimno. Nagle usłyszał ulubioną melodię partyzanckiej piosenki.

Maszerują chłopcy przez zielony las...

— Roi mi się, pewno dostaję gorączki — powiedział ochryplym szeptem — muszę stąd iść...

Melodia nie ucichła. Przybliżała się. Ktoś szedł lekko, pogwizdując i przeskakując kałuże czy inne przeszkody na drodze. Usłyszał znane słowa:

*Już niedługa chwila, już niedługi czas,
Pójdziemy do szturmów przez zielony las...*

Łzy, które obeschły, znowu pociekły po twarzy. Niezapomniane chwile partyzanckiej swobody... Za duża była gorycz zawodu i ciężar klęski, by się mógł opanować. Piosenka partyzancka była coraz bliżej. Szła do niego pogodna, jakby uśmiechnięta, naigrawając się z jego nieszczęścia. Usłyszał tuż obok kroki idącego.

— Hej, obywatelu, w łóżeczku u mamy będzie lepiej, tu nie hotel! — zawołał ktoś wesoło, trochę kpiąco.

I głos znajomy. Bliski, drogi, jak wszystko, co było związane z tamtym życiem.

— Hej, obywatelu, kamień to nie materac, czas do domu — ktoś dotknął jego ramienia.

Wojtek podniósł głowę.

— Piorun — wyszeptał ze zdumieniem i wzruszeniem.

— Rodowe nazwisko: Piorunowski — odparł tamten, jak zawsze, kpiąco i wesoło. — Z kim mam przyjemność?

Schylił się, zajął uważnie w twarz tego, jak mu się zdawało, pijaka i powiedział ze zgrozą i współczuciem.

— Wojtek!... Kto cię, bracie, tak urządził?

Wojtek nie odpowiedział. Nagłe wzruszenie odebrało mu resztę sił. Osunął się na ziemię. Piorun stał chwilę nad nim, zastanawiając się, co robić. Podrapał się za uchem, westchnął i pochylił się nad leżącym.

— Masz, bracie, szczęście. Znowu cię będę taskał na własnych barkach do porządnym ludzi. Tylko że wtedy urządzili cię faszyci, a teraz swoi... Kto wie zresztą, czy tak samo nie faszyci. Bandyci nie mieliby po co napadać na takiego chudopachołka...

Ukląkł na drodze, zarzucił sobie na ramiona bezwładne ręce Wojtka, przesunął jego ciało na plecy i wspierając się na znalezionej obok pałce, spróbował wstać.

— Urosłeś, bracie, nabrałeś wagi — mruczał postępując z wysiłku — nie wiem, czy dam sobie radę. Chłop z ciebie, nie ułomek... Lachę też miałeś nielichą, a tak cię sprali... Widać niejednego drania miałeś na karku. *Nec Hercules contra plures* *, jak mawiała pewna mądra Rzymianka, waląc po pysku męża i tuzin niewolników...

Ciągle pomrukując, rubasznie żartując, aby się nie poddać współczuciu, i klnąc nieznanym wrogów Wojtka, Piorun po kilku próbach wstał zgarbiony pod ciężarem.

Księżyc niezmordowanie oświetlał mu drogę. Piorun szedł wolno, uważnie badając kijem każdy kamień czy cegłę, na których miał postawić stopę. Wywrócenie się na takim terenie nie było bezpieczne. Parę razy zastanawiał się, czy nie zostawić Wojtka gdzieś po drodze i nie sprowadzić kolegów, ale bał się. Kto wie, czy ci — był pewien, że Wojtek miał przeciw sobie kilku łobuzów, a może nawet całą bandę — nie wrócą? Może ich coś spłoszyło, może poszli po posiłki czy coś tam innego?

Szedł więc, wymijając kikuty domów, rumowiska gruzów, po ścieżkach jako tako wydeptanych lub po wąskich i szczyrbatych szczątkach murów jak po grani tatrzańskiej. Wojtek, bezwładnie leżący na jego plecach, jęczał. Wkrótce Piorun poczuł, że z tej strony, gdzie głowa jego opierała się o kark, kołnierzyk koszuli lepi mu się do szyi.

* *Nec Hercules...* (łac.) — I Herkules nie poradzi przeciw wielu.

„Pewno krew z tej rany pod okiem” — pomyślał.

Wojtek ocknął się pod wpływem nowego bólu. Twarz piekła, szczypała, jakby ktoś sypał sól na otwartą ranę. Jęknął, podniósł obronnie dłoń.

— Jeszcze chwila, bracie — usłyszał głos Pioruna — robimy opatrunek, musisz wytrzymać. Jodyna, a potem kompres z wody Burowa. Chłopcy, kto może dać kawał płótna, prześcieradła czy ręcznik?

— Tu jest moja koszula — pisnął jakiś cienki głosik — można ją podrzeć... Czysta, dziś wyprana.

— Ile jeszcze masz tych koszul?

— Jedną. Ale teraz lato, wypierze się wieczorem, to na rano wyschnie.

— Ej, Skierka, niedzielną koszulę chcesz zniszczyć — powiedział karcąco Piorun. — Może co innego się znajdzie. Chłopcy, ruszcie się!

Wojtek usłyszał szuranie, otwieranie walizek czy kuferków, przyciszone narady. Ktoś podszedł do łóżka, na którym Wojtek leżał.

— Może mój ręcznik wystarczy?

— Ujdzie. Poświeć z tej strony.

Wojtek zobaczył nad sobą pochylone twarze. Sami młodzi chłopcy. Cienie ich głów, padające na sufit, wyglądają jak łby gigantycznych potworów. Dziwny ten sufit, półokrągło sklepiony jak nawa kościelna.

„Gdzie ja jestem?” — stara się zrozumieć Wojtek, ale nie chce mu się zadawać pytań. Leży wygodnie, nad nim pochylają się obce, życzliwe twarze. Prawda, jest wśród nich Piorun. Wojtek przypomina sobie, że Piorun znalazł go przy drodze. A potem nic nie pamięta, co dalej. Ale tam, gdzie jest Piorun, jest bezpieczeństwo i przyjaźń. Można odpoczywać spokojnie. Jakieś ręce zdejmują mu ostrożnie buty, spodnie, marynarkę. Czuje dotyk chłodnego prześcieradła, potem ktoś opatula go kocem.

— Napijesz się kawy? — Piorun pochyla się nisko nad nim, dotykając swoją czupryną, która opadła mu na oczy, czoła Wojtka. Wojtek mruga nie obandażowanym okiem.

„Ciekawe, dlaczego nie chce mi się mówić? — myśli zdumiony. — Może to i lepiej, nie chciałbym teraz odpowiadać na żadne pytania.”

Piorun przysuwa mu do wargi ciepłą kawę.

— Mam „kogutka” — mówi ktoś — dać mu?

— Wypijesz proszek od bólu głowy — zarządza Piorun — to prędzej uśniesz.

Wojtek na wszystko się zgadza. Tak, najważniejsze to spać. Może się zapomni, może przestanie boleć?

Ale nie spał długo. Kiedy się ocknął, przeraził się, że nic nie widzi.

„Oślepiłem?!” — pomyślał i serce w nim struchlało. Przesunął ręką po twarzy. Jedno oko zabandażowane, drugie wolne, nie boli, całe. Pewno to noc. Oko powoli przyzwyczajało się do ciemności. W tej nieprzeniknionej, zdawałoby się, czerni zamajaczyły kształty jakichś przedmiotów. Jaśniejszy, nieduży kwadracik. Co to być może? Usłyszał równe oddechy śpiących. Ktoś pochrapuje, gwizdże przez sen. Ktoś płacze. Widać śni mu się coś złego. Dręczą go jakieś mary, jakieś przykre przeżycia. Taki sen męczy, trzeba go przerwać. Wojtek chrząknął, poruszył się, zatrzęszczało pod nim łóżko. Płacz urwał się nagle. A więc ten ktoś nie śpi, czuwa. Cierpi. Chce swoją niedolę przeżyć bez świadków.

„Biedny — pomyślał Wojtek — któryż to z tych chłopców być może? Jest ich tu kilku, dwóm czy trzem przyjrzałem się bliżej, ale jest ich więcej. Właściwie, gdzie ja jestem? Gdzie ten Piorun mnie przytасzczył?”

Zapadał w półsen, męczył się, jęczał, coś szeptał do siebie, potem przytomniał na chwilę. I tak trwało calutką noc.

Nad ranem usnął twardo. Obudził się raptownie, poczuł, że ktoś stoi przy jego łóżku.

Spojrzał przytomniej i zobaczył wlepione w siebie, podpuchnięte od płaczu, czerwone jak u królika oczy Ryśka. Wydało mu się, że to przywidzenie, uszczypnął się w udo, zamknął oko. Kiedy je otworzył, Ryśka już przy nim nie było. Usłyszał ciche skrzypienie drzwi i szybkie kroki na dworze.

Ostrożnie zwrócił głowę w stronę szarego kwadracika, który widział w nocy. Szary kwadracik zniknął. Małe, piwniczne okienko, całe różowe od świtu, wróżyło ciepły i słoneczny dzień.

V. Wśród bogów i ludzi

— Kawa „Pluton” najlepsza — mówił ktoś podzwaniając łyżeczką o blaszany kubek — i przed wojną była najlepsza, i teraz jest najlepsza, kiedy gotuje ją Pluton. Choć z naszego pocziwego żyta, ale ma smak i aromat... Nawet ta nowo otwarta kawiarnia w tramwaju na Krakowskim Przedmieściu nie ma lepszej...

— Ty, Achilles, nie zajeżdżaj z pochlebstwami. Myślisz, że jak dzisiaj wyręczyłem ciebie, to jutro też będę gotował... Nie ma głupich — odpowiedział ktoś ochryłym głosem.

— Przecież jutro, boski Plutonie, twoja kolej.

— Prosiłeś o przesunięcie twojego dyżuru na jutro czy nie?

— Prosiłem.

— No więc.

— Niestety, jutro mam klasówkę z algebry. Muszę powtórzyć wszystkie wzory. Apollo, zastąp mnie, pojutrze twój dyżur... to potem ja za ciebie...

— I znów wymyślisz jaką klasówkę czy repetycje, aby cię zastąpił Sokrates... Albo Cerber.

— Mój wielki imiennik też kucharować nie lubił.

— A kto lubi? — westchnął ten o ochryłym głosie.

— Ja! — zawołał ktoś cienko, po dziecinnemu. — Ale mnie nie ufacie...

— Ufamy, ufamy... będziesz gotował, jak podrośniesz, a my będziemy mieli siwe wąsy i brody...

„Chyba to sen... a może jestem nieprzytomny? Roi mi się to wszystko — rozmyślał Wojtek — czuję, co prawda, zapach tej wspaniałej kawy Plutona... Ale te imiona? Wariaci czy co u licha. A może znalazłem się wśród bogów, na Olimpie...”

Już od dłuższej chwili nie spał, ale nie otwierał oczu, a właściwie jednego, bo drugie było obandażowane i natrętnym łupaniem przypominało przeżycia poprzedniego wieczoru. Leżał nieruchomo, nie miał chęci nawet na najlżejszy wysiłek. Starał się zebrać myśli, wytłumaczyć zagadki, które go otaczały, ale nie udawało się. Skąd się wziął Piorun? Rozpytywał o niego w Warszawie, zaraz po powrocie, wszystko na próżno. I tu nagle, w takiej chwili... Przyniósł go do Ryśka. Stał przecie niedawno, jak zły sen, obok łóżka. To nie było przywidzenie te czerwone od płaczu, podpuchnięte, wpatrzone uparcie oczy. Potem uciekł. Drzwi zaskrzypiały. Ale Pioruna nie ma... Wrogowie to czy przyjaciele?

Coś mu się miękko otarło o twarz, puszyste i ciepłe jak nagrzane słońcem kocie futerko.

— Pimpus — usłyszał karcący dziecinnie głos — Pimpus, chodź tutaj.

Wojtek uchylił powiekę, zobaczył tuż przy twarzy czarnego kocura z białym krawatem.

Kot spostrzegłszy, że Wojtek nie śpi, zamruczał przyjacielsko, przejechał mu ogonem po twarzy i zeskoczył z łóżka.

— Pimpus, ty nieposłuszny łobuzie — strofował ten sam cienki głosik — mówiłem ci,

nie łaż tam... chodź na śniadanie...

Do uszu Wojtka dochodził przyciszony gwar rozmów, śmiechy, dolatywały pojedyncze słowa, z których orientował się, że chłopcy ciągle mówią o sprawach szkolnych.

„Nie pójdę do szkoły ani dziś, ani jutro... Kto wie, może nawet z tydzień... Co pomyśli o mnie pani Maria? Że stchórzyłem? Nie dałem sobie rady? Trzeba ją będzie zawiadomić... Gdyby Piorun tu był... Dlaczego odszedł i nic nie powiedział? Pić mi się chce. Poprosić kogoś z nich! Ale co oni zamierzają?”

Stuknęły odstawione stołki. Zaszurały nogi. Chłopcy wstawali od stołu.

— Dziś kolację gotuje Sokrates — powiedział ten ochryply — a ty, Skierka, podasz Wojtkowi kawę, jak tylko się obudzi.

— A co mu dać jeść? — odezwał się cienki głosik, który niedawno strofował Pimpusia.

— Właśnie — zatroszczył się ochryply Pluton — mamy tylko ten dynamit kartkowy, twardy jak podeszwa... Jak on toto ugryzie?

— Jest jeszcze trochę ryżu z przydziału Chochlika, może mu ugotować?

— Sokrates, w każdej sytuacji jesteś genialny — odpowiedział Pluton — ale ja już muszę iść. Kto to zrobi?

— Mam jeszcze dwadzieścia minut. Nastawię, zagotuję. Skierka przypilnuje, aby się nie przypaliło.

— Dobrze, Piotrek, gotuj. Tylko umyj przedtem garnek.

— Myślisz, że w nie mytym będę gotował?

— A na nie myte ciało włożyłeś czystą koszulę.

— Co dzień mam niszczyć sobie skórę?

— Częste mycie skraca życie! — zawołał chudy chłopiec o łobuzerskich, wesołych oczach i bujnej czuprynie.

— Zobaczysz, Chochlik, sprawię ci kiedy lanie za te wiersze. Nazbierało ci się.

— Tylko się, Piotrek, nie odgrażaj.

„Oprócz bogów i filozofów są tu i zwykli ludzie — pomyślał Wojtek, mimo woli rozśmieszony — którzy nawet myć się nie lubią. Niepotrzebnie się dręczę, to jakieś sympatyczne bractwo. Tylko co tu robi ten Rysiek?”

— Pluton, masz jeszcze trochę mamony? Warto byłoby dla Wojtka kupić ze dwie bułki.

— Mam jeszcze piętnaście złotych, ale potrzebna jest jodyna i bandaże. Wczoraj wyszło wszystko.

Wojtek chrząknął, otworzył oko. Odwrócili się w jego stronę. Pluton podszedł do łóżka.

— Wyspałeś się? Jak się czujesz?

— Dobrze — wyszeptał Wojtek. — W kieszeni spodni są w portfelu pieniądze... weźcie... jeśli tamci nie ukradli...

— Są — Pluton wyjął skórzany, zniszczony portfelik. — Co ci kupić?

— Kup, co potrzeba... i bułek dla wszystkich...

Zauważył wahanie na szczupłej, wychudzonej twarzy Plutona i dodał głośniejszym głosem:

— Należy mi się jeszcze cała tygodniówka od Kisiela... przewoźnika, u którego pracuję... pewno mnie teraz wywali — dodał z niepokojem.

— Kisiela? Znam go — powiedział Sokrates, młodzieniec o wspaniałej czuprynie, zaczesanej do góry, spadającej aż na kark. — Pójdę do niego i wytłumaczę cię. Jeśli się zgodzi, zastąpię cię przez parę dni, aż będziesz na chodzie...

— Dziękuję wam...

— Skierka, podaj mu kawę — zarządził Pluton. — Chłopcy, odmarsz, już czas. Cześć, Wojtek!

W ludnej i gwarnej przed chwilą piwnicy został tylko jasnowłosy chłopiec przezywany Skierką i kędzierzawy Piotruś, który zajął się gotowaniem ryżu.

Skierka przyniósł w fajansowym kubku ciepłą kawę. Podał ją Wojtkowi, usiadł na

krawędzi łóżka. Pimpus skoczył mu na kolana. Chłopiec zaczął go głaskać.

— Bardzo cię boli? — zapytał po chwili, przypatrując się ze współzuciem Wojtkowi.

— Niewiele. Wczoraj to bolało solidnie. Czuję się tylko osłabiony.

— Jak zjesz ryżu, to od razu będziesz mocniejszy. Pewno jesteś bardzo głodny.

— Nawet nie. Słuchaj, co to jest za dom czy mieszkanie?

— To? Hades.

— Jak?

— Hades. Królestwo boga podziemi, Plutona.

— Nie błażnij, powiedz na serio.

— Mówię serio. Widzisz, Pluton, to jest Krzysiek, wynalazł tę piwnicę wśród gruzów. Zamieszkał tu najpierw z Achillesem, czyli Sylwkiem, tym w okularach. To jest jego przyjaciel, razem byli w powstaniu, teraz są razem w liceum... walczyli razem... tak jak i ja... ale mój przyjaciel zginął.

Cienki głosik Skierki załamał się. Chłopiec spuścił oczy. Ciężkie milczenie przerwał Wojtek:

— Walczyłeś? Byłeś w Szarych Szeregach?

— Tak. Razem z Warszawiakiem. Słyszałeś o kapralu Warszawiaku? Był ode mnie starszy o pół roku. Nasza drużyna, co to była za drużyna, mówię ci! A najodważniejszy był Warszawiak... Dlatego zginął.

— W powstaniu śmierć nie wybierała — odpowiedział cicho Wojtek — różni ginęli... i ci, co brali udział, i ci, którzy jeszcze nie potrafili czy nie mogli walczyć.

— Prawda. Hania też zginęła, choć jeszcze nie potrafiła walczyć — szepnął Skierka.

— Czy to twoja siostrzyczka?

— Nie. Koleżanka z podwórka. Razem bawiliśmy się w berka i w chowanego. Potem ja poszedłem do powstania. A kiedy raz przyszedłem do naszej kamienicy... to i kamienicy nie było... i podwórka nie było... Na gruzach, tam gdzie dawniej pośrodku podwórza rósł bez, znalazłem mały kopczyk... a na nim drewnianą tabliczkę z napisem: „Śp. Hania Krawczyk, lat 10. Zginęła dnia 15 sierpnia 1944 r.”

Głos Skierki znowu się załamał. Od „kozy” dochodziło bulgotanie ryżu w garnku i pogwizdywanie Piotрка.

— Dlaczego tak się dziwnie poprzyżywaliście?

— Tomek Zieliński, nie wiem, czy go zauważyłeś, taki mały w zielonej wiatrówce, tak nas poprzyżywał. On, widzisz, mówi, że będzie się uczył na takiego, co bada przeszłość. Mówi, że musi odnaleźć najstarsze pamiątki ze Starówki, że zapisze się do takiej szkoły, gdzie uczą, jak kopać ziemię, aby znaleźć te... tam no, zabytki.

— Chce zostać archeologiem? Ale to najpierw trzeba by zdać dużą maturę, a potem pójść na uniwersytet.

— On jest w pierwszej liceum...

— A co ma wspólnego Hades ze Starówką?

— Nic. Tylko Tomek ma dwie książki. Grecja niepodległa i Starość bajeczna.

— Starożytność bajeczna — poprawił Wojtek.

— Tak, tak — ucieszył się Skierka — napisana przez Tadeusza Zielińskiego.

— To jego rodzina?

— Chyba nie... Gdyby to była rodzina, Tomek by się tym chwalił. Ja bardzo lubię, jak on nam czyta bajki z tych książek.

— Ale ty nie masz starożytnego przezwiska.

— Nie. To znowu Apollo, to jest Mirek, tak nas przezwał.

— Któryż to?

— Ten taki... jak panna... jak się raz przebrał za dziewczynę, to nikt by nie uwierzył, że to chłopak. On się tym martwi, ale Sokrates go pociesza. Mirek chce grać w teatrze i Sokrates

mówi, że tam to nic nie szkodzi taka uroda. Mirek lubi deklamować wiersze. I czytał nam Balladynę. To o takiej złej siostrze, co zamordowała swoją siostrzyczkę, bo jej nie chciała dać dzbanka malin... Czytałeś może? A tam występuje taki łobuziak, co się Chochlik nazywa. Więc Adaś został Chochlikiem, bo on ciągle płała figle... I przez niego ja zostałem Skierką. Ale to chyba nie jest paskudnie?

— To całkiem ładnie. I pasuje do ciebie. Musi tu być u was przyjemnie i wesoło mieszkać?

— Bardzo. I bardzo nam razem dobrze. My, widzisz, wszyscy nie mamy nikogo z rodziny w Warszawie. Ja byłem u chłopca na wsi. Jak Niemcy wywozili ludzi z Warszawy, to i mnie wywieźli po upadku powstania... Tam u tego chłopca było ciężko... musiałem dawać świniom i krowom jeść... nosić wodę po czterdzieści wiader dziennie... pomagać w gospodarstwie... toteż zaraz po wyzwoleniu uciekłem... wróciłem zaraz na Starówkę... ale tu nie było nic. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Kręciłem się przy żołnierzach naszych i ruskich, bo oni to zawsze głodnego człowieka pożywią. Chcieli mnie umieścić w domu dziecka, ale ja spotkałem na ulicy Krzyśka, to jest Plutona, on mnie pamiętał z powstania... i zabrał tutaj. Wiesz, bardzo jestem rad, że nie trafiłem do tego sierocińca... tu mi dobrze. I jestem na Starówce. Czekam, aż moja mamusia wróci...

— Gdzie jest twoja mamusia?

— Nie wiem. Mówili, że z naszego podwórka wszyscy poszli na rozwałkę, ale ja nie wierzę. Jeśli jest tam grób Hani, to inne też powinny być, a nie ma... szukałem dobrze...

— A twój tatuś?

— Był w stalagu. Jeszcze nie wrócił.

Ostatnie łyki kawy wydawały się Wojtkowi gorzkie, ledwo je przełknął.

Skierka zabrał mu pusty kubek z ręki.

— Dodać jeszcze?

— Na razie dziękuję.

— Jak tatuś i mamusia wrócą, to łatwiej mnie odnajdą na Starówce. W naszym podwórku na resztkę muru napisałem kredą, gdzie mieszkam.

— Bardzo dobrze zrobiłeś. Tak się wiele rodzin odnalazło.

— Prawda? Ja też czekam.

— Skąd masz tego Pimpusia?

— Też go znalazłem. W ruinach. Był taki chudy, mówię ci, resztki wyleniałej skóry i kości. Bał się mnie strasznie, ale przyniosłem mu wody i chleba... wtedy dał się złapać.

— Dziwne. Przecie w ruinach tyle szczurów. Miał chyba co jeść.

— Może zjadł jakiego zatrutego szczura i ten mu zaszkodził. A teraz ich nie je, tylko łapie i dusi. Bardzo na szczury zawzięty. Czasem rano przy swoim łóżku znajdują trzy, cztery poukładane rządkiem. On przynosi mi takie prezenty, a chłopcy się ze mnie śmieją. Ale bez niego szczury na pewno by nas zjadły.

— Widzę, że ma uszy poogryzane i ogon jakiś krzywy. Ale bardzo ładny i spasiony jak kapucyn. I wielki.

— Prawda? Niektóre szczury są prawie takie wielkie jak on. Ale Pimpus wszystkim daje radę.

— Kto wymyślił dla niego taką nazwę?

— Chochlik. Czytał kiedyś książkę o Pimpusiu Sadełko. Żebyś ty wiedział, co to było za zmartwienie z tym Pimpusiem!

— No?

— Drugiego dnia, jak go przyniosłem, Pimpus zjadł całą słoninę, którą miała być okraszona nasza kolacja. Ja to się nawet ucieszyłem, bo ta amerykańska słonina jest żółta i gorzka, bardzo jej nie lubię, wolę zupę choćby tylko z solą... Bronek był wtedy kucharzem i chciał Pimpusia za to zabić... Pimpus jeszcze wtedy nie nazywał się Pimpus. Wołaliśmy na niego

„kici” i koniec. A jak się wykryło, że on zjadł tę słoninę, to Broniek zaczął za nim latać z kijem. Ja płakałem, a Chochlik zawołał: „Broniek, Cerberze, Pimpusia Sadełkę chcesz zamordować? Zobaczysz, ciebie szczury zjedzą, jak Popiela myszy! Nie słyszałeś, jak dziś w nocy drapały? Przy twoim łóżku... I kto cię obroni?” Broniek strasznie boi się szczurów, aby mu się nie dobrały do kufierka, bo on tam ma różne skarby. Darował więc Pimpusiowi życie... Bałem się, że Pimpus i tak zdechnie po tej słoninie, ale popatrz, wytrzymał... Tylko trzy dni wodę pił. Stękał i pił... A teraz Broniek z Pimpusiem bardzo się nie lubią...

— Który to Broniek?

— Taki w kolorach na twarzy... i taki okrągły jak księżyc. Ale dziś nie nocował w domu. On jest ze wsi. Chodzi do tej samej szkoły, co Tomek, który go tu sprowadził.

— To jest was tu razem dziewięciu?

— Razem z Pimpusiem jedenastu.

— To znaczy ze mną dziesięciu?

— Nie, z tobą będzie dwunastu. Jest jeszcze Rysiek, przyszedł niedawno, parę dni temu. Ale on rzadko z nami przebywa. Wraca zawsze bardzo późno. Dziś to nawet nie nocował.

Wojtek omal nie powiedział, że właśnie nocował, ale w porę ugryzł się w język. Nie może przecie wyznać temu malcowi, że zna Ryśka, nie może nikomu nic mówić do czasu rozmowy z Piorunem.

— Skierka, pilnuj teraz tego ryżu, na mnie czas! — zawołał Piotrek. — Jeszcze z dziesięć minut i będzie miał dość!

Wojtek pozostał tylko z miłym Skierką. Chłopiec biegał co chwila od łóżka do „kozy” i sprawdzał, czy się ryż nie przypala. Opowiadał przy tym Wojtkowi różne drobiazgi z codziennego życia, czasem jakimś zdaniem zahaczał o powstanie, ale Wojtek nie wypytywał go, choć miał na to ochotę. Wiedział, że te wspomnienia chłopca boją, więc lepiej niech przyschną. Skierka martwił się, czy ryż naprawdę będzie gotów za parę minut. A może to potrwa jeszcze parę godzin?

— Bo ja, widzisz, uczę się na drugiej zmianie, a jest jeszcze trzecia zmiana dla tych, co nie mogą uczyć się rano czy w południe.

— Do jakiej szkoły chodzisz?

— Do powszechniaka. Klasa czwarta. Nie jestem opóźniony, bo w czasie okupacji uczyłem się.

Wojtek ostrożnie uniół głowę i rozejrzał się po izbie. Obszerna. Najmniej 50 metrów. Na ścianach różne plakaty, reklamy w krzyżących kolorach, jeszcze niektóre przedwojenne, kilka sosnowych gałęzi. Spore okienko, teraz uchylone, przepuszcza dosyć światła, a nawet trochę słońca. Jak ładnie wygląda Skierka pochylony nad garnkiem, w którym miesza ryż. Błyski ognia spod płyty „kozy” różowiają jego podbródek i dół twarzy, górą złocą mu jasną główkę promienie słońca.

„Gdybym umiał, namalowałbym taki obraz: Uczeń alchemika — pomyślał Wojtek — trochę starszy od mego braciszka Heńka i taki sam jasnowłosy, i taki sam miły, przylepny. Całym sercem można się przywiązać do takiego chłopaka... Wezmę go ze sobą na wakacje, kiedy będę jechał na Mazury do moich...”

Skierka z namaszczeniem próbował ryż.

— Wiesz, zdaje mi się, że już miękki, ale może i ty spróbujesz? Chyba za mało słony?

— Daj, spróbuję.

Ryż parzył wargi, wprawdzie bez tłuszczu, tylko posypany cukrem, wydawał się królewskim przysmakiem.

— Weź miseczkę i odłóż i dla siebie porcję. Samemu przykro jeść. A po tej kawie i dynamicie przyda ci się coś pożywniejszego.

— Do dynamitu przyzwyczaiłem się — odpowiedział Skierka — był zresztą z marmoladą. A w szkole dostajemy fajną zupę. Dobrze kraszona, z kluskami, z fasolą. Czasem nawet

z konserwami. Nie zabieram nigdy drugiego śniadania. A kolacja tutaj to prawie zawsze pycha.

— Prowadzicie wspólną kuchnię?

— Tak. Wszystkie przydziały kartkowe, kaszę, słoninę, cukier i konserwy dajemy do wspólnej spizarni. I z tego gotujemy śniadania i kolacje. Obiady wszyscy jadają na mieście, bo prawie cały dzień jesteśmy poza domem.

Dom. Jak dziwnie brzmi nazwanie tej piwnicy, tego „Hadesu” domem. Ale widocznie chłopcy czują się tu jak w domu, jak w jednej rodzinie, skoro i ten mały tak mówi. „Trzeba ich poprosić, aby przyjęli i mnie — pomyślał Wojtek, jednak po chwili przyszła refleksja — a co z Ryśkiem? A może wśród napastników -był jeszcze któryś z tych chłopców?” Wstrząsnął się na tę myśl, ale zaraz ją odpędził. To chyba niemożliwe!

— Słuchaj, na czym łóżku ja leżę?

— To łóżko Bronka. On został na Pradze u swego kuzyna, bo przyjechała ze wsi jego matka. I powiedział, że nie wróci na jedną albo dwie noce. Ale nie martw się, jak Bronka wróci, to oddam ci swoje łóżko, a sam prześpię się u Chochlika. Jutro Piorun i Sokrates będą cały dzień w domu, jest trochę desek, to zbiją dla ciebie łóżko.

— A gdzie jest Piorun? Nie widziałem go rano.

— Wyszedł z domu o szóstej. Pojechał w teren. Widzisz, on należy do ZWM i często wyjeżdża na prowincję w różnych sprawach. A kiedy wraca, to jeden dzień ma wolny. Sokrates też. Lubisz oglądać obrazki?

— Lubię — uśmiechnął się Wojtek — dlaczego pytasz?

— Dam ci te książki Zielińskiego o Grekach i greckich bogach, będziesz sobie oglądał, jak ja pójdę. Żeby ci się nie nudziło.

— Zostanę sam? — zaniepokoił się Wojtek.

— Boisz się? — zdziwił się Skierka.

— Nie, nie... — powiedział Wojtek i pomyślał ze strachem: „A jeśli Rysiek w tym czasie sprowadzi tu Niwińskiego i jego bandę?”

— Będzie z tobą Pimpus — przekonywał go Skierka — nie masz się czego bać. Niedługo wróci Achilles.

— Nie, ja się nie boję — przemógł się Wojtek — tylko nudno samemu.

— To będziesz miał książki i greckich bogów do towarzystwa. Tu są ładne ilustracje. Szkoda, że nie możesz wstać, posiedziałbyś na słońcu, tak dziś ciepło...

— Wiesz co? Spróbuję wstać. Rzeczywiście, nie warto siedzieć tutaj, jeśli można wygrzać się na słońcu...

— Pomogę ci się ubrać.

Jakoś udało się to, choć z niemałym trudem.

„Kości całe, tylko trochę potłuczone — pomyślał z ulgą Wojtek — oko też mniej boli, chyba jednak nie naruszone.”

Wspierając się jedną ręką na zdobycznym kiju, drugą na ramieniu Skierki, Wojtek dotarł do drzwi. Wyjście na dwór prowadziło przez wąski, długi korytarzyk, odgałęziający się w jednym miejscu w niedużą niszę. Było tu dość mroczno, ale w niszy Wojtek zauważył pleciony kosz, wielki jak kufer.

— Ale kosz — zdziwił się Wojtek — chyba królowa Bona z takimi wyjeżdżała z Polski.

— My go nazywamy „puszką Pandory” — roześmiał się Skierka. — To kosz Hefajstosa, tego kędzierzawego Piotrka. On ma w nim pełno różnego żelastwa pozbieranego w ruinach. Bo, widzisz, on uczy się na mechanika. I mówi, że sam sobie skonstruuje samochód... Tylko brak mu jeszcze różnych części...

— A przede wszystkim pewnie pieniędzy — powiedział Wojtek.

— Hefajstos mówi, że zbuduje samochód bez pieniędzy.

— Prawdziwi cudotwórcy mieszkają w tym Hadesie. I bogowie, i cudotwórcy, a w ogóle sympatyczne bractwo — uśmiechnął się Wojtek.

— To się wie — przyświadczył poważnie Skierka. — Nie zmęczyłeś się?

— Nie, wcale. Ten ryż dodał mi sił. Kiedy się obudziłem, myślałem, że ręką nie będę mógł ruszyć.

— A nie mówiłem? Patrz, tu zrobiliśmy ławkę. Kładzie się na te kamienie kawałek deski i można usiąść wygodnie. Zaraz tę deskę przyniosę. Trzeba ją chować, bo jeszcze kto zabrałby na opał. I wezmę butelkę wody.

— Wody? Chce ci się pić?

— Nie, to do innych celów — Skierka poczerwieniał, był wyraźnie zmieszany.

Po chwili przyszedł z kawałkiem heblowanej deski i litrem wody.

— Siadaj. Ja skoczę tu niedaleko.

Wojtka intrygowała ta woda. Gdzie i komu chce ją zanieść Skierka? Odpowiedział:

— Jeśli nie sprawi ci to przykrości, chętnie poszedłbym jeszcze kawałek z tobą.

— Chodź.

W jaskrawym majowym słońcu rany Starówki wyglądały jeszcze boleśniej. Wojtek wstrząsnął się. Chociaż widział wiele ruin i zgliszcz, tu krzywda zamordowanego miasta wyglądała najpotworniej. Skierka umilkł.

Szli rzeczywiście niedaleko. Wśród gruzów wydeptane były ścieżki, niekiedy kilka równo ułożonych cegieł ułatwiało przejście, chroniło przed zbłąkaniem.

— Tu było Podwale — Skierka zatrzymał się — a tu nasza kamienica. Chodźmy jeszcze kawałek, gdzie rósł bez.

Na małym, może metrowym kawałku odgrzebanej spod gruzów ziemi wyrastało kilka wiotkich, zieleniejących pędów. Obok również oczyszczony z gruzów, równo uklepany kopczyk. Patrzyły z niego ku niebu tysiące niebieskich oczek.

— Niezapominajki — szepnął wzruszony Wojtek — już kwitną.

— Przywiozłem je dla Hani ze wsi. Zabrałem się wojskowym samochodem. Zasadziłem je i patrz, jak się przyjęły. Tylko muszę dwa razy dziennie podlewać — krótko jak sprawozdanie wyjaśnił Skierka. Ostrożnie, aby się nie zmarnowała żadna kropelka, podlewał każdy krzaczek z osobna.

Wojtek ogarnął jeszcze raz wzrokiem wypalone szkielety domów, spojrzął na niebo czyste, błękitne jak te niezapominajki i na mały kopczyk, który tak starannie opryskiwał wodą jasnowłosa Skierka. Kto i kiedy wróci życie tej sponiewieranej, bohaterskiej Starówce?

VI. Cud w koszu

Wojtek siedział na ławeczce przed Hadesem i wygrzewał się na słońcu. U jego stóp ulokował się Pimpuś. Było ciepło, wiosennie. Od strony Wisły wiał lekki, łagodny wiatr. Wokoło było pusto i głucho. Gdzieś z ruin dochodziło gruchanie gołębi i świergot wróbli. Wojtek wsparty na zdobycznym kiju drzemał, a raczej starał się drzemać i nie myśleć o niczym, bo myśli były bolesne i gorzkie.

Zazgrzytały podkute buty, Wojtek podniósł głowę zaniepokojony. Ale to nie był ani Rysiek, ani Niwiński. Szedł w jego stronę nieduży, przysadzisty chłopak o puciołowatej, czerwonej jak piwonia twarzy. Niósł sporych rozmiarów płócienny węzełek i widocznie się zmęczył, bo całą twarz miał usianą kropelkami potu.

„Broniek-Cerber — domyślił się Wojtek — już wraca od mamy, straciłem wyrko na

dzisiejszą noc. Gdzie ja będę spał? Może na łóżku Pioruna, jeśli nie wróci z terenu. Skierka gościnnie chce odstąpić mi swoje wyrko, ale to jakoś głupio pozbawiać go noclegu.”

— Dzień dobry — mruknął niepewnie przybysz.

— Dzień dobry — powiedział Wojtek. — Kolega Bronek?

— Aha, a wy kto?

— Wojtek.

Bronek wyciągnął spoconą dłoń.

— Cześć. Czemu masz taką obandażowaną głowę?

— Nic ważnego. Miałem wczoraj wypadek.

— Mieszkasz u nas?

— Chwilowo.

— Jest kto w izbie?

— Nie ma nikogo. Dziś ja pełnię straż.

— To dobrze. Wiesz, zawsze się martwię, że nas okradną, gdy tak wszyscy wyruszamy z rana.

— Nie zamykacie?

— Zamykamy. Klucz się chowa pod progiem, ale cóż to taka kłódeczka dla złodzieja.

— Czy złodziejowi opłaciłoby się do was przyjść? Nawet by mu się nie wróciło za fatygę — zażartował Wojtek.

— Wszystko się ludziom może przydać. A po wojnie ludzie zrobili się strasznie chciwi.

— Wojna nie skończona — sprostował Wojtek — wprawdzie nie ma jej na naszej ziemi, ale pod Berlinem nasi walczą.

Bronek nie odpowiedział i wszedł do Hadesu.

Nadciągnęły z zachodu wełniaste chmurki, powiało chłodem. Pimpus wstał, przeciągnął się i skoczył do sionki. Wojtkowi przypomniała się nienawiść między Bronkiem i Pimpusiem, więc w obawie, aby Cerber nie pokrzywdził kota podczas nieobecności Skierki, poszedł za nim.

Bronek-Cerber siedział na swoim łóżku i połykał wielkie kęsy bułki z szynką. W przyzwoitej odległości na łóżku Skierki Pimpus obserwował Cerbera z godnością i spokojem. Od czasu do czasu oblizywał się różowym, cienkim językiem.

„Apetyt musi ci się rozejść po kościach, Pimpusiu — pomyślał Wojtek — od tego grubasa nawet na polizanie nie dostaniesz, to pewne.”

Bronek, zobaczywszy Wojtkę, rękę z bułką schował do kieszeni i śmiesznie, szybko poruszył szczękami, by przełknąć ostatni kęs.

Wojtek podszedł do kotła, zaczerpnął kubek zimnej kawy, wypił wolno, wziął Pimpusia na rękę i wyszedł przed sień. Obżerający się ukradkiem Cerber wydał mu się niesympatyczny i postanowił nie wracać do Hadesu, dopóki nie przyjdą inni chłopcy.

Nie czekał długo. Wkrótce nadszedł kędzierzawy Piotrek-Hefajstos i ucieszył się, zobaczywszy Wojtkę siedzącego na dworze.

— Już ci lepiej, co? To morowo. Wiesz, kupiłem pół kilo kaszanki, chodź do sali, odgrzeję ją i zjemy. Jestem głodny, a do kolacji daleko. Ach, jakie u rzeźnika były fajne parówki, mówię ci. Zapach od nich szedł, aż mnie skręcało.

Minęli się we drzwiach z Cerberem.

— Bronek, jeszcze wychodzisz?

— Tak, idę matkę odprowadzić na dworzec. Na noc wrócę.

— Wiesz, bracie — mówił marzycielsko Piotrek, układając grube plastry kaszanki na patelni, gdzie skwierczała żółta słonina — jak tylko zarobię więcej forsy, to kupię trzy kilo parówek i wszystkim zrobię bal. Takie tłuste, chrupiące parówki. Gryziesz, bracie, a tu sos spływa ci po brodzie, po palcach, że nie nadążysz zlizywać... I do tego białe, prawdziwe kajzerki...

Wojtek spojrział na ciemne, ze śladami smarów ręce Piotrka i mimo woli zapytał:

— A czemu ty, bracie, łap nie myjesz, kiedy wracasz ze szkoły?

— I ty też się czepiasz — odpowiedział z łagodną wymówką Hefajstos, ale spojrział na swoje dłonie i roześmiał się. — Myślisz, że to taka łatwa sprawa? Posiedź tak ze cztery godziny w warsztacie przy tokarce albo frezarce, to i twarz zrobisz sobie na Murzyna, rodzona matka ciebie nie pozna.

— Byłeś dziś w warsztacie?

— Nie, dziś były tylko lekcje, zajęć praktycznych nie było.

— Więc od wczoraj nosisz te smary?

— A, od wczoraj. No, niech tam, zrobię ci przyjemność.

Piotrek dość długo szorował ręce proszkiem do prania i pumeksem, potem wytarł je z widocznym zadowoleniem.

— Patrz, jakie białe i delikatne, panienka by się nie powstydziała. Tylko te paznokcie trochę za czarne, z żalobą po zdechłym szczurze, jak mówi Skierka.

Kaszanka odsmażyła się, ukroili sobie po dużej pajdzie dynamitu i zaczęli wcinać.

— Słuchaj, albo tak kupić parę kilo schabu, udusić razem z cebulką... Do tego gorące kartofle i kiszzone ogórki... — wrócił do ponętnych marzeń Piotrek.

— Pójdę znowu do pracy, to za pierwszą wypłatę kupię trzy kilo parówek dla wszystkich — powiedział Wojtek — z duszeniem schabu za dużo kłopotu.

Kędzierzawy Hefajstos zawstydział się.

— Ja tylko tak o tych parówkach i schabie... poetycznie... bo lubię pomarzyć... Przecie od wyzwolenia ani razu głodny nie byłem. Nie masz pojęcia, co to jest głód... W takiej chwili to nawet dynamit byłby marcepanem...

— Ba, pewnie — uśmiechnął się Wojtek.

— Choćby mi skąd forsa wpadła, to parówek i tak nie kupię — zaczął zwierzać się Hefajstos — bo widzisz, bracie, ja składam na samochód...

Wojtek roześmiał się.

— Wszyscy się śmieją, jak o tym mówię — Piotrek przerwał ugniatanie kulek z gliniastych okruszyn chleba i spojrział na Wojtkę żałośnie. — A ja samochód mieć będę, zobaczysz. Przecie mam cały kosz różnych części. Nawet motor od citroena, tylko wał korbowy w nim pęknięty i brak mu tłoka... Mam też nowy klucz francuski...

— Jak masz klucz, to i o samochód będzie łatwiej — zażartował Wojtek.

— No, widzisz! — zawołał z zapałem Hefajstos. — Jeszcze ja ciebie do twoich rodziców własnym samochodem odwożę.

— Och, moi rodzice daleko... pod Niborkiem...

— Co to znaczy dla samochodu... guzik... Będę miał takiego packarda...

— Przecież motor masz od citroena.

— Głupstwo. Motor wymienię na inny w jakimś warsztacie samochodowym... Karoserię fajną sobie upatrzyłem.

— Gdzie?

— Na Miodowej. Pomożesz mi przyciągnąć? Za parę dni chcę iść po nią.

— Przecie to nie twoja własność.

— To się wie. Pozostałość po okupantach. „Mienie opuszczone należy do władz”. Tak orzekł Sokrates. Pójdę do magistratu, aby mi sprzedali. Po cenach znizonych oczywiście, bo to dla celów naukowych. Ale wolę dla porządku mieć papierek, aby się później nie czepiali. Patrz, kawa już gorąca. Może jeszcze dynamitu z marmoladą?

— Nie cierpię jej.

— Ja też, ale jem. Zawsze są w niej jakieś tam odżywcze składniki. Kalorie czy witaminy. Bóg wie co. Może tylko skisłe buraki.

— Buraki zawierają również witaminy.

— A widzisz — ucieszył się Hefajstos — ja sobie nieźle podjadłem, ale taki mam nałóg: jeść na zapas. Pieroński głód przeszedłem w powstaniu... Dlatego teraz ciągle się boję, aby nie być głodnym... Na jutro mam zadanie o dwóch pędzących pociągach. Muszę obliczyć, kiedy one się wyminą i z jaką szybkością. Pojęcia nie mam, jak się do tego zabrać.

— Spróbujmy razem — zaproponował Wojtek.

Zajęli się zadaniem. Wrócił Sokrates, potem niedługo Chochlik i Skierka. Nie zwracali na nich uwagi, zajęci szybkością pędzących ekspresów. Sokrates przyrządził kolację. Chłopcy poszli po wodę, dość długo nie wracali. Nadszedł Pluton i Achilles. W Hadesie robiło się coraz gwarniej.

— Resztę odwalimy po kolacji — zdecydował Piotrek składając zeszyt — teraz w tym harmiderze trudno skupić myśli, a po kolacji obowiązuje silentium. Pimpus, mam tu dla ciebie skórki.

— Wypuściłem go przed chwilą — odezwał się Sokrates — zdaje się, że miauczy w sieni.

Piotrek podszedł do drzwi, otworzył, zawołał, ale Pimpus nie przyszedł, choć odpowiedział miauknięciem. Piotrek wyszedł do sieni, strofując po drodze Pimpusia:

— Taki z ciebie hrabia, że pod nos mam ci te flaczki nosić, przyjsć samemu to nie łaska?

Chwilę trwała cisza, potem Wojtek usłyszał, że zaskrzypiało wieko od „puszki Pandory”, i nagle zelektryzował wszystkich donośny, przejęty wzruszeniem głos:

— Cud! Cud! Matka Boska!

Tomek-archeolog rozsypał na ziemię pocztówki z widoczkami Starego Miasta. Achillesowi wypadł z ręki kubek z kawą, Apollo zgubił spinkę od koszuli, Sokrates cisnął warząchew, którą mieszał jagły, i wszyscy rzucili się w stronę drzwi. Za nimi poszedł Wojtek.

Nad otwartą „puszką Pandory” stał Piotrek ze wzburzoną kędzierzawą czupryną, z wytrzeszczonymi w zachwycie oczami i rękoma złożonymi jak do modlitwy. Obok stali Skierka i Chochlik trzymając krzywo wiadro, z którego wylewała się woda. Z czeluści kosza sterczał koniec krzywego ogonka Pimpusia.

Sokrates opanował się pierwszy. Schylił się nad koszem i rzeczowo stwierdził:

— Szynka. I placek. Ciekawe.

Głos Sokratesa wrócił kędzierzawemu Piotrusiowi zachwianą równowagę ducha. Zaczął tłumaczyć prędko, dławiąc się własnymi słowami:

— Wychodzę na korytarz... wołam Pimpusia... bo te skórki. a on nic... siedzi na moim koszu, ociera się o niego... wacha... a minę ma... jakby anioła zobaczył... i mruczy... drapie... „Pimpus zwariował — myślę — ...a może szczury w moim motorze?” Ale jak Pimpus czuje szczury, to nie tak... inną ma minę... otwieram ostrożnie kosz... patrzę... jakaś obca paczka... solidnie zawiązana w płótno. Biorę ją delikatnie, rozwijam, diabli mogą wiedzieć, co to jest... a Pimpus szaleje... mruczy, śpiewa tenorem, nie fałszuje jak Apollo...

— Hm — chrząknął groźnie Apollo, ale nikt na to nie zwrócił uwagi. Wszyscy pochylili się nad koszem. Wywinięta jak niemowlę z pieluszek z przetłuszczonych papierów i płótna leżała brunatnoróżowa szynka sporych rozmiarów. Obok prezentował swoje smakowite, ogorzale oblicze placek posypany kruszonką.

„Powiedzieć im? Chyba lepiej nie? — zastanawiał się Wojtek. — Trzeba dać obzartuchowi nauczkę...”

Piotrek schylił się i ostrożnie, jakby się bał, że szynka się zdematerializuje, ulotni się piękny sen przy gwałtownych ruchach, uniósł ją na dłoniach...

— Bierz placek, Sokrates — zwrócił się do najbliższej stojącej Andrzeja.

Rozstąpili się szpalerem, a Piotrek przeszedł dostojnie, z powagą, jakby niósł Koran przed wyznawcami proroka. Pimpus kroczył na przodzie, z zadartym krzywym ogonem, zdając sobie sprawę, że jest bohaterem niecodziennego zdarzenia.

- Będziesz dzielił, Hefajstos — powiedział Sokrates, kładąc placek na stole.
- Ty jesteś dyżurny — odpowiedział Piotrek.
- Krojmistrz dyżurny, do dzieła! — zawołali chłopcy.

Sokrates zdjął ze ściany sztylet, który zazwyczaj służył do rąbania drzazg na ogień, przeciągnął nim kilkanaście razy po kuchennej płycie dla nadania odpowiedniej ostrości i zaczął kroić cienkie, różowe, soczyste, z białym otokiem tłuszczu plasterki. Pimpus usadowił się naprzeciwko na stole, wiedząc dobrze, że w takiej chwili ujdzie mu to bezkarnie. Mruczał przy tym jakiegoś triumfalnego marsza.

Kilkanaście par oczu śledziło z przejęciem i należyтым skupieniem każdy ruch sztyletu. Tylko Achilles starał się okazać obojętność na sprawy żołądka i znalazłszy życzliwego słuchacza w Wojtku, zaczął wspominać swoją partyzancką przeszłość.

— Siedzę na tym stanowisku, mówię ci, że dwie godziny albo i dłużej. Nudno, sennie, cicho. Żreć się chce, wypilem resztę kawy z manierki, zapalić nie mogę, bo porucznik zabronił... Myślę sobie: „Nic tu nie ma i nie będzie, widać fałszywy był alarm o tych Szkopach ukrytych w ruinach po drugiej stronie...” Już nawet myślę ułożyć się wygodniej, naraz coś zazieleniało w wypalonym oknie... Składam się, trach... i Szkop leci na ulicę... Mignęło znowu... ja trach... i Szkop leży... nikt mi nie odpowiada... cisza... za chwilę trzeci... „Zgłupieli myślę-czy co...” Znowu trach... jak w kaczy kuper... po paru minutach czwarty... Mierzę od niechcenia... trach... i ten gotów... potem piąty...

Sokrates podniósł w górę ostrzegawczo swój sztylet.

— Achilles, jeśli zamordujesz tego piątego, cofnę ci przydział szynki.

Achilles przełknął ślinę, błysnął okularami na Sokratesa i zakończył spokojnie:

— Ten piąty... hm... tego piątego to ja wziąłem do niewoli żywcem...

— Krojenie skończone — oznajmił Sokrates — na ile porcji dzielić?

— Na dwanaście — powiedział szybko Skierka.

— I Pimpus do równego podziału? — oburzył się Sokrates.

— I Pimpus — poparł Skierkę kędzierzawy Piotrek. — Kto wykrył cud w koszu? Jadłbyś szynkę bez Pimpusia? Placka możesz mu nie dawać, bo on nie amator na słodycze.

Takiej wesołej i sutej uczyty nie było jeszcze jak Hades Hadesem. Wzgardzone jagły odstawiono w kąt, na półkę powędrował dynamit. Chłopcy wsuwali szynkę z bułkami, które przyniósł Pluton za pieniądze Wojtkowe. Nieoczekiwanie, wcześniej, niż zapowiadał, wrócił Piorun. Wyjazd w „teren” został odłożony na kilka dni, bo samochód nawalił i trzeba go było oddać do naprawy.

Znowu hałaśliwie, z wybuchami śmiechu, opowiedzieli mu o cudzie. Zastanawiali się, skąd szynka w koszu, ale nikt nie wpadł na właściwy domysł. Zwolennicy cudu triumfowali.

Po kolacji Wojtek podszedł do Pioruna.

— Masz czas? Chciałbym z tobą pogadać.

— Chodźmy na powietrze — odparł Piorun. — Zaczekaj, wezmę tylko papierosy. I wciągnę sweter, bo wieczór zapowiada się chłodny. Tobie też przyda się coś cieplejszego. — I zarzucił Wojtkowi na ramiona swoją kurtkę.

W tej chwili wszedł do izby Bronek. Zauważył resztki uczyty na stole i jedną, nie ruszoną, na swoim talerzyku, porcję szynki z dwiema bułkami i kawałkiem placka.

— Co to? — zapytał zduszonym głosem.

— Jedz, Cerber. Prezent od Matki Boskiej. W moim koszu znalazłem, kapujesz? — powiedział podniośle Hefajstos.

Wojtkowi wydało się, że Bronek zachwiał się i zbladł. Nie wyciągnął ręki do gościnnie podsunętej porcji.

— Nie mam apetytu — wykrztusił i podszedł do swego łóżka.

Wojtek popatrzył za nim. Cerber wyciągnął spod łóżka drewniany kufer, otworzył, wtoczył do niego ręcznik, szczotkę i dwie książki, które leżały na łóżku, przycisnął kolanem,

zamknął. Zwinął koc w rulon, związał sznurkiem.

— Co ty robisz? — zdziwił się Skierka.

— Wyprowadzam się na Jagiellońską. Wynająłem samodzielny pokój na parterze — odpowiedział dumnie.

Wprawdzie to nie był samodzielny pokój, tylko kąt w kuchni, i nie od zaraz, tylko od piętnastego, ale tak go wzburzył wypadek z szynką, że postanowił prosić właściciela, aby go przyjął natychmiast.

— Wynajął garsonierę — powiedział Mirek-Apollo, wydymając wargi.

— A co to takiego? — Skierka aż usta otworzył z przejęcia.

— To, widzisz, wytworny apartament dla dżentelmenów — wyjaśnił Apollo wymawiając „r” chrapliwie i nosowo, jak mówią prawdziwi arystokraci. Wydał przy tym policzki, że zrobił się puciołowaty jak Broniek. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

Broniek mruknął ogólne „do widzenia” i wyszedł. Nie zatrzymywali go.

— Patrzcie, nawet nie podziękował, żeśmy go tu przyjęli i gościli tyle tygodni — oburzył się Chochlik — a Pluton i Piorun to mu łóżko zbijali z desek. Gbur.

— Łóżko przyda się dla Wojtka — zarządził Pluton. — Czyja to porcja oprócz Bronkowej nie zjedzona?

— Ryśka — odpowiedział Sokrates — nie było go również na śniadaniu.

— Jeśli nie przyjdzie na noc, rano te obie porcje pójda do podziału — zdecydował Pluton — a teraz, kto jeszcze nie odrobił lekcji, niech bierze się do książki, reszta spać albo na powietrze.

Wojtek z Piorunem wyszli pierwsi. Odeszli kawałek dalej, aby nikt nie przeszkadzał w rozmowie.

— Jak się czujesz? — zapytał Piorun, zapalając papierosa.

— Nieźle.

— Byłem w strachu o ciebie. Rano robiłem starania, aby cię przyjęli do szpitala polowego, na szczęście nie będzie to chyba potrzebne.

— Z pewnością nie. Oko całe, nie uszkodzone, tylko zapuchnięte. Widzę trochę.

— Gadaj, jeśli oczywiście chcesz, co się stało. Wiesz, po powrocie do Warszawy szukałem ciebie, ale nie mogłem znaleźć. Pomyślałem, żeś wrócił na wieś.

Wojtek zaczął mówić o swoim powrocie do Warszawy, o wszystkich zajęciach, których się imał, aby zarobić na utrzymanie, o pracy u przewoźnika, o szkole, o Niwińskim. Zaciął się co chwila, milkł i z przerażeniem myślał, jak wywinąć się, aby nie mówić o Nince. Zaciśkał pięści, wpijał w dłoń paznokcie aż do bólu i nie mógł zdecydować się na oskarżenie jej. Piorun zauważył jego rozterkę, widocznie domyślił się, że kryje się za tym jakaś bolesna sprawa, bo przerwał mu.

— To oni cię tak urządzili? Niwiński i spółka?

— Tak.

I nagle Wojtek zrozumiał, że dłużej nie wytrzyma z tą raną, jaka go piecze w sercu, że musi powiedzieć o tym właśnie Piorunowi, temu staremu druhowi i wybawcy.

Piorun słuchał w milczeniu, otaczając się kłębamii dymu ze smrodliwej samosiejki. Potem położył dłoń na rozpalonej ręce Wojtka.

— Nie wierzę, aby ta dziewczyna była zdolna do takiej podłości. Trzeba to będzie wyjaśnić, pogadać z nią.

— Za nic! — krzyknął Wojtek. — Wolałbym śmierć niż spotkanie z nią!

— Nie musisz się spotykać.

— Daj mi słowo, że nie będziesz z nią rozmawiał — powiedział Wojtek z żarliwą prośbą. — Jeśli mi nie dasz, ucieknę od was jeszcze dzisiaj...

— Dobrze, dobrze — Piorun pogłaskał go lekko po ramieniu — zrobię, jak zechcesz. Nie przejmuj się.

— Najgorsze to szkoła — szepnął Wojtek, choć wcale nie myślał w tej chwili o sprawach szkolnych.

— I szkoła drobiazg. Dam znać do szkoły, że chorujesz, a tu będziesz parę dni wracał do formy i uczył się. Nic nie stracisz.

— Jak ja tam wrócę... Niwiński...

— Nie wiadomo, czy Niwiński wróci... wątpliwe... A co do Ryśka... Niech no tylko przyjdzie tu na noc.

— Nie przyjdzie. Widział mnie dziś nad ranem. Stał zapłakany nad moim łóżkiem...

— Dlaczego mnie nie zbudziłeś?

— To było tak niespodziewane... I on uciekł zaraz.

— Wiesz, Wojtek — Piorun znowu zaciągnął się silnie, aż się zakrztusił — czasem to mi się cknę do naszego partyzanckiego żywota. Górnio i chmurnie bywało, wspaniale. Bez blagi i łajdactw. Nie potykał się człowiek co krok o małe świństewka, nie wpadał w takie obmierzłe ludzkie błoto... Wiedział człowiek, że jeśli zginie, to z rąk wroga w równej z nim walce.

— Och, tak — westchnął Wojtek.

— A walka to się wcale nie skończyła — w głosie Pioruna zabrzmiało zmęczenie — walka jest teraz znacznie cięższa... Często jeżdżę na prowincję, pomagam przy parcelacji ziemi, organizuję koła ZWM. I nigdy nie wiem, czy wrócę cały i zdrow z tych wypraw...

— Nie słyszałeś, co się dzieje z naszym porucznikiem?

— Sęp? Jest teraz pod Berlinem. Majorem został. W czasie wojny kule i gwiazdki sypią się na ludzi. Jak któremu trafi. Nasz Sęp wywinął się od ostatniej kuli, dwie go nie minęły. Dwa razy był ranny. Orderów ma całe piersi. Tak zresztą jak i wuj...

— Wuj Maciej? — ożywił się Wojtek. — Słyszałeś coś o nim?

— Miałem nawet od niego list. Nie chcieli starego przyjąć do wojska. Odsyłali od Annasza do Kajfasza. Ale wuj wziął na ambit. Kręcił się przy Drugiej Armii, nachodził. Wreszcie dopiął swego. Trafił do Świerczewskiego. Stanął na baczność.

„Obywatelu generale — powiada — to ja do partyzantki się nadawałem? Walczyłem tam a tam, przewoziłem broń, odbiłem uwięzionych towarzyszy z łap gestapo, a teraz to tylko szmelc? Za stary jestem?”

Roześmiał się generał.

„Nie ma za starych ani za młodych wśród tych, którzy Polsce chcą służyć. Do jakiej formacji chcesz, bracie?”

„Piechota, obywatelu generale. A w cywilu leśnik. Za młodu ślusarzem byłem.”

Ucieszył się generał.

„Patrzcie, to tak jak ja. No, no, tośmy i koledzy.” Ucałował starego, podał mu rękę. I tak wuj żołnierzem został.

Podeszło do nich kilku chłopców.

— Co wy tak szepczecie osobno? — zapytał Skierka. — Może i my posłuchamy.

— A my tak ogólnie, o wszystkim — odpowiedział Piorun — przepytywałem Wojtkę ze słówek łacińskich, czy nie zapomniał.

— Też nudziarze — oburzył się Skierka.

— Rozmawiałem z twoim Kisielom — powiedział Sokrates do Wojtka — zgodził się czekać na twój powrót do zdrowia. Zasyła ci pozdrowienia, chciał nawet wypłacić twoją tygodniówkę, ale nie przyjąłem, powiedziałem, że się sam zgłosisz. A od jutra zastąpię ciebie na łodzi.

— Dziękuję ci — powiedział rozradowany Wojtek — co za szczęście, że do was trafiłem.

— Musimy ci dać przezwisko — powiedział Tomek-archeolog. — Kto wymyśli najwłaściwsze?

— Najlepiej starożytne, prawda? — zapytał Chochlik.

— Pewnie — poparł go Tomek — taka tu przecie moda.

Zaczęli przypominać sobie imiona różnych bogów i bohaterów legend greckich, ale żadne nie zyskiwało ogólnego uznania.

— Może Charon? — zaproponował Tomek.

— To ten przewoźnik przez Letę?

— Nie, przez Styks. Leta to była rzeka zapomnienia. Kto napił się z niej wody, zapomniał o swojej przeszłości.

— Wypiłbym chyba tę całą Letę — powiedział Wojtek zgaszonym głosem.

Piorun spojrział na niego uważnie i prędko odpowiedział:

— Nic mądrego nie wymyśliliście. Charon był brzydkim, starym dziadem. Może damy Wojtkowi nazwisko jednego bohatera Homerowego, równie dzielnego jak Achilles i Hektor.

— Ajaks — przypomniał Tomek.

— Może to i ładne — uśmiechnął się smutno Wojtek — pozwólcie mi jednak, bym pozostał Wojtkiem. To imię jest tak pospolite, że aż przez to staje się niezwykle. Wolę być Wojtkiem niż jakimś Ajaksem.

Nagle od strony Wisły rozległy się huki i na niebie rozblęskło tysiące różnobarwnych gwiazdek, szybko gasnących.

— Rakiety! O Boże, co to? — zawołał Skierka.

— Salut armatni na cześć zwycięstwa — powiedział Sokrates. — Takiego narobiliście harmideru z tą szynką, że zapomniałem wam przeczytać komunikat o kapitulacji Niemiec. Armia Radziecka i nasze wojska wkroczyły dziś do Berlina.

Zaczęli krzyczeć z radości i wiwatować. Wojna skończyła się. Ustanie wreszcie rozlew krwi, wrócą do domów i do swoich rodzin wygnańcy i żołnierze rozproszeni po całym świecie. Będzie można odbudować zniszczone wsie i miasta, będzie można spokojnie uczyć się i pracować.

— I nie będziemy musieli jeść dynamitu — westchnął Piotrek-Hefajstos — tylko taki prawdziwy chleb z chrupiącą skórką, jak Bóg przykazał.

— A jaki to dzień dzisiaj? — zapytał Chochlik.

— Wtorek, dziewiątego maja 1945 roku — powiedział uroczyście Sokrates. — Posłuchajcie, co pisze „Życie Warszawy” w wydaniu nadzwyczajnym: „Niemcy skapitulowały po 2077 dniach najkrwawszej w dziejach świata wojny. Wczoraj o godz. 23.01 padł rozkaz przerwania działań wojennych w Europie na morzu, lądzie i w powietrzu”.

Na zaciemnioną, jakby uśpioną Warszawę bez przerwy sypały się tęcze, świetliste gwiazdy.

VII. Napad

Drzwi otworzyły się z impetem, jakby je szarpnął nagły wicher. Do Hadesu wbiegł Skierka, czerwony, z głośnym płaczem. Chłopcy siedzący przy stole zerwali się i otoczyli go kołem.

— Skierka, Zenek, co tobie? — posypały się niespokojne pytania i wykrzykniki.

Skierka zaszlochał głośno.

— Ukradli...

— Co? Komu?

Skierka zaszlochał głośno.

— Przydział... mój przydział... Dziś w szkole... dawali mleko i margarynę... Szwedzki Czerwony Krzyż... Dostałem aż cztery puszki, bo nie mam jeszcze rodziców, inni dostali mniej... I kilo margaryny... Tak się cieszyłem, że będziemy pić kawę z mlekiem... jeść chleb z margaryną...

— Kto ci ukradł? — zapytał Sokrates, który ochłonął pierwszy.

— Jakiś typ... tu, na Starówce... skręcałem koło ruin do naszej Piwnej... niosłem paczkę w prawej ręce, a on wysunął się zza muru, cap za paczkę... i znikł...

— Poznałbyś go?

— Był nieduży... — powiedział Skierka, ocierając rękawem łzy — w szarej wiatrówce... ale twarzy nie widziałem, zsunął czapkę na oczy... i to tak było prędko...

Skierka mówił już trochę spokojniej, ale po twarzy ciągle jak groch sypały się łzy.

Chłopcy byli wzburzeni. Napad na takiego małego chłopca, po jego ubożuchny „przydział”! Napad w biały dzień! Przecież ten opryszek orientował się, że taki skromnie ubrany chłopiec nie może nieść nic cennego. Skrzywdził, łobuz, dobrego, uczynnego Skierkę, który zawsze był gotów dzielić się z każdym ostatnim kęsem.

I to mleko niósł z myślą nie o sobie, cieszył się, że koledzy wypiją nieśmiertelną lurę zbożową nareszcie z mlekiem.

— Nie płacz, Zenek — powiedział Piorun głaszcząc go po głowie — postaram się w ZWM-ie o przydział mleka. Przyniosę, zobaczysz.

— Tak, ale to mleko już się nie wróci — chlipnął Skierka.

— Pewno nie wróci — przyświadczył Piorun — musimy pomyśleć, jak się zabezpieczyć, aby nie zdarzały się więcej podobne historie.

— Napadł na mnie, bo widział, że jestem mały i nie potrafię się przed nim obronić — powiedział smutno Skierka. — Kiedy ja będę taki duży i silny jak wy?

— Będziesz, Skierka — Piorun macierzyńskim ruchem otoczył ramieniem szczupłego Zenka — tylko rzeczywiście trzeba dla ciebie i Chochlika postarać się o mleko i więcej pokarmów białkowych. Wszystkie przydziały mleka powinno się przeznaczyć dla was.

— Za nic — oburzył się Skierka — nie przełknąłbym sam..

— Jest was dwóch — powiedział Achilles — a my to stare draby, mleka nie potrzebujemy. Powiedz sam, czy wásatym chłopom potrzebne jest mleko?

— Kiedy dziś chodziłem po wodę, jakaś kobieta opowiadała o napadzie na jej córkę. Też tu, na Starówce. Akurat padał deszcz, ludzi było jeszcze mniej niż zwykle. Ta dziewczyna szła pod parasolką, niosła walizkę. Wyrwali jej walizkę, zdjęli płaszcz i zabrali nawet parasolkę. Na głowę zarzucili jej szmatę, tak że nikogo nie widziała, choć było widno — przypomniał sobie Apollo.

— Najlepiej damy znać na milicję — powiedział Achilles.

— Musimy zorganizować samoobronę — sprostował Piorun — milicja nie da rady, jeśli wszyscy, co się tu osiedlili w ruinach, nie pomogą. Trzeba się nad tym zastanowić.

— Słusznie — poparł go Pluton — nawet i dziesięciu milicjantów nie da rady na tych pustych przestrzeniach, pełnych pułapek, zdradliwych miejsc, jakby wymarzonych do napadów i zasadzek. Wszyscy, którzy się tu osiedlili, to ludzie uczciwi, spokojni. Wrócili na stare śmieci, bo nie mieli gdzie się podziać. Niektórzy mają tu groby swoich bliskich, których jeszcze nie przenieśli na cmentarz. Znam ich wszystkich i kłaniam się na dzień dobry. Ta kobieta, o której mówisz, to pewno Kwiatkowska z Szerokiego Dunaju. Pracuje przy odgruzowywaniu, a jej córka, Zosia, w magistracie — mówił Pluton. — Co radzicie?

— A może dyżury? — zapytał kędzierzawy Piotrek-Hefajstos. — Codziennie po południu dwóch z nas będzie patrolować ruiny. Do późnego zmierzchu. Nocą nikt nie chodzi. Z widzenia też chyba znam wszystkich.

— Za mało nas i mamy za mało wolnego czasu, nie damy rady — posypały się protesty. — Przecie trzeba się uczyć, koniec roku za pasem...

— Wiecie co? — Piorun uśmiechnął się, rad ze swego pomysłu. — Zwołajmy zebranie Starówki. Zaprosimy wszystkich do nas, wspólnie z dorosłymi coś wykombinujemy.

— Wspaniale — ucieszyli się — tylko kiedy?

— Może niedziela przed południem?

— W niedzielę każdy ma jakieś dodatkowe zajęcia w miejscu swojej pracy — powiedział Achilles — zebrania, poranki. Wielu wyjeżdża na wieś po prowianty.

— Może sobota przed wieczorem?

— Zgodna. Kto zawiadomi?

— Ja! — zawołał Skierka. — Ja tu wszystkich znam, jeszcze sprzed powstania.

— Słusznie. Ludzie dowiedzą się o krzywdzie małego Skierki, to ich zaboli pewno bardziej niż własna. Przyjdą wszyscy.

— Krupnik gotowy — oznajmił Pluton.

Zasiedli do kolacji. Krupnik z jagieł, choć okraszony dwiema puszkami konserw, smakował im mniej niż zwykle. Rozżalona twarz małego Skierki, ze śladami łez, wzburzała ich ciągle na nowo. A on, choć dzielnie się trzymał, nie mógł przeboleć cennej straty.

Po kolacji Tomek-archeolog powiedział:

— Popatrzcie, jaki dziś skarb kupiłem na bazarze. Cały komplet fotografii Starówki. Ten, co mi sprzedawał, nie orientował się, co to jest, bo tak tanio by chyba nie sprzedał, gdyby wiedział, jaką to ma wartość. Wysuplałem się do ostatniego grosza.

— Przecież masz już dużo fotografii Starego Miasta — uśmiechnął się Wojtek. — Coś ty taki zachłanny?

— Myślisz, że mi się nie przydadzą? Zresztą podwójne sprzedam, mam wielu chętnych, co kupią, nawet w mojej klasie.

Pochyliły się głowy nad fotografiami.

— Jaka to ciekawa uliczka, naprawdę niezwykła — powiedział Wojtek. — Chyba bardzo stara.

— To Kamienne Schodki — wyjaśnił Tomek — przejście z Krzywego Koła do Brzozowej i w stronę Wisły. Tędy w dawnych wiekach noszono wodę z Wisły przez furtę w murach obronnych. Z Kamiennych Schodków patrzył na Wisłę Napoleon.

— Ho! ho! To z ciebie niezły historyk, jeśli takie szczegóły znasz — zdziwił się Wojtek.

— To moja Starówka — odpowiedział z dumą Tomek — znałem każdy jej kamień, każdy dom. Pójdziemy kiedyś, to ci pokażę, gdzie mieszkał Hugo Kołłątaj, a gdzie Jan Dekert. Pokażę ci wszystkie ulice i powiem, jak i dlaczego która się nazywała.

— Dobrze — ucieszył się Wojtek — czuję się tu jak na pustyni czy opuszczonym cmentarzu, aż się wierzyć nie chce, że na Starówce mieszkało przed wojną wiele tysięcy ludzi.

— To jeszcze ciągle jest cmentarz, codziennie odbywają się ekshumacje poległych — wtrącił się do rozmowy Sokrates.

Pluton odłożył przejrzone fotografie i przypomniał, jak to miał codziennie w zwyczaju:

— Teraz obowiązuje silentium. Kto ma czas i ochotę, może wyjść na dwór. Reszta do nauki.

Wojtka bardzo poruszyły oglądane przed chwilą zdjęcia, chciał jeszcze na ten temat coś usłyszeć, więc wyszedł z Tomkiem.

— Patrę i patrę na to cmentarzysko — powiedział Wojtek — chcę sobie wyobrazić, jak tu było kiedyś, i nijak nie mogę, choć nawet oglądałem te zdjęcia... A jak było w rzeczywistości, to i wy zapomnicie pomału. Jeszcze teraz wiatr zawiewa spalenizną, jeszcze co krok ślady walki, nie uprzątnięte resztki barykad, zasieki z drutów, ale znikną wkrótce pod chwastami i trawą, które tak silnie już rosną... A za kilkanaście lat wyrosnie w tym miejscu dziki las, nie zasiane ludzką ręką drzewa...

— Mylisz się — zawołał porywczo Sokrates — mylisz się! Starówka będzie odbudowana, zobaczysz, jak wspaniale. Po co w przeciwnym razie kręciliby się tu ci inżynierowie, profesorzy, po co zbieraliby te resztki kafli, gzymsów i starodawnych ozdób?

W ciszę, jaka zapadła po tym wybuchu Sokratesa, spłynęły melodyjne słowa Mirka:

*Jak nie kochać strzaskanych tych murów,
tego miasta, co nocą odpływa,
kiedy obie z greckiego marmuru:
i umarła Warszawa, i żywa...*

— Pamiętam — odezwał się Achilles — szedłem z meldunkiem do dowództwa na ulicy Freta, było to w połowie sierpnia. Dzień był słoneczny, ciepły. Dziwiła mnie panująca cisza. Niemcy nie strzelali, nie słychać było samolotów, dymiły tylko zgliszcza po porannym nalocie. Na ulicy Kilińskiego spotkałem znajomych powstańców i tłum ludności cywilnej, przeważnie kobiet i dzieci. Dowiedziałem się, że wszyscy będą zobaczyć zdobycznego „goliata”. Żałowałem, że mam tak mało czasu i nie mogę podejść pod gmach Ministerstwa Sprawiedliwości, gdzie podprowadzono zdobyty czołg, aby mu się przyjrzeć. Dochodziłem już do narożnika ulicy Długiej, gdy nagle potężny wybuch rzucił mnie do pobliskiej bramy. Kiedy po pewnym czasie wyszedłem z bramy, oczom moim przedstawił się straszny widok: kilka domów całkowicie zburzonych, na ulicy pełno rannych i zabitych, poszarpanych na kawałki, tak że trudno było ustalić, ile osób zginęło. To hitlerowcy w tym czołgu umieścili bombę zegarową i ona wywołała takie spustoszenie. W czołgu znajdowało się kilkaset kilo trotylu.

— Żeby złamać opór powstańców, nie cofali się przed żadnym barbarzyństwem — rzekł Sokrates.

— A myśmy nawet butelek zapalających mieli za mało — powiedział Skierka i westchnął. Przypomniało mu się, że marzył o własnej „piątce” i jak zazdrościł Warszawiakowi, kiedy jemu przydzielono pistolet, właśnie ową wymarzoną „piątkę”.

— Słuchaj, Apollo, ty tak pięknie deklamujesz, jak prawdziwy Solski — przerwał powstańcze wspomnienia Chochlik — powiedz jeszcze jaki wiersz o Warszawie.

Mirek, zadowolony z porównania, nie dał się długo prosić:

— Nie pamiętam żadnego w całości, ale jeśli chcecie, to powiem o Starówce.

*Stare Miasto czołami kamienic
stoi naprzeciw przemocy,
Stare Miasto zdobywa wieniec,
Stare Miasto krwią serca broczy.*

*Ale Stare Miasto — to szaniec,
barykada wolności i sławy,
barykada nie podda się za nic,
Stare Miasto to szermierz Warszawy.*

Od strony Wisły powiało chłodem. Podnosiła się nad niewidzialną wodą mgła wieczorna, szła z wolna w górę, osłaniając jak wielką kurtyną migające na praskim brzegu światła. Ziemia mroczyła. A Mirek mówił dalej swoim urzekającym, naprawdę pięknym głosem:

*Więc gdy runą ostatnie domy
na Piekarskiej, na Pivnej, Kanonii,
tylko mur się przesunie ruchomy
i gdzie indziej zagrzmi: do broni!*

*Bo jest wiele na świecie twierdz,
ale jedna nie upada pod klęską:
twierdza wolnych ramion i serc,
Stare Miasto, będziesz zwycięzcą.*

VIII. Handlarz antykami

Wojtek wybrał się na przystań. Wprawdzie jeszcze nosił opaskę na oku, ramię było spuchnięte i dokuczalo, ale z twarzy ustąpiły prawie wszystkie sińce i zadrapania, więc uznał, że wygląda „po ludzku” i może iść między ludzi. Oczyszczył buty i spodnie, zszył rozdarcie na jednej nogawicy, czystą koszulę pożyczył od Pioruna, marynarki nie założył. Było dość ciepło, a marynarka, poplamiona krwią i rozdarta w paru miejscach, wymagała gruntownego remontu. Dochodziła godzina pierwsza. Wojtek liczył, że nadejdzie zaraz któryś z chłopców i obejmie pieczę nad Hadesem. Wypadek ze Skierką nauczył ich ostrożności.

Wkrótce nadszedł Mirek-Apollo i oznajmił z miną uroczystą, że będzie się uczył roli Wacława z *Zemsty*, bo ich szkoła na zakończenie roku szkolnego urządza wieczór artystyczny.

Wojtek wyszedł. Zobaczył z daleka Tomka-archeologa, dźwigającego pod pachą jakieś ramy.

— Tomek, co ty taszczysz?

Tomek przystanął, rozejrzał się uważnie, jakby sprawdzał, czy nie ma niepowołanych świadków.

— Kupiłem na bazarze obraz. Antyk. Patrz.

Postawił ostrożnie obraz na kwadratowym słupku z cegieł. Wojtek zobaczył staroświeckie, ciężkie ramy, rzeźbione w kwiaty, liście i esy-floresy oblazłe ze złocień i na rogach poobijane. Co przedstawiał sam obraz, trudno było dociec, tak był zapstrzony przez muchy, zakurzony czy zasmarowany błotem lub jakimś smarem.

— Co to jest?

— Nie widzisz? Obraz.

— No dobrze, ale co on przedstawia?

Tomek rozejrzał się jeszcze raz, zniżył głos do szeptu.

— To Rembrandt.

— Co?

— Mówię ci. Patrz, jaki stary ten obraz. Całkiem szerniał ze starości.

— Muchy zapaskudziły. I pewno ktoś zachlapał błotem albo jaką ciemną farbą.

— Widzisz, sam do tego doszedłeś. Zachlapał, aby ukryć treść obrazu. Aby nikt nie poznał, co to jest. Ale przy tym popełnił błąd. Przypatrz się tym ramom.

— Rzeczywiście jakieś stare, nie dojedzone przez korniki.

— Chciałeś powiedzieć staroświeckie. Siedemnasty wiek. Teraz takich nie robią.

— Faktycznie. Komu by się chciało psuć drzewo na takie różne wywijasy.

— Przyznajesz mi rację! — wykrzyknął Tomek triumfująco. — W starodawnych ramach musi być stary obraz. Widzę na nim zarysy twarzy i kapelusza o podwiniętym skrzydle. Taki, jaki nosił Rembrandt. Jego autoportret z lat młodości zaginął. A może właśnie to ten?

— Zarysy twarzy może i są, ale nie widzę tego kapelusza. Zdaje się, że tu są namalowane jakieś kwiaty, a może ordery, bo to w tym miejscu, gdzie piersi.

— Jakie tam ordery — zachnął się Tomek — żadnych orderów nie widzę.
— Można się przekonać zaraz, co to jest — powiedział Wojtek, wyciągając chusteczkę z kieszeni — poślinić róg chusteczki...
— Coś ty! Renowacja antyków wymaga wielkiej umiejętności. Kto się nie zna, może za jednym zamachem zniszczyć dzieło sztuki.
— A ty się znasz na tej tam... renowacji?
— Nie znam się.
— To co zrobisz?
— Nie wiem. Chyba... chyba poszukam specja... Tylko teraz tak trudno... sam nie wiem, gdzie zacząć poszukiwania.
— Widziałem na Targowej w jednym podwórzu tabliczkę z napisem: „Antykwarjat”. Może oni się znają na tych sprawach...
— Pod którym numerem? Zaraz tam pójde.
— Nie pamiętam numeru. To niedaleko bazaru, tylko po przeciwnej stronie.
— Wojtek, chodź ze mną, błagam cię.
— Kiedy się wybieram do Kisiela.
— Pójdiesz do niego wracając z Pragi. Chodź teraz ze mną. Z takim ciężarem chodzić i szukać tego antykwarjatu, sam rozumiesz... A poza tym lepiej mieć świadka, kiedy się idzie z takim czymś.
— Czy to takie pilne?
— Jeszcze jak! — wykrzyknął Tomek. — Czy ty masz pojęcie, co to znaczy znaleźć portret Rembrandta? Przecie to grube setki tysięcy, kto wie, może nawet miliony w kieszeni.
— A ten, co ci sprzedawał, nie poznał się?
— Skąd. To jakiś szabrownik. Miał jeszcze do sprzedaży kolekcję egzotycznych motyli i różne kryształy. To wszystko z zachodu. Wiesz przecie, że teraz różne typy jeżdżą na szaber. I skąd taki może się znać na malarstwie. Za te motyle to chciał jak Cygan za matkę. A na kupno tego obrazu to mnie namawiał a namawiał. „Da pan — mówi — do pozłocenia te ramy, zobaczy pan, co to będą za śliczności. Do takich ram portret mamusi albo anioła stróża z dziećmi, albo świętą Magdalenę pokutującą, panie, całe mieszkanie pan ozdobi.” Ani słówkiem nie wspomniał o samym obrazie. A pewno wyszabrował ten obraz z zamku jakiego księcia. Ramy sprzedawał, kapujesz?
Tomek roześmiał się pogardliwie.
— Ileś mu zapłacił?
— Drobiazg. Pięćdziesiąt złotych.
Wojtek przytaknął:
— To rzeczywiście niedrogo. Chodźmy.
Tomek rozmarzył się;
— Jak sprzedamy ten obraz, wyremontujemy jakieś zrujnowane kilkupokojowe mieszkanie i tam się przeniesiemy wszyscy z Hadesu. Kupię prawdziwe łóżko, a te wyrka z desek pójda na ogień. I kupię sobie rower. Tobie też, za to, że ze mną idziesz. Nie będziemy już drałować pieszo.

Tomek snuł coraz zuchwalsze projekty, fortuna jego rosła, w miarę jak się posuwali w kierunku Pragi. Wojtek milczał. Pomyślał, że prędzej się doczeka tramwajów w Warszawie niż tego roweru. Nie odzywał się, bo nie chciał psuć humoru kolegi.

Antykwarjat był czynny. Weszli do mrocznej, piwniczno chłodnej i wilgotnej sieni, zauważyli na drzwiach kwadratowy karton z nazwą firmy „Ars”, chwilę zastanawiali się, czy do tego sklepu, który znajduje się w mieszkaniu, należy pukać, czy nie, doszli do wniosku, że ostatecznie to nikomu nie zaszkodzi, gdy zapukają. Więc też zapukali, nie usłyszeli żadnej odpowiedzi i weszli. Było tu również dość ciemno. Ściany od góry do dołu oblepione obrazami, zegarami, makatami, od sufitu zwieszały się niezliczone lampy, świeczniki, abażury i inne

przedmioty niewiadomego użytku. Na ladzie i stole pełno różnych rupieci z metalu, porcelany, gliny. Wszystko poszczerbione, sfatygowane, pogniecione, krzywe. Wojtek pomyślał, że połowę tego lamusa wyrzuciłby na śmietnik. Wśród rupieci na ladzie siwa, nieruchoma głowa. Wystraszyli się. Ale w tej samej chwili głowa uniosła się, zobaczyli pomarszczoną twarz starego człowieka w okularach.

— He? — chrząknął zachęcająco i odłożył na bok białą rękę sklejaną z niezliczonych kawałków jakiejś figurki.

Tomek wysunął się naprzód.

— Przyszliśmy... to jest... ja przyniosłem do oceny... stary obraz.

— Za ocenę trzeba płacić — mruknął antykwariusz.

— Ile? — wyszeptał z niepokojem Tomek.

— Hm — chrząknął stary człowiek — to zależy... od trudności oceny... czasem trzeba powoływać nawet grono fachowców, ale taką wstępną ocenę mogę zrobić... Pokaż no ten obraz.

Tomek przysunął się do lady, podał drżącą ręką swój skarb. Jednocześnie pomyślał z niepokojem, skąd on weźmie pieniędzy na opłacenie tego „grona fachowców”.

Stary człowiek spojrział na ramę, stuknął w nią kciukiem, odwrócił się i Tomek ze zgrozą zobaczył, że antykwariusz wziął kawałek brudnej szmatki, zmoczył w misce z niezbyt wyraźnie wyglądającą cieczą i potarł środek obrazu.

— Ocena będzie kosztować trzydzieści złotych! — powiedział do Tomka.

— Mam — ucieszył się Tomek — nie... mam tylko dwadzieścia pięć. Wojtek, pożycz pięć złotych.

— Wystarczy dwadzieścia pięć — burknął stary człowiek i spojrział spoza okularów na Wojtka i na szperającego po kieszeniach Tomka. Wojtkowi wydało się, że w oczach starego zobaczył drwinę i jakby skrywany śmiech.

— Gdzie kupiłeś ten obraz?

— Na bazarze.

— Hm. To jest portret cesarza Wilhelma Drugiego, tak zwanego Wilusia, tego, który wywołał pierwszą wojnę światową — powiedział stary człowiek, zgarniając pieniądze Tomka do szuflady — zwykły oleodruk. Rama jest warta około pięćdziesięciu złotych. Po odświeżeniu może być warta ze dwieście.

Wojtek zakrzuszył się podejrzanie. Tomek łypnął na niego dziwnie błyszczącymi oczyma i jak oparzony wyskoczył do sieni.

— Młodzieńcze, zabierz swój obraz! — krzyknął stary.

Wojtek spojrział z odrazą na „Wilusia”, wziął go pod pachę i wyszedł. Tomek czekał przed bramą.

— Rzuć to paskudztwo — warknął — i słuchaj, ani mru, mru w Hadesie, bo mi życie obrzydzą.

— Ramy coś warte — odpowiedział Wojtek.

— Niech szlag trafi ramy razem z Wilusiem.

— Dawno go trafił. Poczekaj, może uda się komu te ramy odsprzedać. Teraz ludziom wszystko potrzebne.

Szli kawałek w milczeniu. Jak po pogrzebie. Po pogrzebie pięknych marzeń Tomka. Wojtek zatrzymał się.

— Zmęczyłem się. Jestem jeszcze dziwnie słaby.

— To po co taszczysz te ramy?

— Ugotujemy na nich kolację. Czekaj, mam dwadzieścia złotych, może jaki „łebkarz” podwiezie nas na Krakowskie Przedmieście.

Furka wkrótce się nadarzyła. Ale chłop chciał po dwadzieścia złotych „od łebka”.

— Panie, a może zamiast pieniędzy weźmie pan ten obraz — Tomek postanowił jakoś

odbić choć część zmarnowanych kapitałów.

— Obraz? — Łebkarz spojrział na obraz i splunął. — A na co mi toto?

— Kupiec ocenił go na dwieście złotych — zaczął błagować Tomek — ale powiedział, że może go od nas odkupić za parę dni... więc musimy z powrotem wieźć do domu.

— Co to za obraz, panowie? — zainteresowała się jedna z pasażerek siedząca na furce.

— Obraz nie jest szczególnie ciekawy — odpowiedział wymijająco Tomek — ale niech pani spojrzy, co za ramy.

— Rzeczywiście piękne — zachwyciła się pasażerka — przydałyby mi się, ale za drogo je cenisz.

— Oddam pani poniżej kosztu — zaczął Tomek — bo potrzebne są nam pieniądze. Kolega źle się czuje, a mamy jeszcze kawał drogi do domu...

— Więc ile?

— Sto złotych — rąbnął Tomek i przestraszył się, że podał zbyt wygórowaną cenę.

— Sto złotych — rozmyślała głośno kobieta — a drugie tyle będzie kosztować szkło... a wypisanie szyldu...

— Jeśli pani ma szkło, mogę przyciąć za darmo — wtrącił Wojtek — znam się na szklarstwie.

— Jaki szyld pani potrzebny? — podchwycił temat Tomek.

— Widzicie, jestem mistrzynią krawiecką. Dostałam pokój na parterze, a właściwie dawną stróżówkę. Okno wychodzi na ulicę. Chcę w nim wystawić szyld. A taka piękna rama zwróci uwagę każdego.

— Co tam ma być napisane na tym szyldzie?

— Krawiectwo Damskie. Dawniej firma „Parisette”. A może w ogóle tylko „Parisette”?

— A może tak — zaproponował Tomek — Krawiectwo Damskie „Parisette”. Mody paryskie.

— Kawaler, widzę, ma głowę handlową — powiedziała z uznaniem kobieta. — „Mody paryskie”. Jak to pięknie brzmi. I przekonywająco. Poradźcie mi tylko, gdzie znaleźć takiego, co namaluje mi te litery?

— Na czym to ma być namalowane?

— Na papierze. Albo na kartonie. A najlepiej to na brystolu. Włożę w te ramy za szkło, będzie pięknie. Tylko tak trudno znaleźć kogoś, kto za niewielkie pieniądze namaluje litery.

— Szczęśliwie pani trafiła — powiedział z godnością Tomek — mogę się tego podjąć. Znam się na tych sprawach, zajmuję się sztuką.

— Ile będzie kosztować?

— To wymaga sporo czasu — zastanawiał się głośno Tomek — praca odpowiedzialna, artystyczna... Dwieście złotych, nikt pani taniej nie zrobi.

Wojtek z wrażenia oparł się o furkę, na którą wgramoliło się w tym czasie czterech pasażerów.

— Panowie, chcecie jechać, siadajcie — zarządził „łebkarz” — więcej pasażerów nie biorę.

Wskoczyli na furkę. Tomek usadowił się obok mistrzyni, Wojtek usiadł z tyłu za nimi, pełen zdumienia i zadumy nad przedsiębiorczością Tomka. Jak to powiedziała ta mistrzyni, że on ma „handlową głowę”? Wojtek parsknął śmiechem.

Tomek tymczasem podczas powolnego truchcika konia wyłuskał z ram Wilusia, miał ochotę spuścić go do Wisły, ale względy handlowe przemogły. Taki brak szacunku dla obrazu obniżyłby w oczach mistrzyni wartość świeżo nabytych ram. Położył więc Wilusia na skraju ławki i usiadł na nim. Potem doprowadził do szczęśliwego zakończenia sprawę namalowania szyldu, schował pieniądze za ramy i zaliczkę, zapisał adres mistrzyni i obiecał dostarczyć gotowe dzieło za dwa dni.

Wysiedli na placu Zamkowym. Tomek szarmancko pomógł mistrzyni zejść z furki,

pocałował ją w rękę na pożegnanie i powiedział do Wojtka:

— Zafunduję dziś dla chłopaków po jednym bajgela. Tu niedaleko stara babcia sprzedaje zawsze przed wieczorem świeże, jeszcze gorące. — I dodał tonem przechwałki:

— Tę głowę do interesów to się ma, co?"

— I na Rembrandtach znasz się niewąsko — dodał złośliwie Wojtek.

— Więksi spece ode mnie też się nieraz mylili — wzruszył ramionami Tomek.

— Czemuś od tej kobiety zdarł aż tyle pieniędzy? Zapłaciłeś pięćdziesiąt złotych, a wzięłeś sto.

— A koszty handlowe to pies? Stary za ocenę szarpnął dwadzieścia pięć, nasz przejazd — czterdzieści. Z tego wynika, że jeszcze jest strata. No nic, odbije się na malowaniu.

— Przecie nie umiesz malować ani nie masz farb.

— Chochlik ma akwarele, za wypożyczenie kupię mu karmelków.

— Kto ci wypisze litery?"

— Ja sam. Poliniuję brystol, zrobię drukowane duże litery, podceniuję farbami. Wszystko z linijką w rękę, aby wyszło równo. Zgodziła się na cenę, a dwieście złociszów piechotą nie chodzi.

— Furkami jeździ — odparł Wojtek. — Dziś do Kisiela nie pójdę, zmęczyłem się, a wracać byłoby za późno.

W Hadesie było gwarno. Widok Tomka objuczonego obwarzankami wywołał entuzjazm. Nikt nie zwrócił uwagi na czarną deskę, którą niósł Wojtek i wsadził prędko pod łóżko Tomka.

Sokrates gotował fasolę. Drewnianą łyżką łowił ziarnka z sagana i rozgryzał, ale fasola ciągle była twarda i nic nie zapowiadało, że prędko zmięknie. Toteż każdy z radością wyciągnął rękę po „bajgela”. Tomek nie chciał się zdradzić, z jakiej przyczyny sprawił taką miłą chrupiącą niespodziankę.

Tomek, jako że lubił natychmiast realizować swoje zamierzenia, wyszperał kawałek dość czystego brystolu wśród swoich licznych zbiorów wszelkich kartonów i teczek z papierami.

— Jak myślisz, dobry będzie? — zwrócił się o radę do Wojtka.

— Trochę zanadto zniszczony. I ma kilka żółtych plam.

— To głupstwo. Część brudnych miejsc pokryją litery, które przecie będą kolorowe, a resztę... — wiesz, namaluję jakieś kwiatki, to będzie jeszcze ładniej.

— Tomek, co ty robisz? — Do Tomka, biedzącego się nad właściwym rozmieszczeniem napisu, podeszli Skierka i Chochlik.

— Szyld.

— Szyld? — zdziwił się Skierka. — Na brystolu? Po co ci to potrzebne?"

— To nie dla mnie. Na zamówienie. Chochlik, pożycz mi farb.

— Pożyczę, ale jeśli mi też namalujesz taki szyld.

— Zwariowałeś? Na co ci szyld?"

Chochlik rozejrzał się po Hadesie. Zobaczył, że Piotrek-Hefajstos siedzi na stołeczku przy „kozie” i majstruje przy pantoflach. Uspokojony tym zaczął coś szeptać do ucha Tomka. Wojtek odszedł od nich i położył się na łóżku. Był bardzo zmęczony i smutny.

— Umowa stoi — doszedł go głos Tomka — najpierw zrobię tamto, a później dla ciebie.

— Wpierw dla mnie — sprzeciwił się Chochlik.

— Tak, zrób najpierw dla niego — poparł kolegę Skierka — nabierzesz wprawę i drugi ci lepiej pójdzie. Dla Chochlika nie musi być na medal.

— Zrobione — odpowiedział Tomek, klepnął Chochlika w plecy i wszyscy trzej pochylili się nad stołem. Do uszu Wojtka dochodziły przyciszone szepty i chichoty.

„Widocznie Chochlik szykuje jakąś psotę” — pomyślał Wojtek i przymknął oczy. Ktoś

dotknął jego ramienia.

— Wojtek! — Był to głos Pioruna. — Mam dla ciebie kupę nowin.

Wojtek usiadł na łóżku.

— Rozmawiałem z twoją wychowawczynią panią Marią. Niwiński nie przychodzi do szkoły od paru dni. W szkole wiedzą, że on urządził napad na ciebie. Rysiek również nie przychodzi. Niwiński nie nocuje w domu. Jego matka aresztowana. Znaleźiono u niej masę kradzionych rzeczy. Paserka. Milicja załadowała całą ciężarówkę materiałów wełnianych, jakieś walizy, tłumoki z futrami. Nawet „Życie Warszawy” o tym pisze. Ona w czasie okupacji handlowała z Niemcami. A synalek hulał. W żadnej partyzantce nie był. Teraz sobie dorobił partyzancką przeszłość. Milicja go poszukuje. Chcesz, to pójdziemy na posterunek i opowiesz o napadzie.

— Nie pójdę — mruknął Wojtek — jeszcze go spotkam na swojej drodze, to się porachujemy.

— Jak chcesz — skrzywił się Piorun — według mnie to nie jest właściwa droga do wyrównywania porachunków... Aha, jeszcze o jednym zapomniałem... W szkole poszukiwała ciebie jakaś dziewczyna. Przyszła do pani Marii, ale jej akurat nie było. Rozmawiała więc z woźną, ale ta zamiast ją wypytać, jak się nazywa i dlaczego ciebie szuka, zaczęła jej opowiadać o Niwińskim. Dziewczyna rozplakała się i odeszła.

„Rozplakała się — pomyślał gorzko Wojtek — tak żałuje tego łobuza”.

— Sokrates, my chcemy jeść! — podniosły się krzyki od stołu.

— My chcemy jeść! — zaczęli skandować Skierka i Chochlik.

— Panowie, spokój. Tylko spokój może nas uratować. Ta parszywa fasola ani rusz nie chce zmięknąć — Sokrates rozłożył ręce tragicznym gestem. — Wobec dziwnych zjawisk natury i filozof czasem staje bezradny. Gotuję ją już przeszło dwie godziny.

— Ona i do jutra będzie twarda — powiedział Pluto — nie moczyłeś jej przed gotowaniem?

— Ani mi to nie przyszło do głowy — przyznał ze skrucą Sokrates — trzeba chyba beczkę soli zużyć do wszelkich zup, nim się człowiek nauczy, co i jak gotować.

— Da się pogryźć?

— Tak, ale w działaniu będzie chyba gorsza niż dynamit — westchnął Sokrates.

*Fasola twarda,
Dynamit suchy,
Dla nas specjały,
Jak dla psa muchy.*

— zaśpiewał cienko Chochlik.

— Żeby była choć ciut, ciut miększa — westchnął Pluton — z tych zacierek zrobił się prawdziwy klajster, za wcześnie je wspaniałe.

Chrupali twardą fasolę, przegryzając czerstwym dynamitem i humor ich nie opuszczał. Opowiadali szkolne przygody, śmiali się z każdego udanego żartu i dowcipu.

— Hefajstos, co robisz po kolacji? — zapytał Chochlik.

— A bo co? — Piotrek pracował zawzięcie żuchwami nad oporną fasolą.

— Nic, tak pytam. Może pogramy w domino?

— Idę spać. Dziś miałem w warsztacie pieroński dzień. Cały czas nad frezarką. W niedzielę zagramy.

— W niedzielę idziemy odgruzowywać Rynek.

— Zagramy po południu. Będzie ciepło, weźmiemy stołek na dwór.

— Zgoda.

Piotrek ostatni uporał się z fasolą. Twierdził, że taka „jędra” fasola wyjątkowo mu

smakuje i brał dwa razy repete.

Chochlik kręcił się przy jego łóżku. Kiedy wreszcie Hefajstos wstał od stołu, przeciągnął się, ziewnął i podszedł do łóżka, zobaczył pod wezglowiem dziwną dekorację. Kawał niebieskiej blachy, na niej złoty napis: „Radion sam pierze”. Przedwojenna reklama proszku do prania. „Ciekawe, skąd ona się wzięła?” Ale pod nią jakiś biały karton. A na tym kartonie w girlandzie kwiatów krótka sentencja. Piotrek pochylił się, przeczytał:

Mądrzy ludzie żyją w brudzie.

— Chochlik, jak mi Bóg miły, spiorę! — wrzasnął Hefajstos. — Radion sam pierze, ja też sam piore, własnoręcznie.

Skoczył w stronę Chochlika, ale ten przygotowany był na atak i zdążył salwować się ucieczką przez szeroko otwarte drzwi.

— Nie będę gonił — powiedział rozgoryczony Piotrek do Wojtka — on sam mi się napatoczy w ręce, zobaczysz.

— Daj spokój — uśmiechnął się Wojtek — miałbyś sumienie bić słabszego?

— Ale dokuczliwe to jak pchła — zaperzył się Hefajstos — ciągle jakieś wierszyki wymyśla na mnie.

— Po co mu dajesz okazję do tego?

— Miałem szczerzy zamiar umyć się dzisiaj, ale nie będę — z widoczną ulgą powiedział Hefajstos — pomyśli, smarkacz, że to na skutek jego głupich kawałów.

— A właśnie ja tobym się umył, żeby pokazać, że jestem wyższy nad takie drobiazgi.

Piotrek przyjrzał mu się uważnie, ale Wojtek miał tak poważną minę, że trudno było dopatrzeć się kpiny. Piotrek westchnął, wyszperał w kartonowym pudełku, które wyciągnął spod swego łóżka, kawałek mydła i podejrzenie szary ręcznik, potem podszedł do „umywalki”, na którą składał się ułożony z cegieł słupek, na nim miednica i ponad nią półka, czyli kawałek deski zawieszony na sznurach. Leżały tam szczotki do zębów, proszek, przybory do golenia starszych chłopców. Stał tam również nieduży dzbanek, używany zwykle do przechowywania mąki czy kaszy. Piotrek zakasał rękawy, zaczerpnął ze stojącego obok wiadra dwa kubki wody, wlał do miednicy, podgiął kołnierzyk od koszuli i zaczął się myć. W tym momencie zjawiał się w Hadesie Chochlik. Widocznie z upatrzonej z góry pozycji obserwował Piotra i uznał ten moment za dogodny do dalszych działań, bo szedł na palcach, robiąc tajemnicze miny. We drzwiach pojawiły się zaciekawione twarze chłopców. Chochlik zbliżył się do łóżka Sokratesa, które stało w najbliższym sąsiedztwie umywalki, coś przy nim pomajstrował i nagle z półki na plecy Piotra chlusnął strumień wody z przechylnego dzbanka. Piotrek wrzasnął nieludzko, ale oślepiiony mydłem, rozmazanym na twarzy, nie mógł znaleźć ręcznika wiszącego spokojnie na gwoździu obok umywalki. Chochlik znowu na palcach, zwijając po drodze sznurek, którym pociągnął ucho dzbanka, umykał w stronę drzwi. Tym razem i jego los splątał figła. Piotrek miotający się w poszukiwaniu ręcznika nadepnął na drugi koniec sznurka, co zbyt nieoczekiwanie zahamowało ucieczkę Chochlika. Przewrócił się wśród głośnego śmiechu kolegów. Piotrek wytarł tymczasem oczy rękawem koszuli i spostrzegł uciekającego Chochlika. Rzucił w niego szczotką do butów, ale nie trafił.

— Czekaj, ja też cię urządzę! — krzyknął z groźbą i zaczął biadać: — Moja koszula. Cała mokra. Nie mam drugiej na jutro.

— Do jutra wyschnie — pocieszył go Pluton — a przy okazji wypierz ją, to jej nie zaszkodzi. Chcesz, to ci wyszoruję plecy.

— Obejdzie się — odpowiedział niezbyt grzecznie, ale z godnością Piotrek. — Już święty Jan niedługo ochrzci wodę, będę chodził do Wisły się kąpać.

Mokrą, namydloną koszulą przejechał parę razy po plecach i piersiach, wytarł się do sucha ręcznikiem i zabrał się do przepierki. Ale to nie był koniec jego niedoli z wodą. Kiedy w koszulce gimnastycznej i krótkich majteczkach kładł się spać, znów jego przeraźliwy wrzask zelektryzował cały Hades. Złośliwy Chochlik wsunął pod jego koc miseczkę z wodą i

Hefajstos usiadł w niej.

— Teraz masz okazję do umycia nóg i reszty — powiedział Pluton wśród ogólnego śmiechu — nie leń się, bracie, z myciem,, bo Chochlik do reszty obrzydzi ci życie.

*Mydło i woda to mój wróg,
Ja nie uznaję mycia nóg.*

— dobił go Chochlik nowym wierszykiem.

Piotrek nie odpowiedział, tak był zły i obrażony na wszystkich Przemysłiwiał nad zemstą, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie uspokoiła go myśl:

„Jak wyremontuję swego packarda, żadnemu z tych patałachów nie dam się przejechać. Za nic. Niech patrzą i palce oblizują. Niechby się tak napracowali w warsztacie jak ja, to głupie figle nie przychodziłyby im do głowy. Może jeden Wojtek ze mną pojedzie. On to nie lubi głupich kawałów. I zawsze poważny, nie jak te sowizdrzały. A Chochlikowi sprawię dyngus, popamięta mnie. Wiadra wody nie poskąpię.”

IX. Strachy na ulicy Rycerskiej

— Wiesz — skarżył się ze zbolałą miną Apollo — ale mnie ta fasola wzięła! Jeszcze do tej pory kręci mnie w brzuchu, a w nocy to trzy razy biegałem w ruiny!

— Za dużo pewno zjadłeś — powiedział ze współczuciem Wojtek — inni jakoś rano nie narzekali.

— Widziałeś, ile opchnął Hefajstos? Trzy razy repetował. Ma żołądek, co? Jak struś. W nocy to taka była kanonada, myślałem, że Hades rozniesie.

— Jaka kanonada? — zdziwił się Wojtek, ale zaraz zaczął się śmiać. — Tak twardo spałem, że nic nie słyszałem ani nie czułem.

— Miałeś szczęście — stwierdził melancholijnie Apollo — bo chociaż okno było otwarte, musiałem jeszcze otworzyć drzwi. Zazdroszczę ci, że nie idziesz dziś do szkoły. A ja muszę.

— Jak jesteś chory, to nie musisz.

— Muszę. Dziś próba. Posłuchaj, dobrze to mówię? — I Apollo zaczął z patosem:

*Przed godziną z trwogi mdleje,
Za godziną wzorem męstwa,
To nie widzi podobieństwa,
To ma więcej niż nadzieję,*

*O, płci piękna, luba, droga,
Twoja radość, twoje żale
— To jeziora lekkie fale:
Jedna drugą ciągle ściga,*

*To się schyla, to się dźwiga,
Ale zawsze w blasku słońca,
Zawsze czysta i bez końca!
A my dumni władcy świata...*

— Słuchaj, muszę znowu wyskoczyć — przerwał nagle i schwyciwszy się za brzuch, pobiegł szybko w kierunku drzwi. Po chwili wrócił jeszcze bardziej zboląły.

— Wojtek, poradź coś. Już dłużej nie wytrzymam. I co będzie na tej próbie. Skompromituję się przed dziewczynami.

— Dobrze jest położyć na brzuchu gorącą fajerkę lub butelkę z wodą. A ryż skutecznie powstrzymuje biegunkę. Szkoda, że nie ma.

— Jak to nie ma? Przecież wczoraj wszyscy przynieśli przydziały... Zaraz ugotuję — poweselał Apollo. — Rzeczywiście, pamiętam, u nas w domu mama leczyła biegunkę dzieci klejem ryżowym. Tylko drewek jest mało...

— Rozpał ogień i nastaw ryż, a ja pójdę, postaram się o drewnka...

— Chłopcy przynieśli wczoraj trochę gałęzi, leżą przed Hadesem.

Wojtek wyszedł, Apollo zabrał się do gotowania.

Gałązki były cienkie, wysuszone, Wojtek łamał je z łatwością. Kiedy połamał wszystkie, zebrał sporą naręcz i wrócił do Hadesu. Pod płytą w „kozio” buzował wesoły ogień, pokrywa na garnku podskakiwała unoszona przez parę. Apollo siedział na stołeczku obok z fajerką na brzuchu i przymknąwszy oczy, recytował swoją rolę.

— Wojtek, pomóż mi. Może chciałbyś czytać inne role, a ja będę odpowiadał z pamięci rolę Wacława, dobrze?

— Masz *Zemstę*?

— Zaraz ci dam.

Apollo wstał i w tej samej chwili pokrywa zeskoczyła z garnka i potoczyła się z hałasem po kamiennej posadzce.

— Wojtek, ryż wylazi z garnka! Może już gotów?

— Coś ty? Ryż powinien gotować się ze czterdzieści minut, a upłynęło najwyżej dziesięć.

Rzeczywiście ryż „wylazł” z garnka. Wojtek próbował przydusić go łyżką, ale to nic nie pomogło. Suchy, bulgocząc parą, unosił się coraz wyżej.

— O matko, co będzie? — załamał ręce Apollo.

— Trzeba przełożyć do większego garnka — poradził Wojtek.

Wzięli sagan po wczorajszej fasoli, przełożyli zawartość z małego garnka, doleli wody.

Po paru minutach para znowu zaczęła wyprawiać harce z pokrywą.

— Za duży ogień, zsuń fajerkę, bo się ryż przypali.

— Zamieszam, aby się nie przypaliło — powiedział Apollo, zanurzył łyżkę w ryżu i jęknął. Ryż znowu „wylazł”. I na dobitkę złego był twardy.

— Jak wczorajsza fasola — stwierdził ponuro Apollo. — Radź, co robić.

— Trzeba dolać wody, ryż potrzebuje dużo wody.

— Ale gdzie?

Wojtek pokręcił głową. „Rzeczywiście, tego ryżu coś za dużo.”

— Ile wsypałeś do garnka?

— Niewiele. Mój przydział i Achilleś, bo on ryżu nie lubi.

— To razem ile?

— Cztery kilo.

— Człowieku! I miałeś zamiar to zjeść! Na miesiąc by cię zamurowało!

— Myślałem, że się trochę wygotuje. Chciałem zresztą poczęstować ciebie.

— Czemu nie zapytałeś, ile brać? Myślałem, że wiesz. Nie znasz się na gotowaniu?

— Gotowałem raz w życiu mannę. I spaliła mi się na węgiel! Od tej pory chłopcy nie pozwolili mi nic gotować — powiedział tragicznym tonem Apollo.

— I ten za chwilę może się spalić. — Wojtek zsunął garnek na brzeg płyty. — Bierz kociołek od kawy, wymyj, przełożymy do niego ryż.

— Pluton będzie się złościł, bo on nie lubi, kiedy kocioł bierze się do zupy. Mówi, że kawę czuć potem zupą.

— Wyszorujemy piaskiem i będzie w porządku.

Apollo wypłukał kocioł, wlał do niego pół wiadra wody, postawili na ogniu, przełożyli ryż.

— Starczy tego ryżu dla wszystkich na kolację, na śniadanie i na obiad — stwierdził po paru minutach Apollo. — Popatrz, znowu gęste, znowu pełno.

— Nie przejmuj się, zjemy na gęsto.

— Ogień wygasa. Nie ma już drewek?

— Zebrałem wszystko. Pójdę gdzieś dalej, może znajde.

Wojtek wyszedł. Zobaczył z daleka wracających z jakiejś wyprawy Skierkę i Chochlika z Pimpusiem.

— Wiesz — zaczął z ożywieniem Skierka — byliśmy na Rynku — tam pełno różnych inżynierów. Mierzą i zapisują wszystko. Jak ty myślisz, po co?

— Chyba będą Starówkę odbudowywać.

— Och, jak to dobrze! — Skierka zatańczył z radości. — A gdzie ty idziesz?

— Muszę poszukać drzewa. Apollo gotuje ryż na gęsto i zabrakło opału. Zjecie ryżu?

— Gęsty ryż zje się też — odpowiedział Chochlik. — Ty nie chodź, sami polecimy niedaleko i zaraz przyniesiemy.

Wojtek wrócił do Hadesu. Apollo z ponurym wyrazem twarzy stał nad kotłem i mieszał w nim zdobycznym kijem Wojtka.

— Żadna łyżka nie sięgała do dna, a to, zdaje się, chce się przypalić. Musiałem wziąć twój kij. Obmyłem go przedtem. Z tego kotła też już wylażyło, więc odłożyłem część do innych garnków.

— A co tu tak pachnie kawą?

Apollo bezradnie wrzucił ramionami.

Wojtek pochylił się nad kotłem. Z wierzchu, na ryżu, uformował się czarny krążek silnie pachnący kawą.

— Czyś ty dobrze umył kocioł?

— Popłukałem, myślałem, że wystarczy.

— Będziemy jeść kawowy ryż.

— Nie znalazłeś drzewa?

— Spotkałem Skierkę i Chochlika. Powiedzieli, że zaraz przyniosą.

— Pod płytą wygasa. Nim oni wrócą, to ten ryż wystygnie i trzeba będzie gotować na nowo.

— Wiesz co? Zawiniemy go w koc.

— W koc? Przecie się rozmaże. I koc na dodatek zabrudzimy.

— Kocioł owiniemy w „Życie Warszawy”, a potem w koc.

— A może wkroimy do tego ryżu trochę cebuli? — Apollo drżał na myśl, jak mu chłopcy będą dogryzać za kawowy ryż.

— Z ciebie to kucharz! — zawołał śmiejąc się Wojtek. — Ryż z kawą i cebulą! Kucharz nie z tej ziemi!

— To prawda — westchnął Apollo — dlatego wolę być Waclawem, Papkinem, wszystko jedno kim, byle nie kucharzem! Marzę, żeby zostać aktorem. Pomyśl tylko, raz jesteś królem, kiedy indziej bandytą albo rycerzem zakochanym śmiertelnie w jakiejś księżniczce. Rola Waclawa nie bardzo mi leży, przyznam ci się. Żeby on był podobny do któregoś z trzech muszkietierów! Lubię ludzi pełnych życia, temperamentu... nie sentymentalne kukły...

— Mogłeś prosić o rolę Cześnika.

— Chciałem, ale pani od polskiego powiedziała, że mam akurat urodę zakochanego amanta. Klęska z tą urodą. Tak bym chciał trochę zbrzydnać. W szkole mnie przezywają

panienką.

— Nie martw się, zbrzydniesz, tylko ci się wąsy sypną. Każdy chłopak brzydnie, kiedy dorośleje.

— Żeby to była prawda! — westchnął Apollo. — Przecież ani oczy się nie zmieniają, ani nos, ani usta.

— Wąsy ci się puszcza, broda, zaraz nie będziesz taki gładki jak panna. I uszy ci urosną...

— Uszy?! — zląkł się Apollo. — Chyba bujasz?

— Nie bujam — odpowiedział siląc się na powagę Wojtek. — Przyjrzyj się, każdy dorosły mężczyzna ma duże uszy.

— Ale i głowę ma większą niż młody chłopak — odpowiedział spokojniejszym głosem Apollo.

Zawinęli kocioł, usiedli znów nad *Zemstą*. Przebrnęli za ledwie przez dwa akty, kiedy usłyszeli szybki tupot i do Hadesu wbiegli zadyszani Skierka i Chochlik. Przed nimi wielkimi susami sadził Pimpuś.

— Tylko wam figle w głowie — zgromił ich Apollo — latacie jak wariaci, a gdzie drzewo? — Obiecywaliście przynieść.

— Nie ma — odsapnął Skierka — zaczęliśmy zbierać... ale...

— No co?

— Bo tam... gdzieśmy byli... straszy...

— Co też ty za bzdury wygadujesz! W biały dzień straszy? — oburzył się Wojtek i opanowawszy się dodał spokojniej: — Żadnych strachów nie ma na świecie.

— Ja też tak myślałem, ale są — zaprzeczył Skierka. — Idziemy z Chochlikiem, idziemy...

— Przestańcie iść i powiedzcie, dlaczego nie przynieśliście drzewa — przerwał mu ze złością Apollo. — Przez was nie zdążę zjeść tego ryżu. Za pół godziny muszę wyjść z domu.

— Właśnie idziemy po drzewo, idziemy... gdzie dawniej była Rycerska, bo tam najłatwiej jeszcze znaleźć niezłe kawały drzewa... z brzegu już wybierane, ale dalej sporo... chciałem nawet namówić chłopców, aby któregoś dnia tam się wybrać... mało ludzi tamtędy chodzi, bo takie tam zwaliska, wyrwy, że strach... Łatwo się zapaść w jaki dół czy loch albo skrócić nogę. Przyszliśmy, ja zbieram, Chochlik też, mamy sporo tego... patrzę, a Pimpuś coś węszy w jednym miejscu, ogon postawił, sierść mu się zjeżyła... i drapie. Myślę sobie, co tam chce wydrapać? Jaki nowy cud? Podeszedłem bliżej, pochyliłem się... i usłyszałem pod ziemią jęki... straszne... rzuciłem drzewo i chciałem uciekać, ale powstrzymałem się... zawołałem Chochlika... on też się pochylił i też usłyszał jęk...

— Słyszałem — potwierdził ponuro Chochlik — też słyszałem.

— Co?

— Jęk... i jakby płacz czy pisk...

— Szczury się biły — powiedział Wojtek — namnożyło się tyle tego, o jadlo coraz trudniej, więc jeśli znajda coś, to się biją.

— To nie szczury — Skierka potrząsnął złotą czupryną — to nie szczury... Pimpuś, jak czuje szczury, to jest zły, ogon mu chodzi jak u tygrysa... a on był przestraszony...

— Sam mówiłeś, że wachał i drapał.

— Tak, ale sierść mu się zjeżyła i widać było, że się boi.

— Zwierzęta nie wierzą w duchy — roześmiał się Wojtek — a wam coś się ubzdurało.

— Przysięgam, żeśmy słyszeli — odpowiedział obrażonym głosem Skierka — zwierzęta w duchy nie wierzą, ale je czują. Nie wierzycie, chodźcie się przekonać.

— Akurat mam czas na to — Apollo złożył książki, wpakował do chlebaka — już muszę iść i tego ryżu nie zjem.

— Zaczekaj — Wojtek rozwinął koc — może od dna kotła będzie miękniejszy. — Wziął

łyżkę, spróbował ryżu.

— Słuchaj, przecie on doskonale ugotowany! Ale też ze mnie fujara! Na śmierć zapomniałem, że w partyzantce tośmy każdą kaszę po zagotowaniu zawijali w koce, a po godzinie była miękka i gorąca!

— I nawet pachnie mniej tą wstrętną kawą — rozchmurzył się Apollo — myślałem, że będzie do kitu. I miękki na medal.

Zabrali się do jedzenia. Chochlik znalazł w torebce trochę cukru, posypali ryż, więc smakował im znakomicie.

— Napiłbym się teraz kawy, bo się zapchałem jak indyk kluchami — Skierka podszedł do kuchenki w poszukiwaniu kawy i zajrzał do garnka. — Ojej, tu też ryż, a gdzie kawa?

— Było trochę, ale wylałem, jak mi był potrzebny garnek.

— A nie mogłeś przelać choćby do tego najmniejszego garnka?

— Kiedy tam ryż.

— Po co tyle gotowałeś?

— Za dużo mi się wsypało — odparł niechętnie Apollo — a wy zaraz wydziwiacie.

Chochlikowi zaśmiały się oczy.

— Mam nowy wierszyk! — zawołał.

*Kiedy Apollo ryż gotuje,
W całym Hadesie garnków brakuje.*

— I nakarm, człowieku, takich niewdzięczników — Apollo przybrał obrażoną minę — to nie dość, że nie podziękują, ale jeszcze kpią. Wychodzę, bo z wami trudno wytrzymać.

— Wynajmij sobie garsonierę, jak Cerber, będziemy cię odwiedzać — roześmiał się Chochlik.

— Idę z tobą — powiedział Wojtek, kiedy Apollo zabierał się do wyjścia — muszę odwiedzić Kisiela i umówić się, którego dnia mam się stawić do pracy. A z wami, chłopcy, wybiorę się w wolny dzień, może w niedzielę, aby obejrzeć te strachy.

— Do niedzieli to duchy mogą się przenieść gdzie indziej — powiedział Skierka.

— Dobrze to teraz w Warszawie być duchem — roześmiał się Wojtek — bez nakazu, bez kwaterunku można zmieniać mieszkanie, kiedy się chce i gdzie się chce.

— Jakoś po tym ryżu żołądek nie boli mnie tak jak przedtem — stwierdził z radością Apollo — będę miał spokój na próbie. Ty to się znasz na chorobach. Powinieneś zostać lekarzem.

— Zobaczę — powiedział Wojtek i zasepił się.

Stary Kisiel przyjął go bardzo serdecznie.

— Jak się trzymasz? Nieźle? No, to chwała Bogu. Ten twój zastępca całkiem miły chłopak, ale wolę ciebie. Masz tu zaległą tygodniówkę, a to za czas choroby...

— Przecie mi się nie należy za czas choroby...

— Głupstwo. Odżywiaj się lepiej, abyś miał siłę stanąć do pracy. Przyjdź zaraz po niedzieli.

— Te pieniądze to się należą mojemu zastępcy.

— On też dostanie, ale mniej, bo mniej godzin pracował. Zawsze się gdzieś spieszy, jakby wiatr nosił za pazuchą.

— Dużo pracuje społecznie — odpowiedział Wojtek. Przerwali rozmowę, bo łódź wypełniła się pasażerami. Kiedy przybili na praski brzeg, Kisiel zapytał:

— Jak ci się mieszka z kolegami?

— Bardzo dobrze.

— Na przyszłość pamiętaj, że zawsze znajdziesz u mnie kąć do spania. Ciasno, ale się

zmieścisz. Moja stara też cię lubi i dostało mi się od niej za ciebie.

— Dlaczego? — zdziwił się Wojtek.

— Powiedziała, że gdybyś mieszkał z nami, toby cię żadna zła przygoda nie spotkała.

Wojtek spuścił oczy i przygryzł wargi. Stary przewoźnik zauważył to i dodał prędko:

— Takie to tam babskie gadanie. Nic to, nie frasuj się. Było, przeszło, nie wróci. Trzeba myśleć o przyszłości.

„Czyżby stary Kisiel wiedział coś więcej?” — zastanawiał się Wojtek, kiedy pożegnawszy się z nim na przystani, ruszył w stronę ulicy Francuskiej. Szedł wolno i jeszcze zwalniał ciągle kroku, włókł się niemal noga za nogą, ale mówił sobie, że musi tam iść sam, że musi wypić całą gorycz do dna. Mógł wprawdzie poprosić o tę przysługę Pioruna lub którego innego chłopca, ale czuł, że taka prośba nie przejdzie mu przez gardło. Trzeba. Trzeba iść, pożegnać się z panią Miłobędzką, zabrać swoje książki, bieliznę i inne drobiazgi. Co będzie, jeśli zastanie Ninke? Zobaczyć ją z daleka, przyjrzeć się, jak wygląda, ale żeby ona tego nie spostrzegła, żeby tego nie widziała... Już mu się parę razy zdawało, że wśród przechodniów mignęła jej sylwetka, serce mu truchlało, ale po chwili przekonywał się, że to omyłka. Z pewnością jest jeszcze w szkole, nie ma obawy spotkania. „Co powiedziec pani Miłobędzkiej?” Nie wiedział. Szukał jakichś słów, tłumaczenia, ale nic mądrego nie znajdował. A może i pani Miłobędzkiej nie zastanie w domu? W tych godzinach ona zwykle wychodzi po sprawunki. Kuchenka, jak zawsze, otwarta, wejdzie, zabierze swoje rzeczy, pójdzie, aby więcej nie wrócić. Zostawi karteczkę z podziękowaniem: „Szanownej Pani i Jej córce dziękuję za opiekę i życzliwość. Załączam niskie ukłony. Wojtek.” Tak będzie najlepiej. Ninka zrozumie całą gorycz i ironię tego podziękowania.

Życzliwość! Czy Ninka powiedziała matce o tej sprawie? Chyba nie, nie miała się czym chwalić. A matka... ona to ma naprawdę gołębie serce, jak mówi dozorca.

Zastał panią Miłobędzką w kuchni. Coś gotowała i odwróciła się gwałtownie, kiedy usłyszała pukanie.

— Wojtek — zapytała ze zdumieniem — co się stało z twoim okiem?

— Nic ważnego. Już mi się goi.

— Myślałam, żeś wyjechał do rodziców. I miałam żal, że się nie pożegnałeś. Co się z tobą działo?

— Nic, trochę chorowałem. Przyszedłem po swoje rzeczy.

— Wyprowadzasz się? Dlaczego?

— Tak się złożyło.

— Dokąd?

— Do kolegów.

Patrzyła na niego uważnie, z niedowierzaniem. Nic nie uszło jej uwagi.

— Widzę, żeś się wdał w niedobre towarzystwo. Zmizerniałeś, obdarłeś się. Podobno do szkoły nie chodzisz? I u tego przewoźnika już nie pracujesz?

— Chorowałem. Wróć i do szkoły, i do pracy. Mieszkam z dobrymi i uczciwymi chłopcami.

— Patrząc na ciebie, trudno w to uwierzyć.

— Mało mnie to obchodzi — powiedział niegrzecznie, ale zaraz pożałował tych słów. — Bardzo panią przepraszam, niech się pani na mnie nie gniewa. Nie mogę pani powiedzieć, co się stało. Wyprowadzam się, pozbędzie się pani kłopotu. Dziękuję pani za gościnę. Będę ją pamiętał do końca życia.

Taka gorycz zabrzmiała w jego głosie, że pani Miłobędzka drgnęła i spojrzała na niego z niepokojem. Ale twarz Wojtka była spokojna, choć był bardzo blady.

— Nie mam prawa ciebie zatrzymywać. Gdybyś jednak chciał kiedy wrócić, pamiętaj, że zawsze znajdziesz tu drzwi otwarte.

Chciał powiedzieć, że zatrasnęła je nieodwołalnie Ninka, ale w porę się pohamował.

Żadne wyjaśnienia niczego nie naprawią. Pani Miłobędzka, tłumiąc łzy, poszła do pokoju. Przywiązała się do tego chłopca i uważała go za przybranego syna. I naraz znika bez opowiedzenia, wraca po to, by zabrać swoje rzeczy i odejść. Niewdzięcznik.

„Oto dzisiejsza młodzież — pomyślała z żalem. — I miej tu serce dla takich!”

X. Człowiek znaleziony w ruinach

Swój powrót do szkoły i dzień swego kucharskiego debiutu postanowił Wojtek uczcić. Nie troszcząc się, że to mocno nadszarpnie jego kieszeń, kupił obiecane kiedyś Piotrkowi parówki — aż całe trzy kilogramy i tyle samo białego chleba. Parówki schował do garnka, przykrył pokrywą, przycisnął dwiema połówkami cegieł. Znając talent i apetyt Pimpusia, wolał zabezpieczyć się przed niespodziankami. Marzył jeszcze o kupnie paru kiszonych ogórków, ale tu kończyły się jego możliwości finansowe. Pomysł Tomka, który mu asystował przy zakupach, że do parówek „pasuje jak ulał” musztarda, odrzucił po namyśle. Sam nie lubił musztardy i wiedział, że młodszy chłopcy nie zechcą jej jeść, bo przecie w język szczypie. Chłopcy marzą o nowalijkach. W sklepach na Pradze pokazała się młoda rzodkiewka, sałata, szpinak, ale gdzie im, chudopachołkom, do takich delikatesów. Widok szpinaku natchnął go szczęśliwym pomysłem.

— Słuchaj, Tomek, jadłeś ty kiedy komosę?

— A co to za zwierz?

— Nie zwierz, lecz roślina. Inaczej lebioda. O, ten chwast, co tu zaraz za oknem rośnie.

— Można to jeść? Nie otruje się człowiek?

— Skąd! Na wiosnę, kiedy bieda przycisnie ludzi na wsi, wszyscy jedzą komosę. Przyrządza się ją jak szpinak.

— Nie lubię szpinaku — skrzywił się Tomek — ale teraz tobym go zjadł, bo tak ciągle mam ochotę na coś zielonego, na owoce.

— A widzisz. Na wiosnę organizm potrzebuje chlorofilu i witamin. Chodź ze mną zbierać, przyrządzimy na kolację.

— Ty zawsze coś tak uczenie zagadasz, że aż człowieka zatka — powiedział z uznaniem Tomek. — Mogę ci pomóc, ale to będzie pewno takie paskudztwo, że nie przełknę ani łyżki.

— Nie wierz gębie, a połóż na zębie — zażartował Wojtek.

Wojtek zaopatrzył się w papierową torbę, Tomek w płócienny woreczek i wyszli.

Na Starówce panował zwykły codzienny ruch. Drużyny robocze, wśród których było niemało kobiet, odgruzowywały jezdnie, odkładały całe cegły, kilka furmanek i dwie ciężarówki wywoziły gruz. Uprzątno jedną, główną arterię do Rynku; boczne uliczki, sprawdzone przez minerów, leżały wymarłe i ciche, nie tknięte od czasu zniszczenia ich przez najeźdźców.

— Chodźmy nad Wisłę, tam rośnie pełno tego zielska — powiedział Tomek — tu się kręcimy i kręcimy, i niewiele zwojowaliśmy.

Ruszyli na przełaj skracając sobie drogę. Tomek od czasu do czasu pochylał się, podnosił jakiś kawałek skorupy czy szkła, oglądał, potem odrzucał z gniewem. Wojtek nie rozumiał, na czym polega ta jego dziwna zabawa, ale milczał. Też odechciało mu się spieszyć i rwać komosę, ale nie wiedział, jak się wycofać. Zebrać tyle, aby choć po dwie łyżki starczyło dla wszystkich, to roboty na trzy godziny. Może rzeczywiście nad Wisłą będzie więcej? Przypomniał sobie serdeczne przyjęcie, jakie mu zgotowała jego klasa, i rozmowę z woźną. A

jednak to jego, a nie Niwińskiego szukała Ninka. I rozpląkała się, kiedy dowiedziała się, że Wojtek chory. „Spóźnione wyrzuty sumienia — rozmyślał rozgoryczony. — Tamten eleganckim łatwo ją przeciągnął na swoją stronę. Teraz przekonała się, co on wart. Pewno jej wstyd. I żałuje, że tak się stało. Co ona powie, kiedy się spotkamy przypadkowo?” Tomek znów podniósł jakiś płaski kamień czy kawałek cegły i stanął oglądając go z zainteresowaniem.

— Ty, archeolog, jeśli dalej będziemy się tak wlekli, to do jutra będziemy się tu guzdrać. Cośmy do tej pory uzbierali, to na jeden króliczy ząb...

Tomek nie słyszał wymówki. Ciągłe obracał w rękach znaleziony kawałek cegły czy tynku.

— Rzuć to i chodź prędzej — zniecierpliwiał się Wojtek.

— Żebyś ty wiedział, co ja znalazłem!

— Zaczarowane złoto — zakpił Wojtek — a może kamień filozoficzny?

Tomek nie przejął się kpina.

— Kafel piecowy — powiedział z przejęciem.

— Wielkie mi чудо. Pełno tu tego wszędzie. Albo idziesz ze mną bez marudzenia, albo sam pójdę.

— Daj spokój tej lebiodzie. I tak nie zdążymy tu nazbierać tyle, aby dla wszystkich starczyło. A jeszcze oczyścić to i ugotować. A ten kafel... Żebyś wiedział, że kafel kaflowi nierówny... Ten jest z szesnastego wieku albo wcześniej. Chodź, popatrz.

Na białym, pokrytym spękaną glazurą tle zobaczył Wojtek wianeczki dzwoneczkowatych kwiatów okalających tulipan w otoczeniu dwóch goździków. Na kwiatkach pobłyskiwały gdzieśgdzie resztki barw: niebieska i seledynowa.

— To pewno jak z tym Rembrandtem, co?

Tomek nie obraził się. Powiedział spokojnie:

— Ciągłe mi dogryzasz tym Rembrandtem. Podobne kafle widziałem już nieraz i wiem, że są starożytne. Chodź ze mną na Rynek, przekonasz się.

— Znowu handelek?

— Daj spokój — skrzywił się Tomek — chodź ze mną, to zobaczysz lapidarium.

— Coś ty znowu wymyślił?

— Przekonasz się na miejscu.

Znęcony dziwną nazwą, której Tomek nie chciał wytłumaczyć. Wojtek uległ pokusie, choć nie wierzył w dalszym ciągu w wagę znaleziska.

— Z tym szesnastym wiekiem to ty bujasz. Gdzie by się z tych czasów zdołało coś przechować.

— O, wa! Znajduje się tu i starsze zabytki kultury materialnej — odpowiedział Tomek, zrobił interesującą pauzę i spojrzał zezem na Wojtkę. „Pozna się czy nie pozna na uczyonym wyrażeniu?” Ale Wojtek milczał, więc Tomek prawił dalej:

— Musisz wiedzieć, że Stare Miasto istnieje od końca trzynastego wieku. Tu właśnie jest kolebka naszej stolicy. Pierwsza historyczna wzmianka o Warszawie z 1339 roku mówi o grodzie otoczonym murami. A dawniej tak szybko nie budowali jak teraz, więc też miasto musiało powstać dużo wcześniej. Może pięćdziesiąt lat, może jeszcze wcześniej.

— To wszystko ciekawe, co ty mówisz, ale wracajmy do Hadesu. Muszę pomyśleć o gotowaniu kolacji.

— Przyniosłem dziś suchych wiórów, piętnaście minut wystarczy na taką kolację. Chodź, to niedaleko.

Szli przetartą, uprzątniętą jezdnią, prowadzącą do Rynku.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Tomek — tu była kamienica numer 34, a teraz założono lapidarium.

Wojtek zobaczył jeszcze jeden wypalony i na wpół zburzony dom, może tylko staranniej oczyszczony z gruzów i śmieci niż inne. Kręciło się tu kilka osób, porządkując i układa-

jąc różne kawałki marmurów, kafelki, cegły, poobtłukiwane bloki kamienne, kraty okienne, okucia drzwiowe, klamki o nie spotykanych teraz kształtach, kołatki.

— Jak się masz, Tomku — doszedł do ich uszu młody, kobiecy głos — czemu się tak długo nie pokazywałeś?

Odwrócili się jak na komendę. Przed nimi stała pani w żołnierskich saperkach, szarej, drelichowej spódnicy, w zniszczonej brązowej wiatrówce.

— Dzień dobry, pani inżynier — skłonił się szarmancko Tomek — miałem dużo roboty z lekcjami. Dziś znalazłem ciekawy kafelek, chyba z szesnastego wieku.

— To raczej wiek siedemnasty — powiedziała pani inżynier, oglądając uważnie kafelek. — Przyprowadziłeś kolegę?

— Od niedawna mieszka z nami w Hadesie. Nazywa się Wojtek Wieloch.

— Czy i ciebie, Wojtku, interesuje archeologia? A może architektura?

— Ani jedno, ani drugie — odpowiedział szczerze Wojtek — przyszedłem tu, bo Tomek mnie namówił. Mnie interesują zupełnie inne sprawy.

Pani inżynier uśmiechnęła się.

— Podoba mi się taka otwarta odpowiedź. Tylko, widzisz, człowiek poza swoją specjalnością powinien interesować się wszystkim po trosze. Bo im szersze horyzonty obejmuje wzrok ludzki, tym życie jest bogatsze i piękniejsze. Chciałabym cię przekonać, że architektura to nie tylko nowe domy, szkoły, szpitale, pałace. To coś więcej. Posłuchaj, co powiedział znakomity pisarz rosyjski Mikołaj Gogol: „Architektura to również kronika świata: przemawia wówczas, gdy milczą już pieśni i legendy...” O najstarszych dziejach Warszawy, a więc i Starówki, niewiele nam mówią legendy, jeszcze mniej pieśni, a właśnie odkrywane teraz skromne resztki architektury mówią nam najwięcej. Wyłaniają spod gruzów szczątki murów obronnych, bram miejskich, portale najstarszych kamieniczek, takie właśnie kafelki, kute przez kowali artystów klamki... odłamki ażurowych bram...

— Ta klamka wygląda jak listek podgięty ku dołowi, a ta jak grzybek! — zawołał Tomek. — A co to jest, proszę pani?

— To szczątki grobowca książąt mazowieckich z katedry Świętego Jana. Dużo nam jeszcze brakuje, ale nie tracimy nadziei...

Tomek przyjrzał się uważnie kawałkom marmuru, nagle stracił ochotę do dalszej rozmowy z panią inżynier.

— Musimy wracać, proszę pani, do widzenia.

Kiedy odeszli kilkanaście kroków, Tomek powiedział zdecydowanie:

— Teraz idziemy do katedry.

— Po co? - - zdziwił się Wojtek. — Katedry teraz nie ma.

— Słyszałeś, co mówiła pani inżynier? Że nie tracą nadziei na odnalezienie resztek grobowca. Może nam się uda coś znaleźć?

— Zawracanie głowy. Co leżało na wierzchu, dawno zebrali, a żeby dogrzebać się do środka, trzeba odwalać całe tony gruzu.

— A może będziemy mieli szczęście? Czasem ludzie przechodzą dziesięć razy, a może nawet i sto razy, i nie zauważą czegoś, co leży na samym wierzchu. Choćby i ten kafelek — leżał przy wydeptanej ścieżce. Ja mam szczęście do znajdowania.

— Znalazłeś jeden kafelek i tak wciąż się chwalisz.

— Nie tylko kafelek. Znalazłem raz piękną kołatkę z szesnastego wieku, raz mosiężne sztaby od drzwi z osiemnastego wieku... Te rzeczy pójdą do muzeum starej Warszawy i przy kartce będzie nazwisko, że to ja znalazłem. Nie na próżno pani inżynier martwiła się, że tak długo się nie pokazywałem.

— Martwiła się? Ach, ty to jesteś chwalipięta!

— A ty jesteś kąśliwy. Niczym osa.

— To idź sam, ja wracam do Hadesu.

— Wojtek, to jeszcze parę minut. Pomogę ci przy kolacji. Rozpalę ogień i pokroję chleb.

Wojtek dłużej nie protestował. Rzeczywiście mało gotowania z dzisiejszą kolacją, zdąży, choćby wrócili dopiero za pół godziny.

Przybliżyli się do potężnych zwalisk katedry. Umilkli. Wojtek pomyślał z żalem, że już nigdy nie zobaczy, jak wyglądał ten piękny podobno kościół. Musiał być ogromny, resztki murów o tym świadczą niezbitie.

— A czy ty pamiętasz, w którym miejscu był ten grobowiec?

— Nie. Ale to nie jest ważne. Jak się mury waliły, to odłamki rozpryskiwały się na kilkanaście albo kilkadziesiąt metrów. Dziś tylko popatrzymy, jak tam jest, a któregoś dnia wybiorę się na parę godzin na poszukiwania. Przyjdiesz ze mną? Chodź, obejdzimy tę katedrę wokół.

Nie uszli daleko. Wzrok ich przykuł dziwny widok. W zagłębieniu jednej z ocalałych ścian, gdzie kiedyś stał pewno jakiś ołtarz czy była nisza, zobaczyli skuloną postać. Człowiek nie ruszał się, był w zniszczonym, nieokreślonego koloru płaszczu, spod którego wyglądały postrzępione wojskowe spodnie. Na nogach miał gumowe tenisówki, na głowie zrudziały beret. Przyglądali mu się chwilę w milczeniu. Siedział dziwnie zgięty, siwą głowę oparł na kolanach.

— Pijany? — zapytał szeptem Tomek.

— Chyba chory — odpowiedział cicho Wojtek. — Zapytam go.

Podszedł kilka kroków i dotknął ramienia nieznanego.

— Czy panu słabo?

Człowiek drgnął, podniósł zmęczoną, straszliwie wychudzoną i żółtawoblądą twarz.

— Nie. Pić mi się chce.

— Tu wody nigdzie nie ma. Czemu pan nie wraca do domu?

— Ja nie mam domu.

— Gdzie pan mieszka?

— Nigdzie.

— Skąd pan tu przyszedł?

— Z obozu.

— Z którego?

— Nie wiem. Z niemieckiego.

— A gdzie mieszka pana rodzina?

— Nie wiem.

— I nie szukał pan żadnych znajomych, kogoś, kto by mógł panu pomóc?

— Kiedy ja nie wiem, o co mam pytać.

— Jak to, nie wie pan?

— Nie. Przecie ja nie wiem, jak się nazywam.

— Czy to możliwe?

— Chyba możliwe, jeśli ja nie wiem.

— A czy pan wie, gdzie się pan znajduje?

— Podobno w Warszawie, ale ja nic nie mogę sobie przypomnieć, nic.

— Jest pan na Starym Mieście. Tu, gdzie pan siedzi, była katedra Świętego Jana.

Wyjaśnienia Wojtka nie zrobiły na dziwnym człowieku żadnego wrażenia. Pokiwał obojętnie głową.

— Chodź pan stąd, wieczór się robi, musi pan pomyśleć o noclegu. Jadł pan dzisiaj?

— Tak. Rano żołnierze dali mi kawałek chleba. Ale go zjadłem. Szkoda, taki był dobry.

— Chodź pan z nami. Damy panu również chleba i kawy.

Człowiek niewiadomego nazwiska podniósł się, ale zachwiał się silnie i byłby spadł do leja bombowego, gdyby go w porę Wojtek nie podtrzymał.

— Przepraszam, jakoś mi się w głowie zakręciło...

— Poprowadzimy pana, bo tu ciężko iść samemu.

Zbyt wąska była ścieżyna wydeptana wśród gruzów, by mogli prowadzić nieznanego we dwóch. Zdecydowali, że Tomek będzie go prowadził, a Wojtek pójdzie z tyłu jako ubezpieczenie. Nieznajomy ślaniał się na nogach i chwilami zwisał na ramieniu Tomka. Przystawali co kilkanaście kroków. Tomek ukradkiem ocierał pot z czoła. Wreszcie dobrnęli do Hadesu. Z wnętrza dochodziły głosy, ktoś śpiewał, chyba Piorun, bo partyzancką pieśń.

„Jeśli tam który z chłopców nie rozpalil ognia, będę miał wciery od Plutona za spóźnioną kolację. I parówki mnie nie uratują” — pomyślał Wojtek.

Ich wejście z nieznanym wywołało poruszenie.

— Przyprawiliśmy jednego pana, który wraca z niemieckiego obozu — wyjaśnił Tomek — trochę zasłabł i jest głodny.

— Kawa niedługo będzie — zawołał Skierka — woda już szumi!

Wojtek spojrział z wdzięcznością na małego Skierkę. Wyratował go z kłopotu.

— Spóźniasz się z kolacją, Wojtku — powiedział łagodnie Pluton.

— Kolacja będzie za parę minut — odpowiedział Wojtek dziś są parówki. Zaraz zagrzeję.

— A ja pokroję chleb — dodał Tomek — to przeze mnie Wojtek się spóźnił. Hefajstos, pomóż mi kroić. Proszę, niech pan siądzie.

Nieznajomy usiadł, oparł głowę na dłoni. Wydawało się, jakby ta pięknie sklepiona czaszka o wysokim czole ciążyła nieszczęśliwemu, jakby jej nie mógł prosto utrzymać.

Chłopcy uprzątnęli ze stołu książki i zeszyty, rozstawili kubki i talerze. Do Wojtka zajętego przygotowaniem parówek podszedł Piotrek-Hefajstos.

— Chleb pokrojony — powiedział głośno i szeptem zapytał:

— Co to za gość?

— Nie wiem. Spotkaliśmy go w ruinach katedry. Wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć. Zrobiło się nam go żal. Mówi, że nie pamięta swego nazwiska ani skąd pochodzi.

— Czy to możliwe? — zdumiał się Piotrek.

— Chyba możliwe.

— To jakiś podstęp — zaprzeczył Piotrek.

— Podstęp?

— No, rozumie się. Może to jaki ukrywający się gestapowiec albo szpieg.

— Zgłupiałeś? Gdzieś widział takiego wynędzniałego gestapowca?

— Może się gdzieś ukrywał, bo nie zdążył uciec, a teraz wylazł ze spelunki.

— Gdyby to był ktoś podejrzany, to na pewno miałby gotową odpowiedź na każde pytanie. I papiery w porządku.

— Ech — Piotrek powątpiewająco machnął ręką. — A ja ci mówię, że to podejrzana historia. Jakaś afera.

Wojtek nie odpowiedział. Od stołu dolatywały go strzępki rozmowy Sokratesa z nieznanym. Ale na większość pytań dziwny człowiek odpowiadał bezradnym, zmęczonym głosem:

— Nie wiem. Nie pamiętam.

Z krótkich wyjaśnień wylaniały się jego proste dzieje. Był w obozie. Po oswobodzeniu przez wojska radzieckie wracał do Polski. Szedł razem z dużą grupą uwolnionych. Zachorował, zostawili go w jakimś szpitalu, nikt z tych, którzy szli z nim razem, nie pozostał. Jego brudne, zawszone łachy w szpitalu spalili. Dali mu czystą, choć zniszczoną odzież na drogę.

Szedł do Warszawy, wiedział, że musi tu wrócić, ale po co i dla kogo? Nie wie.

Skierka podał mu kawę suciej osłodzoną, chłopcy podsunęli chleb. Wojtek wydzielił mu porcję parówek, ale przyjął tylko jedną. Dawno nie jadł mięsa ani tłuszczu, więc mogłoby zaszkodzić.

Jadł niewiele, wolno żując. Kiedy dopił resztkę kawy, podniósł się ze stołka.

— Dziękuję za wspaniały posiłek. Pójdę stąd, nie będę wam przeszkadzał. Widzę, że się uczycie.

Piotrek spojrział na niego podejrzliwie. Suchy, choć biały chleb i kawę zbożową uważać za wspaniały posiłek? Ale nieznajomy mówił to poważnie, głosem pełnym wdzięczności.

— A gdzie pan będzie nocować? — zapytał Pluton.

— Gdziekolwiek. Noce już są dosyć ciepłe. W obozie to w czasie mrozu stało się po osiem godzin na apelu.

— Niech pan przenocuje z nami — powiedział żywo Piorun — jedno łóżko wolne, bo kolega wyjechał.

— Co ten Piorun wyprawia — szepnął ze zgrozą Piotrek — przecież on nas w nocy pozarzyna.

— Cicho, Hefajstos — mruknął Wojtek — czy nie widzisz, że ten człowiek ledwie się trzyma na nogach?

— Jacy wy jesteście dobrzy, to tak przyjemnie zetknąć się z ludzką dobrocią. Przeżyłem czasy tak nieludzkie, że teraz każdy odruch ludzkiego serca cieszy mnie jak skarb znaleziony na drodze. Chętnie skorzystam z noclegu, ale czy pozwolicie umyć się trochę?

— Prosimy bardzo, jest nawet ciepła woda.

Nieznajomy podniósł się i zobaczył na ścianie, nad łóżkiem Tomka, fotografię Rynku Starego Miasta. Wyraz bolesnego namysłu i skupienia zarysował się na jego twarzy.

— O Boże, przecież ja to widziałem kiedyś, ale nie wiem, co to jest.

— To prawa strona Rynku Starego Miasta — pospieszył z wyjaśnieniem Tomek — strona Kołłątaja.

Nieznajomy powiedział ze zniechęceniem:

— Widok wydał mi się znany, ale nazwa nie wyjaśnia nic, nic... Jak ja się męcę...

— Ale się zgrywa — szepnął Piotrek.

— Po co? — Wojtek wzruszył ramionami, tak mu się wydawały niedorzeczne podejrzania kolegi.

Nieznajomy zdjął płaszcz. Na piersiach miał koszulkę gimnastyczną. Jakaś niebieska plama zamajaczyła na jego gołej ręce. Wojtek ścisnął za łokieć Piotrka.

— Numer obozowy, widzisz?

Teraz z kolei Piotrek wzruszył ramionami.

— Naiwniak jesteś. Czy to tak trudno wytatuować sobie numer?

Dopiero kiedy dziwny człowiek zdjął koszulkę i pochylił się nad miednicą z wodą, chłopcy zbledli z wrażenia. Całe plecy miał w bliznach i strupach.

— I co powiesz, panie detektywie? — zapytał cicho Wojtek. Ale Piotrek milczał. „Tak się pastwić nad człowiekiem — myślał w popłochu — tak się znęcać... Na to trzeba być hitlerowcem!...”

Skierka przetaił oczy, jakby się budził ze złego snu, podszedł do swego łóżka, wziął swą jedyną, skromną poduszeczkę i położył na łóżku Ryśka, które Pluton przeznaczył na nocleg dla nieznajomego.

Kędzierzawy Piotrek wzburzył palcami swoją czuprynę, popatrzył na kolegów, potem zdecydowanym ruchem przerzucił swój koc na łóżko Ryśka.

„Noce są dosyć ciepłe, prześpię się pod prześcieradłem, a on powinien się trochę wygrzać” — pomyślał, ciągle wstrząśnięty widokiem tych storturowanych pleców.

XI. Burza nad Hadesem

— Ogłaszamy cię uroczyście władcą wszelkich wód ziemi: oceanów, mórz, rzek, jezior, strumieni i źródeł. Oto godło twojej niepodzielnej władzy...

— Nie chcę! Protestuję!... Ja wolę być Hefajstosem!...

Ale głos protestu zagłusza jakiś huk straszliwy, jakby waliły dziesiątki niemieckich „szaf”.

— Wszystkie żywioły wodne świata będą odtąd w twoim niepodzielnym władaniu... Jako pan i władca wód musisz poznać swoje królestwo... A więc najpierw niech cię wychłószczą bicze Niagary... Niech cię obmyją święte wody Gangesu... A wody Nilu...

— Protestuję! Ja ogień!...

— Do wody go! Do wody! Siup!...

Pluton podniósł trójząb w górę, Skierka dzwoni w patelnię, a Chochlik, złośliwy Chochlik, wydziera się na całe gardło:

*Hefajstos, brudny, nie lubi wody,
Przez co mu Zeus nie dał urody.*

Achilles i Apollo łapią go za nogi. Wojtek z Sokratesem wiążą ręce Piotrek szarpie się, próbuje wyrwać. Zimnej wody wszędzie pełno, a oni, podli, chcą go wpakować do olbrzymiego, packarda, w którym przelewają się fale groźne jak na Wiśle wiosną.

— Dajcie spokój! Utopię się! — wrzeszczy Piotrek, jak może najgłośniejszy, i siada na łóżku.

Cóż to? Nie ma Plutona z trójzębem ani Skierki z patelnią, nie ma Achillesa i Apolla ani złośliwego Chochlika, nie ma packarda wypełnionego wodą. Wokoło ciemność, równe oddechy śpiących. Nie ma nic? Nieprawda. Choć nie ma Niagary ani Gangesu, ale na głowę leją się strumienie wody. To nie packard, ale łóżko tonie w wodzie. I cały Hades trzęsie się od huku.

Nagły, oślepiający, niebieski błysk rozjaśnia nie tylko Hades, ale i głowę Piotrka, budzi go z resztek koszmarne snu. Burza?

Piotrek zrywa się, wyskakuje z łóżka, staje bosymi nogami na cementowej podłodze, wstrząsa się z zimna. Mokro. Po omacku szuka pantofli, wkłada w nie stopy i od razu wyskakuje z wrzaskiem. W pantoflach chlupie woda. Jakiś obcy, wystraszony głos pyta: — Co? Co się stało?

Aha, to ten człowiek znaleziony w ruinach. Na sąsiednich łóżkach budzą się koledzy. Trzask zapalki. To Piorun. Zapala naftowego „kopciucha”. W mdłym świetle mrugającej lampki ujrzeli ociekającego wodą Piotrka, jego łóżko jakby świeżo wyciągnięte z rzeki i strumyki wody lejące się bez przerwy z sufitu.

Zamiast spodziewanego współczucia Piotrek usłyszał żarty i śmiechy. Rozeźliło go to.

— Dobrze wam się śmiać i robić ze mnie Neptuna, a ja omal się nie utopiłem we własnym łóżku! — krzyknął z goryczą. — Tacy z was koledzy?

— Neptunem zostałeś? — pyta podstępnie Pluton.

— Dlatego tak długo brał prysznic — piszczy Chochlik, który już od dłuższej chwili ze swego łóżka przygląda się katastrofie Piotrka — zmywał z siebie sadze Hefajstosa!

— Chochlik, spiorę cię, jak pragnę mercedesa — odpowiada z rosnącym żalem i gniewem Piotrek.

Jest mu zimno w tej mokrej, kusej, zakrywającej zaledwie górne pół brzucha, koszulce gimnastycznej. Chude, patykowate nogi mu drżą, wygląda śmiesznie i żałośnie. Nie zdaje so-

bie z tego sprawy, mówi z rozdrażnieniem do kolegów, którzy, jak mu się wydaje, zachowują kamienny spokój wobec jego nieszczęścia:

— Wyprowadzam się od was, jesteście podli...

— Zaczekaj, aż burza przeleci. I nie tak na golasa, bo milicja cię przyskrzyni — śmieje się ustępliwie Piorun, ale zaraz podchodzi z ręcznikiem i kocem.

— Ściągaj ten mokry łach, wytrzyj się, owiń kocem i włącz do mojego łóżka.

Piotrek posłusznie i prędko spełnia polecenie. Koledzy chichocząc odciągają spod strumieni lejącej się wody jego łóżko, podstawiają kocioł i miskę, do których woda spada dzwoniąc głośno.

Piotrek uspokaja się i zastanawia nad zachowaniem kolegów.

Mieli się z czego śmiać, i on nie byłby lepszy, gdyby podobna przygoda spotkała kogo innego. Stanąc tak przed wszystkimi w koszulce do pępka, wystawić wszystko na widok publiczny, ociekając wodą jak zmokła kura? I w dodatku wymyślać im, że jego nazwali Neptunem? Skąd oni mogli wiedzieć, co mu się śniło?

— Ciepłej ci? — pyta Piorun.

— Aha.

— Czemuś nas wcześniej nie budził?

— Nie mogłem się obudzić. Spałem jak zabity i śniło mi się, że mnie wybieracie na Neptuna.

Wszyscy zarykują się ze śmiechu, Piotrek również. Przebaczył kolegom i udobruchał się, żałuje, że groził wyprowadzką. A jak mu to wypomną? Ale chłopcy nie myślą o pechowym Hefajstosie. Woda przelewa się z miski, trzeba ją wychlusnąć na dwór. A tam szaleje burza. Ciężkie gromy przetaczają się po niebie, błyska ciągle, deszcz leje potokami.

Pluton ściąga koszulę, zdejmuje buty, zostaje tylko w majteczkach kąpielowych, bierze miskę z wylewającą się wodą, stawia na jej miejscu pusty garnek i mówi:

— Będę wylewać na dwór. Podawajcie mi naczynia. Taśmowo.

— Grunt to naukowa organizacja pracy — potakuje Sokrates — taśmowo będzie szybciej i nikt się nie zmęczy.

Piotrek chce wciągnąć spodnie i stanąć w szeregu, ale Pluton nie pozwala.

— Na razie nie jesteś potrzebny. Wygrzewaj się.

I Pluton postąpił krok naprzód. W tej samej chwili drzwi rozwarły się z hukiem, jakby uderzone pięścią huraganu. Gwałtowny podmuch zgasił lampę, do grzmotu piorunu dołączył się jeszcze inny, pamiętny z czasów powstania huk walących się murów. Instynktownie przywarli do ścian, schowali głowy w ramiona. W blasku błyskawicy ujrzeli stertę gruzów i cegieł zaścielającą całą framugę drzwi. W ciszy, jaka nastąpiła po tym wstrząsie, usłyszeli suchy trzask zapalki i opanowany głos Pioruna:

— Nic się wam nie stało?

— Nie — cienko zawołał Skierka — ale ja się boję! I w uszach dzwoni.

Znów suchy trzask zapalki, wreszcie trzecia zabłysła ogniem.

Piorun zapalił papierosa, potem kawałek papieru, odszukał lampkę. W jej migotliwym świetle zobaczyli, że zwalony gruz odciął im całkowicie wyjście.

— Zwaliła się ta ściana, co sterczała nad naszym Hadesem — powiedział Pluton. — Zawsze się bałem, że może nas przysypać.

— Gdyby się zwała na sklepienie Hadesu, nie wyszlibyśmy na sucho z tej opresji — Piorun mówił to swoim spokojnym, jak zawsze opanowanym głosem — na szczęście zaważdziła tylko jednym skrzydłem.

— Jak my wydostaniemy się stąd? — zapytał wystraszony Chochlik.

— Mamy przecie okno. Jak przestanie padać i rozwidni się, weźmiemy się do odgruzowania — wyjaśnił Piorun.

Jego spokój podziałął kojąco na wszystkich, tylko Piotrek zaczął lamentować:

— Pewno przywaliło mój kosz i wszystko pogruchotało. I motor też... Nie na próżno śnił mi się packard pełen wody...

Pluton podszedł do okienka. Zastanawiał się, czy można przez nie wylewać wodę, ale wszyscy gwałtownie zaprotestowali. Co będzie, jeśli deszcz zacznie się lać i przez okno? Zaczęli więc łapać wodę w resztę naczyń, nawet do miseczek od zupy, ale nie wystarczyło. Woda szeroką plamą rozlewała się po cementowej posadzce, która ciemniała coraz bardziej. Wreszcie deszcz zaczął powoli przycichać, gromy były coraz odleglejsze. Burza przechodziła. Piorun zakręcił się koło kuchenki, rozpałił ogień.

— Co ty robisz? — zapytał Skierka.

— Ugotuję kawy.

Projekt wszyscy przyjęli z zadowoleniem. Teraz dopiero poczuli, że im chłodno i że warto się rozgrzać. A właściwie jeść też się chce.

— Wszystko nas może opuścić i zdradzić — oświadczył sentencjonalnie Sokrates — tylko apetyt nie. Nie przypominam sobie takiej chwili w życiu, żebym nie miał ochoty czegoś zjeść.

— To tak jak ja — powiedział Piotrek — a zdarzy się co dobrego, to nawet potrafię zjeść na zapas.

— Wielbłądy najadają się na dwa tygodnie, a niedźwiedzie na całą zimę. Czy ty tak potrafisz?

— Gdybym spróbował, to kto wie — chwali się Piotrek, któremu w ciepłym kocu poprawił się humor — ale do tej pory nie miałem takiej okazji.

— Słuchaj no, jak z tym mercedesem? Dlaczego ci się śnił? Odmówili w magistracie?

— Z mercedesem? Chyba z packardem? Byłem w magistracie, rozmawiałem. Jak usłyszeli, że jestem uczniem Miejskiego Gimnazjum Mechanicznego z Targowej, to od razu inaczey zaczęli ze mną gadać. Kazali przynieść zaświadczenie ze szkoły i sto złotych na koszta manipulacyjne.

— Dostałeś?

— Dyra wczoraj nie było. Miał jakąś konferencję w Ministerstwie Oświaty. Dziś pójdę.

— Da ci?

— Chyba da. Mówił do naszego wychowawcy, że jestem jednym z najzdolniejszych uczniów w szkole. To słyszał na własne uszy Janek Kąkol z mojej klasy, kiedy wszedł do pokoju nauczycielskiego po dziennik. Przepowiada, że zostanę konstruktorem.

— A może ten wrak już ktoś zabrał?

— Wczoraj oglądałem. Stoi. I wcale nie taki wrak. Nawet koła ma jeszcze. Motor rozwalony.

— Kiedy chcesz iść po niego? — zapytał Wojtek.

— Jak tylko będę miał pozwolenie. Może nawet jutro. Pomożesz mi?

— Wszyscy ci pomożemy — za wszystkich odpowiedział Skierka. — Przyciągniemy go tutaj, przed Hades.

— Szkoda, że to nie ciężarówka — westchnął Chochlik — zrobiłbyś w niej letnie mieszkanie dla wszystkich, prawda, Piotrek?

Piotrek spojrział na niego podejrzliwie, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale Skierka dodał naiwnie:

— Zrób w tym packardzie letnie mieszkanie dla siebie, Hefajstos, to my cię będziemy odwiedzać. A w niedzielę będę grał z tobą w domino.

Gorąca kawa w kubkach przyjemnie grzała dłonie. Sokrates smarował smalcem grube pajdy dynamitu. Człowiek znaleziony w ruinach z wdzięcznością wziął kubek kawy, wahał się, czy przyjąć chleb, ale Piorun rozproszył jego skrupuły.

— Niech pan je bez obawy. Wystaram się o kartki dla pana. Jutro pójdziemy razem do biura aprowizacyjnego. Ponieważ pan wrócił z obozu, dostanie pan kategorię „A”.

— A co z moim nazwiskiem?

— Podamy jakiegokolwiek. Na przykład: Adam Kowalski. A potem będziemy szukać pana krewnych i znajomych. Może pan sobie coś przypomni. Myślę, że odpocznie pan, nabierze siły, to i pamięć wróci. Jeśli uchwycimy jaki ślad, to dalej będzie łatwo.

— Dziękuję wam. Jak to dobrze znaleźć się znów między prawdziwymi ludźmi. Czy uwierzycie, że wiara w człowieka, w jego dobroć, nie opuszczała mnie nigdy, nawet tam, w obozie, gdzie wszystko było zaprzeczeniem człowieczeństwa?

Przez okienko Hadesu przedzierał się seledynowy świt, wykąpany w deszczu. Pluton zarządził odgruzowanie. Wychodzili jeden po drugim przez wąskie okienko, tylko człowiek znaleziony w ruinach, a od dzisiejszego dnia pan Adam, wyłączony został z akcji. Był jeszcze gościem. Stałym mieszkańcem Hadesu zostanie z chwilą otrzymania kartek żywnościowych.

Ściana szczytowa, którą zwała burza, tylko jednym skrzydłem zawadziła o Hades, reszta muru rozsypała się na zewnątrz, tworząc dość pokaźnych rozmiarów zwalisko. Strop korytarzyka, który wiódł do Hadesu, zerwany został na metrowej może przestrzeni, tuż nad drzwiami. Piotrek stwierdził z radością, że tylko parę odłamków cegieł spadło na „puszkę Pandory”, nie czyniąc jej żadnej krzywdy. W korytarzyku leżało sporo cegieł i gruzu. Choć chlik ze Skierką podparli się ramionami pod większą bryłę, chcąc ją ruszyć z miejsca, ale powstrzymał ich okrzyk Sokratesa:

— Panowie, stać! A gdzie naukowa organizacja pracy? Ustalamy, co w pierw: usuwanie gruzów z wnętrza czy z zewnątrz, znad ocalałego stropu korytarzyka?

— Najpierw z zewnątrz — powiedział Pluton — bo mogą tam być jeszcze jakie obluzowane cegły, które trzeba usunąć, aby nam nie spadły na głowę, kiedy będziemy pracować w środku korytarzyka.

Znów wysypali się gromadką na powietrze.

— Po każdym deszczu coraz mniej czuć śmiercią i spalenizną — powiedział Tomek do Wojtka, który stanął do pracy obok niego. — Wiesz, w pierwszych tygodniach po wyzwoleniu, jak tu zamieszkaliśmy, trudno było wytrzymać.

— A ja się boję, czy następna burza nie pozbawi nas całkiem mieszkania — odpowiedział Wojtek — jeśli dziś tak lało przez sufit.

— Załatamy tę dziurę gliną i dachówkami, pełno ich tu wszędzie. Aby do zimy.

— A co będzie w zimie?

— Może otworzą internaty przy szkołach albo Piorun wystara się dla nas o jakie mieszkanie. Myślę, że przez lato odbuduje się sporo domów. Ponieważ nasz rząd postanowił, że stolica będzie w Warszawie, to myślę, że coraz prędzej będzie się tu budować. Ludzie muszą mieć gdzie mieszkać, no nie?

— Pewnie — przyznał Wojtek.

Pracowali szybko, bez odpoczynków i pauz. Trzeba przecie przed pójściem do szkoły doprowadzić Hades do normalnego wyglądu. A sami też muszą się jeszcze umyć, przebrać i zjeść śniadanie. Pluton nastawił sagan jaglanej kaszy i poprosił pana Adama, by pilnował ognia, dopóki oni nie uprzążą gruzu.

— Zostawimy drzwi i okno otwarte, to Hades wyschnie do wieczora. Dzień zapowiada się pogodny i ciepły — powiedział Pluton — będzie pan mógł wynieść siennik przed Hades i odpoczywać na słońcu.

— Zrobię tak — odpowiedział z radością pan Adam. — Ciągle jeszcze nie wierzę swojemu szczęściu, że do was trafiłem.

— Nie takie znów szczęście — uśmiechnął się Pluton. — Biedny ten nasz Hades, ale wesoły. A panu właściwie przydałoby się sanatorium.

— Dobrze mi u was — powtórzył pan Adam.

XII. Niespodziewane spotkanie

Piotrek dostał pozwolenie na zabranie packarda. Wprawdzie urzędnicy, którzy wypisywali ma papierek, podśmiewali się z niego, ale Piotrek nie przejmował się tym.

„Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni” — powiedział sobie filozoficznie i jakby go wiatr niósł, pobiegł do Hadesu. Niestety, zastał tylko pana Adama i bardzo mu się dłużył czas do powrotu kolegów. Kiedy wrócili wszyscy, zaczął molestować, aby z nim poszli. Achilles został, aby przygotować kolację, reszta zgodnie wyruszyła na miejsce postoju, a jak Chochlik sprostował, na miejsce wiecznego spoczynku słynnego packarda. Piotrek zaopatrzył się w kawałek liny i łańcuch, wziął młotek i obcęgi. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, czy mu to będzie potrzebne, ale wolał być przewidujący. Minę miał uroczystą i poważną, jak wymagała taka przełomowa chwila w jego życiu. Nie zwracał uwagi na żarty i docinki kolegów, którzy wyprawę po packarda uważali za pyszny kawał i okazję do śmiechu.

Wkrótce przybyli na miejsce. Przeświecający wesołym pomarańczowym kolorem poprzez warstwę zeschniętego kurzu i błota leżał okazały packard wśród gruzów tak, jak go dosięgła ręka losu.

— Jeśli do tej pory nikt nie zabrał tego cudu, to pewno jest nic niewart — powiedział Sokrates. — Trudno uwierzyć, aby bezpieczeństwa dobro uchowało się tak długo przed szabrownikami.

— Mieli lepsze na szosach i na zachodzie — odpowiedział Piotrek — a z tego to ja wykręciłem wszystkie śruby i części, które się dały rozebrać. Zostawiłem samą karoserię i koła.

— Żałosna ta karoseria — stwierdził Wojtek — przecie to kupa pogiętej blachy nadającej się tylko na szmelc.

— Nic nie szkodzi — pogodnie uśmiechnął się Piotrek — zobaczysz go za dwa tygodnie, to wtedy inaczej pogadasz.

Naprzeciwko packarda po drugiej stronie jezdni leżał rozbity czołg. Postawione obok kilka słupków cegieł, wydobytych z gruzów, zwiężało i tak już wąski w tym miejscu przejazd. Skierka z Chochlikiem wdrapali się na czołg, dochodziły stamtąd ich wesołe pokrzykiwania i śmiechy.

— Aby go ściągnąć na jezdnię — powiedział Pluton — musimy cofnąć go jeszcze trochę, a potem dopiero spróbujemy zepchnąć z tego usypiska w prawo.

— Tak, bo jakby się zwałił w lewo, do tego leja, to kłapa. Żadna siła by go stamtąd nie ruszyła — powiedział Sokrates.

— Chyba podmuch bomby cisnął go z jezdni aż na tę zburzoną kamienicę.

— Lej został po bombie. Musiała to być tonówka...

— Kamienica pewnie była zburzona znacznie wcześniej.

— Zawaliła cały chodnik i częściowo jezdnię...

— Pamiętam, że tu jezdnia była całkowicie zasypana, wojsko musiało torować drogę i odwalać gruz...

— Mimo to jest diabelnie wąsko, dwa wozy nie mogłyby się minąć...

Dzielili się uwagami, oglądając packarda ze wszystkich stron. Wcale nie tak łatwo ściągnąć go na jezdnię, może to odstraszyło amatorów bezpieczeństwa.

— Wiecie, wiecie, gąsienice są całe przy tym tygrysie — zawołał Skierka nadbiegając — i patrzcie, jakie ładne łuski. Pełno ich tam!

Wyciągnął rękę z łuskami od karabinu maszynowego.

— Słuchaj no, Piotrek, ja ci coś poradzę — powiedział Wojtek — coś genialnego.

Wszyscy umilkli, zaciekawieni, co Wojtek powie.

— Gdybyś ty, bracie, zamiast tego packarda zabrał się do remontu czołgu. Pomyśl tylko, jakbyś tak do szkoły zapychał własnym tygrysem,, to byłaby sensacja, no nie?

— Zabieramy tygrysa! — krzyknęli wszyscy jak na komendę. — Chodź, Hefajstos, zostaw ten wrak!

Piotrek wystraszył się.

— Słuchajcie, późno się robi, nie zgrywajcie się — zaczął błagalnie. — Obiecywaliście pomóc przyciągnąć packarda.

Wyskandowali zgodnie:

— Idziemy po tygrysa!

Piotrek omal nie rozplakał się.

— Przecie mam pozwolenie na samochód, a nie na czołg.

— Idziemy po tygrysa!

Wydawało się Piotrkowi, że najgłośniej krzyczy Wojtek.

Ten poważny, spokojny Wojtek, któremu obiecywał bezpłatną przejażdżkę na Mazury! Przypomniała mu się na szczęście zbiórka złomu.

— Tygrysa wyślą na Śląsk, do huty — powiedział z przejęciem — będzie na kawałek przeszła mostu Poniatowskiego. Jutro zamelduję w szkole o tym czołgu.

— Wymigujesz się, Piotrek — powiedział Sokrates, któremu żal się zrobiło biednego Hefajstosa — pewno czujesz, że nie dasz rady z remontem tygrysa.

— Pewno, że nie dam — odpowiedział hardo Piotrek — tu nikt nie da rady, bo on się nadaje tylko na złom.

— Ten twój packard nie lepszy.

— To się okaże.

— Daj łańcuch — powiedział Pluton — zaczepimy go u podwozia. A ty wyrównaj spadek, aby łatwo było stoczyć wóz z nasypu. Tam leżą kawały płyt chodnikowych.

Piotrek ochoczo zabrał się do noszenia płyt, podczas gdy Piorun z Sokratesem umocowywali łańcuch.

Wojtek i pozostali chłopcy układali spadzisty tor dla packarda, odłamkami cegieł i tynku wyrównując podłoże dla płyt. Nieliczni przechodnie przyglądali się ciekawie ich pracy, ale nikt nie zatrzymywał się ani nie pytał, co oni robią. Każdy miał widocznie dosyć własnych spraw i kłopotów.

Wreszcie nadeszła chwila z utęsknieniem oczekiwana przez Piotrka — zepchnięcie packarda na jezdnię.. Piorun chwycił za łańcuch, reszta wparła się ramionami w karoserię wozu, wyteżyli wszystkie siły, na komendę Pioruna szarpnęli. Wóz drgnął, zazgrzytał. Znów na „raz, dwa, trzy” szarpnęli. Koła zrobiły pół obrotu.

— Ale ciężko — stęknął Apollo.

— To tylko tu, na nierównym — zasapanym głosem zaczął przekonywać gorąco Piotrek — po jezdni pójdzie gładko jak po maśle.

— Musisz go przedtem nasmarować masłem...

— Przecie on nie jest zardzewiały, tylko brudny i zakurzony... Paznokciem skrobnąć i już się błyszczą.

— W twoich oczach — odpowiedział Apollo. — Kto chce cud zobaczyć, to zobaczy, chociaż nic nie ma.

Z trzaskiem, stękaniami i podzwanianiem wóz ruszył z miejsca. Wtoczyli go na płyty, gdzie nabrał rozpędu i runął błyskawicą ku jezdni, jakby sobie na moment przypomniał czasy swojej świetności i zwycięskiego zdobywania przestrzeni. Uderzył jednym bokiem w czołg, odbił się jak piłka, runął na pracowicie ustawione klocki z cegieł, rozniósł je, stracił rozpęd, cofnął się i stanął w poprzek jezdni. Na szczęście nikogo tam w tej chwili nie było i Piorun pomyślał, że to wielkie przeoczenie z ich strony, że nie wystawili ostrzeżenia. Co by to było, gdyby tak zza zakrętu wyjechał nagle w pełnym biegu samochód? Zbiegli szybko z nasypu,

aby wóz skierować we właściwą stronę, ale spostrzegli, że to nie takie proste. Na wąskim pasie jezdni nie było tyle miejsca, aby wóz wykręcić, zrobić nim choć pół obrotu. Między zwaliskiem gruzu a tygrysem wóz zaklinował się jak w potrzasku. Tylko jakiś potężny dźwig, który potrafiłby go unieść w górę, wydostałby go z tej pułapki.

— Zrobiliśmy fajną barykadę — powiedział Skierka — teraz żaden samochód ani wóz tędy nie przejedzie.

— Trzeba odwalić sporo gruzu, cofnąć go bokiem do tyłu, a wtedy go wydostaniemy — po głębokim namyśle powiedział Piorun — innej rady nie widzę.

— Mnie też tak się zdaje — dodał Sokrates — tylko potrzebne ze dwie łopaty i kilof.

— Skoczę do Hadesu po łopaty, ale skąd wziąć kilof? — powiedział Piotrek zgnębiony nieprzewidzianą klęską.

— Zanim ty wrócisz, zrobi się ciemno i jakiś samochód może wpaść na tego nieszczęsnego packarda.

— Będziemy pilnować — powiedział Sokrates.

— Rozpalimy na jezdni dwa ogniska.

— Już coś jedzie! — krzyknął Sokrates. Doszedł ich uszu daleki warkot motoru.

— Chłopcy, na zakręt!

Pierwsi pobiegli Skierka i Chochlik, za nimi Wojtek i Piorun. Już z daleka rozpoznali wojskową ciężarówkę.

„Dadzą nam oni szkołę — pomyślał przelotnie Wojtek — posądzą nas o głupi kawał.”

Szofer zauważył rozpaczliwe sygnały wymachujących chusteczkami chłopców i zatrzymał wóz.

— Co się stało? — zapytał wychylając głowę przez okno.

— Sprowadzaliśmy samochód z gruzów i on zabarykadował jezdnię! — zawołał Skierka, który pierwszy dobiegł do ciężarówki.

— Jaki samochód? Co to wszystko ma znaczyć? Godzinę temu przejeżdżałem tędy i droga była wolna — powiedział z gniewem szofer.

Piorun przyspieszył kroku, aby wyjaśnić, co się stało, ale uprzedził go Piotrek, który nadbiegł pędem.

— Obywatelu kapralu, zaraz wszystko wyjaśnię — sapnął jednym tchem — oto pismo!

Wyciągnął z kieszeni pozwolenie na zabranie karoserii marki packard. Szofer zaczął oglądać papierek ze wszystkich stron, co dało czas Piotrkowi na kilka głębokich oddechów, więc spokojniej już mówił:

— Dostałem ten wóz dla celów naukowych. Chcieliśmy go przyciągnąć do bazy, to jest do naszego miejsca zamieszkania... I takie nam się zdarzyło nieszczęście: kiedy go zsunęliśmy z tego gruzowiska, wpakował się w najwęższe miejsce... i zatarasował drogę...

— Barykada na torze — wtrącił Skierka.

Kapral studiował pismo, przeczytał je uważnie, przyjrzał się pieczęci, podpisom.

— No tak, pismo w porządku — chrząknął, spojrział groźnie — ale wyście zrobili bardzo głupi kawał. My się spieszymy do jednostki...

Spod plandeki ciężarówki wyrzeli zaciekawieni żołnierze.

— Obywatelu kapralu, pomożemy chłopakom! — zawołał jeden z nich. — Przesuniemy ten wóz kawałek dalej.

— Uniesiemy go w górę i nakręcimy jak trzeba...

— No, dobrze — odpowiedział kapral! — a ty, co się tak na mnie gapisz, jak się nazywasz?

— Skierka — szepnął mały nieśmiało.

— Skierka? Dziwne nazwisko.

— Na imię mam Zenek — dodał Skierka zawstydzony, że zamiast nazwiska podał przyzwisko, którym ochrzcili go chłopcy.

— Zenek?! Jak mój chłopak?!

Kapral spojrział uważnie na Skierkę, krzyknął coś, jak wichur szarpnął drzwi szoferki, wyskoczył i chwycił osłupiałego chłopca w ramiona.

— Zenek! Jak matkę kocham, Zenek!

Skierka w odpowiedzi zaszlochał krótko. Teraz już nie miał wątpliwości, że to ojciec.

— Tatusiu, tatusiu, wiedziałem, że wrócisz!

— To jak ty się nazywasz?

— Zenon Nowacki.

— A dlaczego takie dziwne przydomko?

— Tak mnie chłopcy przewali dla żartu.

— A gdzie mama?

— Mama... — Skierka zająknął się — mama... ja, tatusiu, walczyłem w powstaniu... byłem łącznikiem... kiedy przyszedłem raz do naszego domu... to domu nie było... wszystko było zburzone... a pani Krukowska... ta spod szesnastego... powiedziała, że wszystkich z naszego podwórza rozstrzelali... wszystkich... kobiety też... i dzieci... ale ja grobu nie znalazłem... tylko znalazłem grób Hani Krawczyk... pamiętasz, ta, co miała oczy jak niezapominajki... tyś tak kiedyś powiedział, tatusiu...

— Pamiętam — jęknął kapral Nowacki — a mama...

— Mama się znajdzie, zobaczysz, tatusiu. Teraz jak będziemy szukać we dwóch... Ja na murze naszego domu napisałem, gdzie teraz mieszkam... Byłeś tam, tatusiu?

— Jeszcze nie. Dopiero wczoraj wróciłem z Berlina. Pisałem listy... parę razy... Chciałem dowódcę prosić o urlop na niedzielę, a nie wiedziałem, że los zetknie mnie z tobą.

Chłopcy stali z boku i przysłuchiwali się rozmowie Nowackiego z odnalezionym synem. Większość z nich poszukiwała swoich rodzin, wielu z nich przeczuwało, że nie będą mieli takiego szczęścia jak mały Skierka, który przynajmniej odzyskał ojca.

„Ja nie mam ani krzty wątpliwości, ani odrobiny — myślał Piotrek, któremu nagle zobojeźniała packard — żadnych... byłem w szpitalu przy ojcu, kiedy umierał z ran... i byłem przy śmierci matki... może to nawet lżej żyć, kiedy się ma choć iskrę nadziei... ja nic...”

Zaszklily mu się oczy i odwrócił się, aby tego nikt nie zauważył. Spozstrzegł Chochlika siedzącego tyłem do wszystkich na kamieniu. Chochlik głowę oparł na rękach i ramiona mu drżały, jakby nim wstrząsały dreszcze.

„I ty, mały, jak ja nie masz żadnych wątpliwości — pomyślał Piotrek — tak jak i ja... A tobie matczyną opieką potrzebna jeszcze bardziej niż mnie...”

Kapral Nowacki szybko się opamiętał. Spojrzął na twarze chłopców i widocznie zrozumiał, jakie uczucia nimi miotają, bo zawołał ze sztuczną wesołością:

— No, wiara, do roboty! Migiem!

Poszło rzeczywiście migiem. Żołnierze niemal na rękach przenieśli wóz, ustawili go na jezdni w szerszym miejscu.

Dwóch żołnierzy podeszło do kaprała i zaczęło z nim półgłosem rozmawiać. Kiwnął głową i wszyscy wskoczyli do ciężarówki. Motor zawarczał i ciężarówka ruszyła z miejsca, przejechała obok packarda.

— Tatusiu, do widzenia! — zawołał Skierka zaniepokojony, że ojciec się z nim nie pożegnał.

— Dziękuję wam, obywatele żołnierze! — krzyknął Piotrek.

W tej samej chwili ciężarówka zatrzymała się tuż przed packardem.

— Podajcie łańcuch, podciagniemy was! — zawołał żołnierze.

Piotrkowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko przyczepili łańcuch, chłopcy wskoczyli na ciężarówkę.

Skierkę zabrał ojciec do szoferki. Chochlika Piotrek przytrzymał za rękę.

— Siadaj ze mną do mojego wozu — powiedział z dumą — ani mi się śniło, że już dziś

będę w nim jechał.

W zaczerwienionych oczach Chochlika błysnęła radość.

— Jeszcze nigdy w życiu nie jeździłem samochodem — powiedział. — Zabierzesz mnie kiedy na spacer, jak go wyremontujesz?

— Zawsze cię będę zabierał — odpowiedział Piotrek.

Chochlik spojrzał podejrzliwie. Piotrek chce uspić jego czujność, a później odkuć się za wszystkie figle, jakie mu płatał.

— Ale weźmiesz i Skierkę, i Wojtka?

— Wezmę. Od czasu do czasu. A ciebie będę zabierał częściej. Wiesz, ja jestem sam na świecie. Nie mam nikogo. Ani brata, ani siostry. Sam jak palec. A tak bym chciał mieć brata... Takiego jak ty...

Chochlik w odpowiedzi przytulił policzek do rękawa wiatrówki Piotrka.

Do placu Zamkowego, dokąd ich przyciągnęła ciężarówka, nie odezwali się ani słowem.

Serdecznie podziękowali żołnierzom, a Nowacki obiecał Skierce, że postara się o parę dni urlopu i przyjdzie do Hadesu, jak tylko będzie mógł najszybciej.

— Weź mnie, tatusiu, z sobą — powiedział żałośnie Skierka. — Pojedziesz i znów cię stracę na dwa lata. Zabierz mnie z sobą.

Kapral spojrzał na syna: usta chłopaka drżały, zaciskał pięści i widać było, że resztkami sił walczy ze łzami. Kapralowi ścisnęło się serce.

— No, trzymaj się, stary — powiedział rubaszenie — przyjadę pojutrze, a może nawet jutro. Zobaczysz, niedługo zamieszkamy razem. Na zawsze. Ciężarówka nie przecisnie się między tymi ruinami Pivnej — powiedział zwracając się do chłopców — a nie mamy tyle czasu, aby wam pomóc. Nie możemy się spóźnić do jednostki.

— Damy radę — odpowiedział Piorun — to stąd niedaleko. Równa droga, pociągniemy bez trudu.

— Mnie się zdaje — odezwał się Sokrates, kiedy żołnierze odjechali — że trzeba go tu zostawić do jutra. Raniutko skoczmy i przyciągniemy go. A teraz przygotujemy dla niego miejsce na podwórzu.

— A jak go przez noc kto ukradnie? — zląkł się Piotrek.

— Zmierzcha się, a sam wiesz dobrze, że wieczorami ludzie tędy nie chodzą.

— Może go zająć jaki dziki lokator — zażartował Piorun.

— To dobra myśl — ucieszył się Piotrek — zjem kolację, wezmę koc i przenocuję w swoim wozie...

— Przyjdę z tobą — zaoferował się Chochlik.

— Ty śpij w domu — wtrącił się Wojtek — ja przyjdę z Hefajstosem.

Chłopcy skierowali się w ulicę Pivną. Wojtek zatrzymał się, aby pomóc Piotrkowi odczepić łańcuch.

— Gotowe — powiedział Piotrek — ale wiesz co, Wojtek? Idź teraz na kolację, a ja przyjdę później. Wolę, żeby ten mój wóz nie pozostawał długo bez opieki.

Koledzy zniknęli już za pierwszym zwaliskiem gruzów Pivnej. Wojtek przyspieszył kroku. Naprzeciw niego szło troje ludzi — dziewczyna w jasnej, kwiciastej sukience i dwóch mężczyzn. Wojtek rzucił na nich przelotnie okiem i zdrętwiał. Jednym z idących był Niwiński. Wojtek przystanął, zawahał się.

Niwiński spostrzegł go w tej samej chwili. Powiedział coś do dziewczyny i zaczął uciekać. Wojtek skoczył w jego stronę, ale dziewczyna w kwiciastej sukience przecięła mu drogę. Wojtek nie zdążył zatrzymać się i zderzył się z nią. Widocznie była na to przygotowana, bo nie straciła równowagi, tylko uderzyła Wojtka pięścią w głowę.

— Mało ci było, pętaku? — zapytał kolega Niwińskiego. — Chcesz zarobić repetę?

Mimo groźnych słów nie próbował wszczynać bójki. Na placu Zamkowym kręcili się

spóźnieni nieliczni przechodnie, a kamratowi Niwińskiego nie uśmiechała się widocznie zwała uliczna i zbiegowisko.

— Jeszcze my się spotkamy — odpowiedział Wojtek i odwrócił się. Pościg za Niwińskim nie miał sensu. Sam nie dałby mu rady, a koledzy zbyt daleko odeszli, aby usłyszeć, gdyby ich wołał na pomoc. Zmierzchało się zresztą coraz bardziej...

„Ciekawe, czy znalazł się tu przypadkowo, czy też ma gdzieś niedaleko melinę? I kto to jest ta dziewczyna i jego kumpel? Czy to przypadkiem nie któryś z tych, co wtedy urządzili na mnie napad? Bo skąd by wiedział o tamtej historii? Niwiński przecież zaledwie zdążył szepnąć dziewczynie, by przeszkodziła w pościgu. Dobrze wykombinował, wiedział, że dziewczynie nie oddam, jeśli mnie uderzy. Bali się awantury ulicznej, to pewne. Uciekasz przede mną, ale ja cię dosięgnę — powiedział Wojtek z zaciętością. — Tego, żeś Ninkę wciągnął do swoich brudnych spraw, nie daruję ci nigdy.”

Wspomnienie krzywdy zapiekło żywym ogniem. Wojtek wstrząsnął się jak w ataku febry.

XIII. Światło w ciemnościach

Wszyscy zaspali. Kiedy Wojtek obudził się, zobaczył, że przez okienko sływa do Hadesu smuga słonecznego blasku i widać skrawek jasnego błękitu. Pan Adam też jeszcze spał i posapywał głóśno, a najgłośniej chrapał Chochlik.

„Taki mały, a taki muzykant, no, no — pomyślał Wojtek mimo woli rozśmieszony. — Cóż to będzie za solista, kiedy dorośnie! Będzie chrapał jak dwa traktory na chodzie! Całą orkiestrę urządzi!”

Wojtek spojrział w jego stronę, ale Chochlik spał zwinięty w kłębek jak kot.

„Właściwie chrapie się, kiedy leży się na wznak, a nie tak na prawym boku. To dziwne — rozmyślał dalej Wojtek, obserwując małego. — Czas wszystkich budzić.”

Wojtek wsadził dwa palce w usta i zagwizdał przeciągle.

Pierwszy usiadł na łóżku Piorun i zapytał spokojnie, jakby od dawna czekał na ten sygnał.

— Pobudka?

Na innych łóżkach poruszali się zaspani chłopcy. Tylko Chochlik nadal chrapał.

Wojtek sięgnął ręką po spodnie leżące „w nogach” łóżka. Cóż to, przecież nigdy nie miał brązowych spodni! W tej samej chwili usłyszał gniewny okrzyk Pioruna:

— Niech to piorun trzaśnie!

Wszyscy zerwali się z łózek.

— Co? Co się stało?

— Spodnie!

— Spodnie?

— Nogi mi nie przełazą przez nogawki!

Skierka się roześmiał. Chłopcy sięgnęli po swoje ubrania. Niestety, nikt nie miał swego. Ktoś pozamieniał ubrania, a jakby tego figła było za mało, pozapinał rękawy, poszczepiał nogawki, powywracał na lewą stronę. Jedni się śmieli, drudzy złościли. Tylko Chochlik nadal chrapał.

Piotrek zrobił chytrą minę i zaczął skradać się do umywalki. Zaczepnął kubek wody i na palcach zbliżył się do łóżka Chochlika. Kiedy się znalazł o dwa kroki od niego, Chochlik wyskoczył z łóżka jak sprężyna, dał susa tak zrećnie, że potracił w łokieć Piotrka. Kubek

wypadł mu z rąk, a woda wylała się na wyglansowane juk lustro buty Hefajstosa.

Teraz wszyscy się zaśmiewali, Piotrek gonił Chochlika, chciał go złapać, ale to niełatwa sprawa. Bosymi nogami Chochlik skakał z łóżka na łóżko, nieuchwytny i zwinny jak wróblek.

— Chłopcy, dość harmideru, czas się ubierać — powiedział surowo Pluton — już późno, dochodzi szósta. A ty, skrzacie, dostaniesz lanie za to, żeś mi wywrócił marynarkę na lewą stronę i spał rękawy.

— Widziałeś, że ja?! — odkrzyknął oburzony Chochlik. — Masz dowód na to? Masz świadków? Mnie też ktoś zamienił ubranie. To są portki Sokratesa, a gdzie moje?

— Duchy hasają w naszym Hadesie — zażartował Sokrates. — Masz, Chochlik, swoje, dawaj moje.

— Pewno przeniosły się z Rycerskiej do nas, bo tam bez wesołego towarzystwa było im nudno — powiedział Wojtek.

— Co to za ulica Rycerska? — zapytał pan Adam.

— To była najwęższa ulica na Starówce — pospieszył z wyjaśnieniem Tomek — i jedna z najstarszych. Kiedy się stało pośrodku tej ulicy i rozkrzyżowało ręce, sięgało się od ściany jednego domu do drugiego.

— Daleko stąd?

— Niedaleko. Pięć minut przez gruzy.

— A dlaczego mówicie, że na tej ulicy są duchy?

— Skierka z Chochlikiem zbierali tam kiedyś drzewo na opał i uciekli wystraszeni, bo im się zdawało, że coś jęczy pod ziemią.

— I nie chodziliście sprawdzać?

— Jakoś zeszło, nie mieliśmy czasu.

— A może dziś po południu się wybierzemy?

— Chętnie — zgodził się Tomek — wezmę fotografię i plan Warszawy, to pokażę panu, jak tam było przed wojną. Tu było bardzo pięknie, proszę pana, nawet wycieczki zagraniczne przyjeżdżały oglądać naszą Starówkę. Szkoda, że pan tego nigdy nie widział... Ale to chyba niemożliwe, pan musiał widzieć, tylko pan nie pamięta...

— Nie wiem. Próbuję sobie coś przypomnieć, ale to tak, jakbym patrzył na czarną tablicę albo chciał czytać z książki zalanej atramentem... To straszna męka...

— Odpocznie pan u nas, nabierze sił, to i pamięć wróci...

— Właściwie powinienem się zabrać do pracy... Muszę zacząć zarabiać... Życ z czegoś trzeba. A ja was objadam...

— Po co pan o tym ciągle myśli. Przydziały kartkowe niewiele kosztują.

— Co ty zadręczasz pana swoim gadaniem — oburzył się Achilles, który pośpiesznie kończył ubieranie się — masz czas, mógłbyś zająć się śniadaniem.

— Twój dyżur czy mój?

— Tak, ale już późno. Rozpalać ogień, Tomek, ja naprawdę nie zdążę. Widziałem na Pradze u jednego fotografa śliczne zdjęcia ruin naszych zabytków. Mówię ci, wyglądają jak Akropol albo Koloseum... Kupię ci parę...

— Rozpalę — zgodził się natychmiast Tomek — ale do tego fotografa wybierzemy się we dwóch, dobrze?

— Dobrze.

Nowe zamieszanie wprowadził Apollo. Jak zwykle „pozapodziewały” mu się różne rzeczy i szukał ich bezskutecznie po wszystkich kątach, lamentując i przeszkadzając innym. Ulitował się nad nim Sokrates i gderząc pomagał mu w szukaniu szczotki do włosów i chlebaka z książkami.

— Ty, Apollo, z pewnością nigdy nie nauczysz się porządku i systematyczności. Przecie to nie szpilki, i żeby tak zatłuc w kąt! Ciągłe ci klaruję o naukowej organizacji pracy,

ale to trud Syzyfa!

— Wczorajem położyłem na łóżku Chochlika.

— Toś dobre schowanie obmyślił. Chochlik, nie znalazłeś na swoim łóżku torby Apolla?

— Moje łóżko nie jest biurem znalezionych rzeczy — odpowiedział Chochlik.

Sokrates był systematyczny. Zaglądał kolejno pod wszystkie łóżka, pod koce i poduszki. Uniósł wreszcie róg poduszki Apolla.

— Popatrz, a to co?

— Mój chlebak! I książki! I szczotka! Beret też! Scyzoryk! A ja myślałem, że go zgubiłem. Kark mnie dziś boli od spania, tak było twardo, a ja nie wiedziałem dlaczego.

— W swoim łóżku masz biuro znalezionych rzeczy!

— Ale ja tego nie chowałem, przysięgam na Olimp!

I Apollo szczęśliwy, że tak pomyślnie rozpoczął się jego dzień, zaczął podśpiewywać:

*Córuś moja, dziecię moje,
co u ciebie szepce?
Pani matko, dobrodziejko,
Pimpuś mleczko chłepce...*

Wojtek nie czekał na kawę. Wziął w kieszeń kawałek dynamitu, posmarowany smalcem. Postanowił, że w tramwajowym barze na Krakowskim Przedmieściu wypije szklankę gorącego mleka. Razem z nim wyszedł Tomek. Kolejno wszyscy opuszczali Hades. Skierka z Chochlikiem wyszli ostatni. Wreszcie pozostał tylko pan Adam. Kręcił się czas jakiś po izbie, zamiótł, starł ze stołu, umył kubki. Potem usiadł nad fotografiami Tomka, przeglądał je uważnie, marszcząc brwi. Kąciki ust wygięły mu się boleśnie ku dołowi, jak u dziecka, które chce płakać, przecierał palcami suche, palące ogniem powieki, szeptał jakieś słowa bez związku. Ale pamięć milczała. Nieprzenikniona zasłona zakryła wszystko, co było przeszłością.

— Nie dam rady, nie dam...

Zniechęcony złożył fotografię, wyszedł na słońce. Obejrzał oczyszczonego z kurzu i błota packarda, stojącego w podwórzu naprzeciw okienka Hadesu, przyniósł deseczkę, która służyła im za ławkę, ułożył ją na kilku ceglach, usiadł, oparł się plecami o tylną ścianę karoserii wozu. Patrzył na ruiny rozpościerające się wokoło i z bólem myślał, że jego los podobny jest do tych ruin, którym nic nigdy nie zdoła przywrócić życia. Było dość ciepło, dookolny spokój przerywało tylko ćwierkanie wróbli i dalekie gruchanie gołębi. Oczy mu się kleiły, cisza działała kojąco. Ziewnął parę razy i usnął.

— Proszę pana, proszę pana, niedobrze tak długo spać na słońcu... Jeszcze panu zaszkodzi...

Pan Adam podniósł głowę, spojrzął podpuchniętymi nieprzytomnymi oczyma.

— Już ze szkoły?

— Tak. Pójdziemy oglądać ruiny?

— Dobrze. Która godzina?

— Pewnie będzie po trzeciej.

— To tak długo spałem?

— I nie jadł pan nic od rana — powiedział z wymówką Tomek.

— Nie chciało mi się jeść.

— Ale jeść trzeba, aby żyć — stwierdził filozoficznie Tomek — chodźmy do Hadesu. Jest kawa, chleb, smalec, marmolada. Ja też coś przy okazji przegryzę, chociaż w szkole jadłem zupe.

— Mówisz, że trzeba jeść, aby żyć. Tylko pytanie, czy warto żyć. W obozie myślałem: trzeba żyć, trzeba przetrwać na przekór wszystkiemu, na przekór im... Myślało się: każdy

dzień przetrwany to dzień zwycięskiej potyczki z nimi... A teraz, gdy się nie ma nic i nikogo...

— Każdy z nas stracił coś lub kogoś. A niektórzy stracili wszystko. I gdyby każdy tak myślał jak pan...

— To prawda. Przepraszam cię, chłopcze. Słusznie mówisz. A Polskę trzeba odbudować.

— Nie tylko odbudować, ale i budować.

— Dużo się mogę nauczyć od was, młodych.

— Pan też przecie niestary — odpowiedział niepewnie Tomek.

— Nie wiem, czy jestem stary, czy młody. Ale siwe włosy mam.

— W czasie powstania to i dwudziestolatki siwieli.

Pan Adam westchnął i nic nie odpowiedział.

Pili zimną kawę lekko słodzoną, zagryzali dynamitem ze smalcem. Tomek miał wyrzuty sumienia z powodu tego smalcu, bo było go mało i Pluton zapowiedział, że ma pozostać tylko do kraszenia zup. Ale przecie była cicha umowa, aby „starszego pana” namawiać do jedzenia pożywniejszych pokarmów, jakie zawierała ich spiżarnia. Chyba ten smalec pożywniejszy niż marmolada. Smarował więc Tomek chleb, jak umiał najcieniej, i oczyma wyobraźni widział, jak ubywa tłustych oczek na wieczornym krupniku.

Potem znów zabrali się do oglądania fotografii. Tomek niezmiernie tłumaczył.

— Takie mi się to wszystko po twoich wyjaśnieniach wydaje bliskie — powiedział pan Adam — i... takie drogie. Tak jakby mi się kiedyś już śniło. I te urocze kamieniczki, i te kościoły, i widok Wisły spod filarów mostu Poniatowskiego... Jakiś dawny, daleki i bardzo drogi sen...

Tomek spojrział na niego, chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Pan Adam odłożył fotografie i wstał.

— Chodźmy. Pokażesz mi teraz, gdzie to wszystko było. Dasz radę?

— Ba! — odpowiedział z pewnością siebie Tomek.

Akurat nadeszli Skierka z Chochlikiem, więc też we czwórkę wyruszyli na gruzy.

— Najpierw pójdziemy na Rynek — powiedział Tomek — pokażę panu, gdzie były te malowane kamieniczki. Zobaczy pan stronę Dekerta... Wie pan, tego, co to był prezydentem Warszawy w czasie Sejmu Czteroletniego... On mieszkał na Starówce, więc na jego cześć nazwano tak jedną stronę Rynku...

— Dawniej tę stronę nazywano Miejską, zapewne była uważana za najważniejszą... Przy niej stały symbole średniowiecznej sprawiedliwości: kuna i pręgierz — powiedział nieoczekiwanie pan Adam.

Tomek tak się zdumiał, że aż usta otworzył i zatrzymał się, patrząc przenikliwie na pana Adama. Na szczęście on tego nie zauważył, więc Tomek położył palec na ustach, dając tym znać chłopcom, aby o nic nie pytali. Był przekonany, że oto budzi się z letargu uspiona pamięć pana Adama, więc nie należy jej płoszyć.

Na Rynku kręciło się jeszcze kilka drużyn ochotniczych. Byli to przeważnie urzędnicy z biur, którzy wolne popołudnia poświęcali na odgruzowanie.

— A tu był dom „Pod Murzynem!” — wskazał ręką Tomek.

Tym razem pan Adam nie odezwał się, więc Tomek wyjaśniał dalej:

— Znajdowała się tu rzeźba Murzyna, jako znak, że kupiec, który był właścicielem domu, handlował towarami zamorskimi. Myślę, że jeszcze obejrzymy stronę Kołłątaja, bo tam można nawet z ulicy zajrzeć do piwnic... to są gotyckie piwnice z ostrołukami... Podejdziemy bliżej, prawda?

Pan Adam kiwnął głową. Znowu zamilkł, co zaniepokoiło Tomka. Niestety, nie mogli podejść, bo robotnicy wyburzali chwiejący się mur, ciągnąc go długimi hakami na stalowych linach. Stanęli z daleka, przyglądając się ich pracy.

— Chodźmy, bo jak ten mur runie, to zasypie nas wapnem i pyłem — powiedział pan

Adam.

— Proszę pana, ja bym chciał panu pokazać jeden dom na Wąskim Dunaju — powiedział Skierka.

— Tam nie było żadnego sławnego domu — wtrącił Piotrek.

— Ale pod numerem piątym mieszkał jeden taki stary, bardzo stary pan... nauczyciel muzyki. On tak pięknie grał... Latem, jak otworzył okno, to pełno ludzi stawało na podwórzu i wszyscy słuchali — a on grał... a kiedy skończył grać, to stawał w oknie i sypał okruchy dla gołębi, a myśmy na dole klaskali w ręce... a on wtedy wychylał się i wołał: „Dzieci, nie straszcie gołębi...” Ale to tylko tak, dla żartu, bo gołębie wcale się nie bały... siadały mu na ramionach, na głowie i gruchały, tak jakby i one dziękowały mu za tę muzykę..

— A gdzie jest teraz ten stary pan? — zapytał pan Adam.

— Nie wiem. Widziałem go ostatni raz w piwnicy na Szerokim Dunaju, jego dom był cały zburzony. Wtedy Niemcy tak strasznie walili z „szaf”, aż się mury trzęsły... Tak chyba wygląda trzęsienie ziemi: wszystko dookoła się chwieje, rozsypuje, a ziemia pod nogami drży... Ja niosłem meldunek na ulicę Freta i musiałem zatrzymać się w tej piwnicy... A wówczas ten stary pan powiedział, pamiętam jak dziś: „Ucałuję święty bruk Warszawy, a ruszyć się stąd nie dam, niech mnie kolbami zatłuką, bo dla mnie nie ma życia poza Warszawą...” Wszyscy mówili wtedy, że Niemcy będą nas wysiedlać... dlatego on tak powiedział... Kiedy tu wróciłem, pytałem wszystkich, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało. Szukałem jego grobu, ale też nie znalazłem...

— Kiedy leżałem w szpitalu — zaczął pan Adam, a chłopcy nadstawili uszu, ciekawi, co on powie — dawano nam do czytania polską gazetę. Nie pamiętam, jak się nazywała. Nie pamiętam, o czym w niej pisano. Z tej gazety utkwił mi w pamięci kawałek jednego wiersza... Bo siostry kazały mi się uczyć na pamięć wierszy i piosenek, myślały, że to mi pomoże. A jak nauczyłem się jednego dnia, to następnego nie pamiętałem ani słowa... Tylko ten jeden wiersz... Po prostu przyrósł do mnie... Wydawało mi się, że on starczy dla mnie za paszport, za mój życiorys nawet... Tak jakby o mnie i dla mnie został napisany. I wdzięczny jestem poecie, który to napisał...

— Proszę pana, niech pan powie ten wiersz — zaczął prosić Tomek.

— Dobrze — pan Adam przystanął. — Trudno mi mówić idąc, więc odpoczniemy chwilę.

Zmarszczył brwi, zapatrzył się przed siebie. A właściwie chłopcom wydało się, że patrzy w przeszłość, w ciemną głębię, skąd chwilami błyskał wąty płomyk światła.

*Ja, syn wygnany tego miasta,
z daleka wracam drogą trudną,
a w oczach łuna już dogasła,
a serce w piersi skrzepło grudą.*

*Spalony dom mój, skwer i jodła,
rozdarty buntem tli się kamień,
tęsknota, co mnie tu przywiodła,
strzaskana leży pod gruzami.*

— Jakie to piękne — powiedział Tomek, kiedy pan Adam umilkł i zmęczonym ruchem tarł czoło — piękne, ale chciałbym znać całość.

— Niestety, tylko tyle pozostało mi w głowie, szkoda, że nie pamiętam autora.

— Zapiszę sobie to, co pan pamięta, i zapytam naszą panią od polskiego. Ona na pewno będzie wiedziała.

— Dziękuję ci, Tomku. Każde słowo, które pozwoli mi coś przypomnieć, będzie jak

błysk światła w ciemności. Chwilami zdaje mi się, że rozdziera się, pęka powoli ta czarna płachta, która mi zakrywa przeszłość. Cieszę się i cofam z lękiem. Może to tylko złudzenie? Może ja sobie przypominam cudze sprawy, cudze wypadki, cudze myśli? Może nic z tego, co mi się majaczy, nie jest moje?

— Niech pan tak nie myśli — zaczął go przekonywać Tomek — przecie człowiek nawet nieprzytomny, w gorączce, myśli o sprawach mu najbliższych. Sam się napatrzyłem i nasłuchałem w szpitalu polowym w czasie powstania. Ranni zawsze wołali swych najbliższych, mówili o swoim domu, o swojej pracy, o służbie wojskowej. Zawsze wiedziałem, kto będzie płakał po umierającym żołnierzu: matka, ojciec, siostry czy narzeczona.

— Nie mów o takich smutnych sprawach, ja nie chcę — zawołał Chochlik — ja nie chcę!

— Słusznie, Chochliku — powiedział pan Adam — nie wracajcie w przeszłość, tylko patrzcie w przyszłość. Dostyc gorzkie mieliście dzieciństwo, młodość powinniście mieć pogodniejszą.

— Dlatego ja często robię psoty, aby wszystkim było weselej żyć, choć sam w środku smutny jestem. Ale smutkiem żyć się nie opłaci — usprawiedliwiał się Chochlik.

Pan Adam spojrzał na niego i uśmiechnął się. Chłopcy zauważyli, że zrobił to po raz pierwszy i że twarz mu bardzo odmłodziła w uśmiechu.

— Tak, Chochlik, nie noś smutku w sercu, zobaczysz, wszystko ułoży się lepiej. Każdemu życie przyniesie miłe niespodzianki, kto wie, może nawet niedługo. Po latach złych zawsze przychodzą lata lepsze.

— Jesteśmy na Rycerskiej — oznajmił Tomek — tu się zaczynała.

— A gdzie straszy?

— Trochę dalej, gdzie tak mocno spiętrzone gruzy. Trudne dojście. Może lepiej niech pan tam nie chodzi? Zmęczy się pan.

— Pójdę, tylko wybierajcie mniej karkołomną drogę.

— Ja będę prowadził, bo ja doskonale pamiętam, w którym to miejscu! — zawołał Skierka.

Tomek znalazł jakiś pręt i podał panu Adamowi.

— Będzie panu wygodniej iść.

— Kamienne gołoborze — powiedział pan Adam — aż uwierzyć trudno, że tu kiedyś żyli i mieszkali ludzie.

Szli pewien czas w milczeniu. Pan Adam przystawał co chwila dla nabrania tchu. W jednym miejscu zatrzymał się dłużej.

— Słabo panu? — zaniepokoił się Tomek.

— Nie, tylko ten mur... taki dziwny tutaj...

— Dlaczego dziwny? Taki sam jak gdzie indziej...

— Nie... nie... chłopcy... zaczekajcie...

Oczy mu rozbłysły, na blade policzki wystąpiły nikłe rumieńce. Drżącymi rękoma dotykał muru, gładził jego szorstką powierzchnię, coś mrucał do siebie. Zaniepokoiło ich to.

— Co mu się stało? — Skierka pociągnął za rękaw Tomka i przykładając usta do jego ucha, wyszeptał: — Może zachorował?

— Pss, cicho — uspokoił Skierkę Tomek — on pewno wraca do swojej przeszłości.

— Może mu pomóc? Zapytać, co mu się przypomniało?

— Nie. Czekajmy, Nie trzeba się odzywać. Bo on może się zdenerwować i znowu wszystko się popsuje.

— Eee... skąd ty to możesz wiedzieć.

— Wiem, bo to pewnie jak u mnie. Jak czasem odpowiadam w szkole i namyślam się, bo czegoś nie mogę sobie przypomnieć, i ktoś stara się mi podpowiedzieć, to wtedy zupełna klapa. Zatnę się jak stary gramofon i nic...

— A ja to lubię, jak mi podpowiadają, bo zaraz sobie przypomnę resztę.

— Różni ludzie bywają na świecie — odpowiedział sentencjonalnie Tomek.

Pan Adam jakby zapomniał o ich istnieniu. Chodził wokół kawałeczka muru, zadzierał głowę, to znowu kucał i próbował zajrzeć do zawałonych gruzem piwnic. Żelaznym prętem, który mu miał służyć za laskę, ostukiwał przyległe mury, mierzył ich grubość.

— Co on wyprawia? — zdenerwował się Chochlik. — Niedługo zacznie się ściemniać i nie trafimy tam, gdzie straszy.

Słońce rzeczywiście schowało się poza mury, tylko purpurowe płachty nieba przeświecały przez puste oczodoły okien, jakby w wypalonych domach ktoś na nowo rozniecił pożar.

— Powiedz, Tomek, że idziemy.

— Nie wolno przerywać.

— To chodźmy sami. On tu pewnie jeszcze długo posiedzi i nie zauważy, żeśmy odeszli. Zdażymy wrócić.

— Nie — przeciął ostro Tomek — nie możemy go zostawić samego, jeśli z nim przyszliśmy.

Chochlik zachmurzył się.

— To ja wracam do Hadesu.

— Dobrze. Na strachy wybierzemy się jutro, dużo wcześniej. Może z nami pójdzie Wojtek i Piotrek?

— Ja zostanę z tobą, niech Chochlik wraca sam.

— Nie, Skierka, idź lepiej z Chochlikiem. Panu Adamowi potrzebny jest spokój, a my ciągle rozmawiamy i to go pewno denerwuje.

— Przecie nie zwraca na nas uwagi.

— To nic nie szkodzi, ale czuje naszą obecność.

Tomek nie umiał wyjaśnić, dlaczego panu Adamowi potrzebny jest spokój, ale wydawało mu się, że tak jest na pewno. Pogłaskał Skierkę po plecach.

— Idźcie, chłopcy. Niepotrzebnie się tu nudzicie. Macie jeszcze lekcje do odrobienia?

— Aha.

— No, to maszerujcie. Ja sam przyprowadzę pana Adama.

Dali się przekonać i odeszli. Pan Adam nie spostrzegł tego.

Tomek usiadł na gruzach i spokojnie czekał. Na twarzy pana Adama błąkał się jakiś daleki, ciepły uśmiech, który go odmładzał i czynił dziwnie pociągającym.

— Słuchaj — powiedział nieoczekiwanie głosem trochę ochrypłym — zdaje mi się, że dokonaliśmy pewnego odkrycia.

— Nie my, tylko pan — sprostował Tomek. — Jakie to odkrycie?

— Bez was nigdy bym tu nie trafił. Ten odsłonięty kawałek muru to resztką murów obronnych Warszawy. Pierwszych murów obronnych... możliwe, że z czternastego wieku...

— Fiu! — gwizdnął z przejęciem Tomek i zeskoczył do pana Adama. — Po czym pan to poznał?

— To jest tak zwany wendyjski układ cegieł. Przyjrzyj się spojeniom cegieł, teraz tak nie budują.

— I te cegły są większe i grubsze...

— Tak, dawne cegły były znacznie większe od obecnie produkowanych. Miały długość około trzydziestu centymetrów, szerokości piętnaście, grubości dziesięć.

Tomek zaryzykował pytanie:

— Skąd pan się tak zna na tych rzeczach, przecie na to trzeba dobrego specjalisty?

— Sam sobie zadaję to pytanie, ale na razie nie umiem na nie odpowiedzieć. To straszne.

— Niech się pan nie martwi. I reszta się panu przypomni.

— Tak myślisz? O, Tomku, jak ja wam jestem wdzięczny!

I nieoczekiwanie pan Adam objął Tomka i pocałował w czoło.

— Czym ja się wam odpłacę, drodzy chłopcy, czym się odpłacę?

Tomek chciał odpowiedzieć, że o długach wdzięczności nie ma mowy, ale żadne słowo nie chciało się precyzyjnie przez ściśnięte wrzuceniem gardła. Dlatego tylko ujął nieśmiało dłoń pana Adama i uściskał.

— Wydaje mi się — zaczął snuć marzenia pan Adam — że tu znajdziemy znacznie więcej niż ten fragmencik muru. Kto wie, czy kiedy się usunie te gruzowiska, nie odsłoni się przed nami duży ciąg murów, a może nawet cała wieża rycerska...

— Wieża rycerska! — podchwycił Tomek.

— Mury obronne wzmocniano wieżami i prostokątnymi basztami, występującymi poza linię murów na zewnątrz i rozstawionymi około pięćdziesięciu metrów jedna od drugiej — pan Adam przerwał nagle i rozejrzał się niespokojnie. — A gdzie się podziali chłopcy?

— Wrócili do Hadesu. Za długo im było czekać, poszli odrabiać lekcje.

— Przykro mi, że tak długo was zatrzymałem.

— Och, to głupstwo, proszę pana. Myślę, że jutro pójdziemy do lapidarium i powiemy moim znajomym inżynierom o pana odkryciu.

— Co za lapidarium?

— Takie tymczasowe muzeum pamiątek Starówki. Składa się w nim szczątki ozdób kamiennych i żelaznych, jakie się znajduje przy porządkowaniu Starówki. Są tam resztki nagrobka księżąt mazowieckich. A ja zaniósłem kafelek z siedemnastego wieku, parę kawałków dawnej kowalszczyzny... Znajdują się również czasem stare kołatki, klamki, okucia drzwiowe...

— Widzę, że znasz się na tych sprawach.

— Jeszcze niewiele. Ale ja kiedyś napiszę książkę o zabytkach Warszawy, zobaczy pan.

— Może mnie zaprosisz do spółki? Chyba ci się przydam — zażartował pan Adam.

— Jeśli tylko pan zechce — odpowiedział poważnie Tomek — to my się dogadamy. Ale wydaje mi się, że pan wie dużo więcej ode mnie.

— Może ja już żyję kilkaset lat, tylko o tym zapomniałem. Może od początku istnienia Warszawy?

— Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że pan mógłby być moim dziadkiem — powiedział Tomek — a dziś wydaje mi się, tylko moim starszym bratem.

— Jeśli mnie będziesz odmładzał w takim tempie, to jutro zechcesz mnie wsadzić do kołyski i uznać za młodszego brata.

Śmiejąc się i żartując weszli do Hadesu.

— Słuchajcie, słuchajcie — zawołał od progu Tomek — pan Adam odkrył mury starodawnej Warszawy!

Ale ta wiadomość nie wywołała takiego wrażenia, jakiego spodziewał się Tomek. Chłopcy mieli zatroskane miny i wejście pana Adama z Tomkiem przerwało, widać, jakąś żywą dyskusję.

— Co się stało? — zapytał Tomek.

— Znow się rozpoczęły napady na mieszkańców Starówki — wyjaśnił Piorun. — Wojtek opowiedział nam o spotkaniu z Niwińskim, zastanawiamy się, czy to przypadkiem on nie należy do bandy. W takim razie bylibyśmy zagrożeni.

— Trzeba zawiadomić milicję.

— A mnie się zdaje — wrócił do swego projektu Piorun — źle się stało, żeśmy nie zwołali zebrania mieszkańców. Niepotrzebnie cała sprawa odwlekła się o tydzień.

— No, to zrobmy zebranie jutro.

— Lepiej pojutrze, w sobotę. Trzeba zawiadomić wszystkich.

— Ja zawiadomię — zaofiarował się Skierka — wszyscy się przedtem zgadzaliście na to.

— I teraz się zgadzamy — zakończył rozmowę Pluton — zaraz wypiszę zaproszenia.

XIV. W niebezpieczeństwie

Niepokój Ninki wzrastał z dnia na dzień. Czekala na obiecaną wiadomość od pani Marii, że Wojtek jest znów w szkole, ale wiadomość nie nadchodziła. Nie miała odwagi iść po raz trzeci do szkoły, chodziła parę razy na przystań, ale Wojtka nie widziała wśród przevoźników. Niestety, pani Maria kartkę dla Ninki powierzyła jednemu chłopcu z pierwszej klasy, a on kartkę zgubił i wstydził się do tego przyznać. Więc mimo że Wojtek od dawna wrócił do szkoły, Ninka nie wiedziała o tym. Matka parę razy wspominała, że trzeba załagodzić krzywdę, którą wyrządziły Wojtkowi, przeprosić go i namówić, aby powrócił do domu. Ale jak go znaleźć? Ninka nieraz popłakiwała w poduszkę i długo w nocy nie mogła zasnąć, rozmyślając nad tymi trudnymi sprawami.

Kiedy jednego dnia przyszedł list z poczty polowej od wuja Macieja, że dostał urlop i przyjeżdża, Ninka zdecydowała, że dłużej czekać nie można. Po południu, zamiast na grę w siatkówkę do szkoły, wybrała się na Stare Miasto. Może spotka Wojtka przypadkowo, może ktoś jej powie, gdzie on mieszka. Wiedziała, że to w okolicy Rynku, że mieszka tam również Piorun, którego przecież знаła, a z opisów Ryśka pamiętała kilku chłopców. Jeśli zobaczy któregoś z nich, to po prostu zapyta o Wojtka.

Było ciepło i pogodnie. Przejrzyste chmurki przesłaniały od czasu do czasu słońce, że wyglądało jak złota piłka w muślinowej siatce, łagodne powiewy wietrzyka znad Wisły gładziły twarz. Ten daleki spacer nie wydawał się Nince ani przykry, ani uciążliwy. Widziała wokoło, jak wrze robota nad porządkowaniem i odbudowaniem stolicy, widziała liczne rusztowania przy naprawianych domach, domy już odrestaurowane, w których mieszkali ludzie. Ciekawe, czy prędko podniesie się z gruzów Starówka? Czy znów jak dawniej rozlegać się tu będzie wesoły śmiech dzieci, gruchanie tysięcy gołębi, czy będą przyjeżdżać wycieczki z całej Polski i z całego świata?

Przystawała co chwila, przyglądając się pracującym robotnikom, rozglądała się wokoło i starała przypomnieć, jak tu dawniej wyglądało. Ale nie udawało się jej to. Okrążyła już cały Rynek i weszła w boczną uliczkę, której nazwy nie mogła sobie przypomnieć. Potem skręciła jeszcze dwa razy. Wśród gruzów jednego podwórza zobaczyła jasną, niezwykłą plamę. Jakby ktoś urwał skrawek błękitu i rzucił na te pogruchotane, okopcone, leżące zwałami cegły. Zaciekawiona podeszła bliżej. Niezapominajki. Skąd one się wzięły na tym martwym gołoborzu? Schyliła się, aby zerwać kilka dla matki, i oczy jej natrafiły na tabliczkę tkwiącą wśród kwiatów. Przecie te niezapominajki rosną na grobie. Młodsza od niej dziewczynka zamordowana w powstaniu. Delikatnie pogładziła wątle łodyżki kwiatów, jakby gładziła główkę dziecka. Zamyśliła się, zapomniała, po co przyszła na Starówkę. Potem powrywała chwasty rosnące wokół samotnej mogiły, uprzątnęła gruzy i śmieci. Pomyślała, że może tej małej Hani nie będzie tak smutno, gdy przy niej trochę posiedzi. Wiedziała, że to naiwne i dziecinne, ale nie miała siły stąd odejść. Należałoby te kwiaty podlać, bo dzień był ciepły, piaszczysta ziemia wyschła zupełnie. Ale jak znaleźć wodę? Rozejrzała się. To nie takie łatwe dla człowieka, który nie przebywa tu stale.

„Ktoś jednak troszczy się o te kwiaty, ktoś je podlewa codziennie, nie wytrzymałyby długo bez wody. Powiem Wojtkowi, jeśli go znajdę, przyjdziemy tu jeszcze dzisiaj.”

To jej przypomniało właściwy cel przyjscia na Starówkę. Nie może tu dłużej siedzieć, trzeba się pośpieszyć, bo słońce schyla się ku zachodowi, błękit nieba ciemnieje. Wyszła z

podwórza i zastanowiła się, gdzie iść. Ta rozciągająca się wokół kamienna pustynia wydała się jej nagle zupełnie nie znana.

„Straciłam orientację, jak w gęstym lesie — pomyślała zaniepokojona. — Chyba wrócić do Rynku? Ale w którą stronę? Warto kogoś zapytać”.

W pobliżu nie było nikogo. Poszła kilkadziesiąt kroków, jak jej się zdawało, w stronę Rynku, ale po chwili zorientowała się, że idzie w przeciwnym kierunku. Już miała zawrócić, gdy uwagę jej przykuł idący szybko chłopiec. Głowa chłopca pobłyskiwała złotem w słońcu, faliste włosy rozwiewał mu wiatr. Mały piesek ze śmiesznie zadartym ogonem biegł obok swego pana. To na pewno jeden z nielicznych mieszkańców Starówki. Przyspieszyła kroku, aby go dogonić, i nagle ucieszyła się: to nie pies, to kot — a więc Pimpus Sadełko ze swoim panem. Kot, który się wslawił obroną Hadesu przed szczurami i talentem wyjadania słoniny swoich gospodarzy. Nie mogła sobie przypomnieć imienia chłopca ani nazwiska, ale nie przejmowała się tym.

„Zaraz go dogonię — pomyślała rozradowana — oby tylko nie stracić go z oczu... Krzyknę, kiedy będę bliżej, teraz i tak by nie dosłyszał.”

Skierka czasem ginął jej z oczu, czasem na szczycie jakiegoś wzgórzka pojawiała się rozwiana kita Pimpusia, czasem między wyrwami w murach mignęła głowa chłopca. Nie mogła biec tak szybko, jak pragnęła, bała się, że wystające zniemacka wśród gruzów druty czy pręty żelazne rozerwą jej sukienkę lub też że wpadnie w jakąś niespodziewaną dziurę.

Skierka wracał do Hadesu. Rozniósł zaproszenia na jutrzejsze zebranie, zostało mu jeszcze jedno i zastanawiał się, kogo przeoczył. Wszedł między gruzy dawnej ulicy Podwale. Zauważył idącego przed nim mężczyznę. Widocznie był to wracający z pracy robotnik. Dla kogo, u licha, to zaproszenie? Chyba Pluton omylił się i napisał więcej, niż było potrzebne. Mężczyzna idący przed nim skręcił w wypaloną bramę. Skierka zaciekawiony przyspieszył kroku. Mężczyzna minął bramę, wszedł na podwórze. Czyżby to nowy mieszkaniec Starówki? Może dla niego było przeznaczone to ostatnie zaproszenie na zebranie? Pluton po prostu zapomniał powiedzieć, że przybył ktoś nowy. Przecież tu stale chodzili ludzie i szukali jakiegoś kąta zatnego do zamieszkania, choćby to nawet była tylko ocalała piwnica.

Podwórze zamykało zwalisko gruzów, wydawało się, że dalej nie ma przejścia. Ale mężczyzna podszedł właśnie do tego zwaliska i zniknął. Skierka zawołał, nie usłyszał odpowiedzi. Nie zrażony tym podbiegł do gruzów. Zobaczył dalsze przejście, wąską gardziel jak ciasny wąwóz w górach. Widocznie stały tu dawniej dwie oficyny i kiedy je bomba zawałiła, utworzyły ciasny, pozbawiony światła tunel. Ponuro tu i dziko. Skierka zawahał się, ale usłyszał skrzyp butów idącego przed nim.

„W gorszych sytuacjach bywało się w czasie powstania — pomyślał Skierka. — Co prawda, teraz nie chciałbym tak mieszkać jak w grobie.”

Pimpusowi też się nie podobało. Miauknął z naganą, że jego pan wybiera sobie tak niewygodne spacerki, wdrapał się na zbocze i spoglądał z góry, jak Skierka mozolił się w niewygodnym przejściu.

Ninka straciła chłopca z oczu, ale Pimpus był teraz dla niej przewodnikiem. Wstrząsnęła się, kiedy weszła w mroczną i chłodną gardziel wąwozu. „Nieciekawe mieszkanie wybrali sobie ci chłopcy — pomyślała. — I nawet nie uporządkowali przejścia.” Wyglądało to tak, jakby nic tu się nie działo od czasu, gdy kres życia położyła hitlerowska bomba. Nad głową zwisały resztki sklepienia, grożące zawaleniem. Zasłoniły niebo, w „wąwozie” panował półmrok. Z góry sypnęło się trochę zwietrzałej zaprawy murarskiej. To Pimpus sunął za swoim panem. Krzyknęła do niego:

— Pimpus, chodź tu, kiciu!

Głos wsiąkł między ściany, kot zniknął jej z oczu. Za zakrętem spostrzegła chłopca!

Zsuwał się po spadzistym w tym miejscu terenie do niewielkiego otworu, prawdopodobnie okienka jakiejś piwnicy. Zawołała, ale nie dosłyszał, szorując butami po gruzie. Coraz bardziej zdumiona podeszła bliżej, pochyliła się, zajrzała, ale nic nie zobaczyła. Usłyszała kroki niknące w głębi. Wystraszona, że oto straci za chwilę szansę znalezienia Wojtka, zsunęła się przez okienko. Nie było ani głęboko, ani tak ciasno, jak się jej wydawało z góry. Znalazła się w na wpół zawalonej gruzami piwnicy. Gdzieś głucho trzasnęły drzwi. Oczy przyzwyczyły się do półmroku. Na gruzach — zardzewiałe naczynia kuchenne, zbutwiałe papiery, odłamki stłuczonych butelek.

Coś miękko otarło się o jej nogi. Drgnęła z przestachu, ale zaraz się uspokoiła. Pogłaskała kota po grzbiecie.

— No, Pimpuś, prowadź.

Kot zamruczał zadowolony i pomknął korytarzem. Posunęła się parę metrów za nim, natrafiła niespodzianie na jakieś drzwi. Zapukała, wydało się jej, że ktoś krzyknął jakby ze strachu czy bólu. To pewno echo zniekształci tak głos. Poczekała chwilę, zapukała znowu. Teraz, usłyszała wyraźnie:

— Proszę.

Nacisnęła klamkę, weszła. Znalazła się w niewielkiej piwnicy o gotyckim sklepieniu. Pod ścianami leżały sienniki i materace. Na długim, wąskim stole — przewróconych parę pustych butelek, zmięte, przetłuszczone papiery, blaszane kubki. Dwie długie ławy stały wzdłuż dwóch stron stołu. W tym dziwnym legowisku nie było nikogo. A przecie tu powinien być ten złotowłosy chłopiec. Bardziej zdziwiona niż zaniepokojona postąpiła krok w przód i chciała krzyknąć: „halo”. Nie dokończyła jednak. Ciemna, wilgotna szmata spadła jej na głowę, ktoś kopnięciem podciął jej nogi, przewróciła się z jękiem. Usłyszała przeraźliwe miauknięcie Pimpusia. Potem poczuła, że ją gdzieś wloką, wiążą jej ręce do tyłu, wreszcie cisnęli ją na kamienną posadzkę. Stuk zatrzaskiwanych drzwi, zgrzyt klucza w zamku i cisza. Umilkły dosadne przekleństwa, oddaliły się kroki. Szmata na twarzy cuchnęła stęchlizną, przyprowadziła ją to o mdłości, ale nie mogła jej zdjąć. Z trudem usiadła, spróbowała zebrać myśli. Co to się stało i gdzie trafiła? Co tu robił ten złotowłosy chłopiec z Pimpusiem? Gdzie on zniknął? Co ją czeka? Zaczęła płakać. Coś się obok niej poruszyło. Zdrętwiała z przerażenia. Serce podeszło pod gardło, krew w skroniach załomotała, głuszac wszystko, jakby w pobliżu przejechał ciężki czołg. Kiedy trochę ochłonęła, usłyszała, że ktoś obok niej też z cicha popłakuje.

— Kto tu? — wyszeptała.

— Ja, Zenek.

— Zenek?

— Tak. Z Hadesu. Nazywają mnie Skierka.

Skierka, że też mogła zapomnieć tak urocze przezwisko.

— Tu mieszkacie?

— Nie, skąd. Kiedy wszedłem do tej nory, ktoś na mnie napadł, rzucił na ziemię, z bólu zemdlałem, bo uderzyłem się w kolano. A jak się ocknąłem, to usłyszałem, że ktoś płacze. I ciebie złapali? Kto ty jesteś?

— Jestem Ninka. Szukałam Wojtka Wielocha. Kiedyś od Ryśka dowiedziałam się o Hadesie. Mówił, że tam również mieszka Piorun. Opisał mi was wszystkich, jak wyglądacie. Nawet wiedziałam o Pimpusiu. Koniecznie chciałam odszukać Wojtka. Przyszłam na Starówkę, ale nikogo nie mogłam spotkać, kogo można byłoby zapytać. Wreszcie zobaczyłam ciebie. Biegłam za tobą ucieszona, wołałam, ale tyś nie słyszał. Po co tu szedłeś?

— Roznosiłem zaproszenia na jutrzejsze zebranie mieszkańców Starówki. Bo, widzisz, ostatnio było kilka napadów na Starówce... Nawet w biały dzień... Na mnie też napadli. Odebrali mi przydział mleka i margaryny... bardzo mi było żal... Wracalem do domu. Zostało mi jedno zaproszenie... nie mogłem zrozumieć, co się stało, bo tych zaproszeń było tylko kilka, a

ja wszystkich tu znam. Zobaczyłem, że jakiś mężczyzna skręcił w podwórze. Pomyślałem, że nowy mieszkaniec, o którym Pluton wiedział i dla niego napisał to zaproszenie, a mnie zapomniał powiedzieć. Poszedłem za nim i tak wpadłem. A gdzie Pimpus?

— Nie wiem. Jak mi zarzucili tę szmatę na głowę, usłyszałam miauknięcie Pimpusia. Ktoś go pewno kopnął albo uderzył. Czy jesteś związany?

— Nie.

— A widzisz mnie?

— Nie, bo tu bardzo ciemno.

— Mnie związali i głowę okręcili jakąś szmatą. Pomóż mi ją zdjąć. Duszę się w niej. I tak się brzydzę, bo ona cuchnie.

Skierka ostrożnie przesuwając się po podłodze, aby nie narobić hałasu, trafił do Ninki. Dość łatwo udało mu się zdjąć szmatę z głowy Ninki, gorzej poszło z rozplataniem sznura.

— Nie dam rady z tym sznurem. Gdyby był cieńszy, tobym go przegryzł. A te supły nie wiadomo jak związane i nie wiem, gdzie końce.

— Ramiona mi cierpną i to bardzo boli.

— Zaraz. Mam zapalki. Zapalę jedną i zobaczę, co i jak. A może podpalić ten sznur?

— To nie takie łatwe. Zresztą będzie swąd od sznura i tamci tu wpadną.

— A błysku zapalki nie zobaczą?

— Chyba nie. Zamknęli za mną jakieś drzwi.

Suchy trzask zapalki wydał się Nince głośny jak kłaśnięcie z bicza. Z trwogą nasłuchiwała, czy to nie wywoła jakiegoś poruszenia za drzwiami. Ale tam na razie było spokojnie.

— Teraz wiem, aha... — sapał z przejęciem Skierka — zaraz cię uwolnię. — Pomagał sobie zębami i splotał z obrzydzenia, ale nie zaprzestał, aż wreszcie supły puściły.

— Jak ty myślisz, co to za ludzie nas uwięzili?

— Pojęcia nie mam.

— Przecie mogli przyjąć ode mnie to zaproszenie i puścić mnie wolno. Skąd ja bym się domyślił, co to za jedni?

— Widocznie bali się, że się domyślisz i dasz znać na milicję. A może któryś z nich znał ciebie? I może ty ich także znasz?

— Skąd? — oburzył się Skierka. — Ja tylko z porządnymi ludźmi mam do czynienia.

— Przecież mówisz, że na ciebie też był napad. Mógłbyś rozpoznać wśród nich tego bandytę.

— Niestety, nie. Twarzy jego nie widziałem. Oni chcą nas pewnie zamordować...

— Głupstwa wygadujesz — oburzyła się Ninka, choć wcale nie była pewna swego życia — potrzymają nas i puszcza.

Rozmawiali szeptem, przytuleni do siebie, bo tak im było cieplej i raźniej. Nagle uszeli podniesione głosy.

— Idą po nas — zatrwożył się Skierka.

— Nie, kłóć się. Trzeba podsłuchać, co oni mówią.

We drzwiach ukazała się wążutka, jasna smuga. Widocznie zapalili lampę i widać światło przez szparę. Ninka przysunęła się do drzwi, spróbowała spojrzeć. Lampa wisiała wysoko na ścianie. W cieniu przy stole majaczyły sylwetki kilku osób. Twarzy nie można było rozróżnić.

— Zawsze, jak mnie nie ma, wyczyniacie jakieś głupstwa. — To głos kobiety. Ninka zdumiała się.

— A ty zrobiłabyś inaczej?

— Wzięłabym zaproszenie od tego smarkacza, podziękowałabym i puściła do domu.

— A on wróciłby z milicją.

— Tchorz. Ciągłe trzęsiesz portkami przed milicją.

— Za to ty masz odwagę. Za nas wszystkich.

- Pewnie. Gdyby nie ja, dawno siedzielibyście za kratkami.
- Ciągłe się tym chwalisz. Obrzydło słuchać.
- To nie słuchaj.

Głos kłócacego się z kobietą wydał się Nince dziwnie znajomy. Niski, matowy głos. Kto tak mówił? Zaczęła sobie przypominać różnych znajomych, ale do nikogo nie pasował ten głos. A jednak zna ten niedbały, leniwy sposób mówienia.

- Nie kłóćcie się, szkoda czasu. Lepiej się zastanowić, co zrobimy z tym fantem.
- Z dwoma fantami — zaśmiał się ktoś urągliwie. I ten śmiech wydał się Nince znajomy. Rozgniewała się sama na siebie: „Ze zdenerwowania mam jakieś przywidzenia” — pomyślała.

— Jak oni tu trafili? — To znowu głos kobiety.
— Wracalem. Widocznie ten chłopak szedł za mną.
— Zawsze wam tłumaczę: nim się wejdzie do bazy, patrzeć, czy kto nie obserwuje. Ale wy wszystkie moje wskazówki macie gdzieś.

- We właściwym miejscu.
- Znow zaczynacie? Czasu szkoda.
- Czy dziewczyna przyszła z chłopakiem?
- Nie, szła za nim.
- A ona czego szukała? Pytaliście?
- Nie. Przesłuchanie zostawiliśmy do twego przyjścia.
- Ja znam tę dziewczynę. Ona chciała się zobaczyć z jednym chłopakiem mieszkającym w Hadesie. Szła za tym małym, bo myślała, że to właśnie ich melina.

Ninka przygryzła wargę. Więc słuch jej nie zawiodł. Wstrząsnęła się na swój domysł. Więc to ci dwaj? Rysiek i Niwiński?

— Trzeba jej było powiedzieć, że pomyliła się w adresie, i nie zatrzymywać. Po co nam ten kram?

- Całe nieszczęście, że ona mnie też zna. Zaraz domyśliłaby się wszystkiego.
- Nie mogłeś się schować?
- Schowałem się za drzwi. Ale idiotka zamiast się wycofać poszła w kierunku komórki. Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby mnie.
- A gdzie była reszta?
- W komórce. Zawlekli tam tego małego. A dziewczyna w tej samej chwili weszła.
- Jestem zmęczona — kobieta ziewnęła głośno — i jeść mi się chce. Macie coś?
- Jest.

Zaszeleściły papiery. Ktoś zdjął lampę ze ściany, postawił na stole. W jej świetle Ninka zobaczyła młodą dziewczynę w kwiciastej sukience, naprzeciw niej Niwińskiego i jeszcze jakieś dwie nieznane twarze. Ktoś siedział odwrócony plecami do drzwi komórki. Może Rysiek?

Z papierów odwinęli kielbasę i bułki, jeden z mężczyzn uderzył dłonią w spód butelki i wybił korek. Podał najpierw butelkę dziewczynie, ta pociągnęła parę łyków i podała siedzącemu obok.

- Milicja ma na oku Starówkę — powiedziała dziewczyna.
- Wszystko przez tych idiotów od Łosia. Łaszczyli się na parę puszek mleka czy ciuchy jakiejś biedaczki, jakby teraz lepszych okazji nie było.

— Trzeba będzie stąd pryskać — powiedziała znow dziewczyna, jakby nie dosłyszała, co mówił jej kumpel.

- Kiedy? — zapytał ten odwrócony plecami. Ninka rozpoznała głos Ryśka.
- Dziś w nocy.
- A co zrobimy z tamtymi?
- Pomyśli się. Teraz chcę spać. Rysiek, będziesz czuwał. Obudzisz nas o jedenastej.

Położyła się na jednym z sienników, któryś z mężczyzn okrył ją płaszczem. Reszta marudziła jeszcze jakiś czas przy butelce, wreszcie poukładali się do snu. Przy stole pozostał ten odwrócony plecami.

Przykręcił knot lampy, aby się paliła mniej jasno, wyciągnął papierosy i palił jeden po drugim. Później kiedy wszyscy zaczęli chrapać, wstał, przeciągnął się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

— Słyszałeś, Zenek? — Ninka przytknęła usta do ucha Skierki.

— Nie wszystko.

— Będą spali do jedenastej, a potem stąd odejdą.

— A co zrobią z nami?

— Ta dziewczyna powiedziała, że jeszcze się namyśli.

— Oni teraz śpią, może spróbujemy uciec?

— Ale jak? Drzwi są przecie zamknięte. Słyszałem zgrzyt klucza w zamku, jak mnie tu wrzucili.

— Może znajdziemy jaki wytrych?

— A umiesz otwierać wytrychem?

— Nie.

— Ja też nie. Trzeba czekać.

— Nie chcę czekać. Będę szukał drugiego wyjścia.

— Jeśli nawet jest, to również zamknięte.

— Dwie ściany zbadalem. Są murowane. Ale pod trzecią leży bardzo dużo gruzów. Trzeba będzie je dokładnie obejrzeć.

— Daj spokój. Jeszcze po ciemku zwalisz coś i narobi się huku. A oni się rozzłoszczą, żeśmy im przeszkadzili w odpoczynku. Jak zobaczą, że mnie uwolniłeś ze szmaty i sznurów, gotowi nas zamordować.

Skierka westchnął i usiadł na podłodze. Usiadła obok niego, ogarnęła go ramieniem. Pomyślała z żalem, że zawsze pragnęła mieć takiego małego braciszka, którym mogłaby się opiekować. Ale to największe marzenie nigdy się nie urzeczywistniło. Po paru minutach usłyszała, że Skierka posapuje przez sen. Poczula się tak zmęczona, że aż się jej zakręciło w głowie. Zapadła w krótką drzemkę.

XV. Niezwykły gość

Piotrek stukał przy swoim packardzie. Tak był zajęty, że nawet nie dosłyszał głośnego: „Dzień dobry, kolego!” Dopiero kiedy poczuł rękę na ramieniu, odwrócił się, aby zobaczyć, kto mu przeszkadza. Przed nim stał kapral Nowacki.

— Dzień dobry panu. Ucieszy się Skierka, że pan dziś przyszedł

— Nasz dowódca morowy chłop. Dał mi przepustkę na całą dobę, kiedy się dowiedział, że odnalazłem syna. Jak sobie radzisz z tą maszyną?

— Nie bardzo. Jestem załamany.

Kaprala Nowackiego rozśmieszyło tragiczne wyznanie Piotrka, ale skrył uśmiech i zapytał poważnie:

— O co chodzi?

— Okazało się, że brakuje tu różnych części. Nie mam gdzie ich kupić. W prywatnych zakładach za każdy drobiazg skórę by zdarli z człowieka... I tak pewnie zostanie ten packard letnim mieszkaniem dla mnie i dla Chochlika.

— Sypiacie w wozie?
— Tak. Bezpieczniej dla wozu, a dla nas wygodniej. Na świeżym powietrzu.
— To dobrze — uśmiechnął się znów kapral — będę miał zapewnione noclegi. Dziś chcę przenocować u was. Dowódca obiecał dać mi od przyszłego tygodnia dziesięć dni urlopu, chcę go spędzić u was.
— U nas zawsze gościnne łóżko się znajdzie — zapewnił Piotrek.
— Przyniosłem ci prezent — kapral Nowacki wyciągnął rękę z niedużym zawiniątkiem — pewno ci się przyda.
Piotrek odwinął papier i aż poczerwieniał z wrażenia.
— Emalia! I w dodatku pomarańczowa!
— Przewracała się u nas w magazynie, całkiem niepotrzebna. Poprosiłem porucznika, żeby mi pozwolił zabrać dla szkoły mechanicznej. Powiedziałem o tym samochodzie.
— To właściwie dla mnie prywatnie — stropił się Piotrek.
— Jak go zwał, tak go zwał — odpowiedział kapral — a w narodzie szoferskim tak bywa, że jeden drugiemu musi pomóc, choćby spod serca wyciągnie, a da, co potrzeba. Pomogę ci, bo ja też bardzo lubię dłubać w takich zdezelowanych pudłach. A może jakieś części znajdują się w naszych magazynach, to je wycyganimy.
— Jaki pan dobry.
— Może ci to załamanie przejdzie?
— Już przeszło — oświadczył gorliwie Piotrek. — Bo nasi chłopcy tylko ze mnie kpili, a mnie to całkiem duchowo wykończyło.
Piotrek starał się mówić wytwornie, co też należycie ocenił kapral.
— Wyrażasz się, bracie, jak przystało na poetę, a nie na szofera mechanika, Zenek w Hadesie?
— Poszedł roznieść zaproszenia na jutrzejsze zebranie. Organizujemy naradę w sprawie bezpieczeństwa na Starówce. Bo wie pan, u nas było parę napadów na spokojnych ludzi i chcemy to ukrócić. Skierce odebrali przydziałowe mleko i margarynę, co nas bardzo rozgniewało. Bo my wszyscy bardzo lubimy Skierkę, to złoty chłopak. Chyba już wrócił. Ucieszy się, jak pana zobaczy.
— Złóż manatki i daj dziś spokój dłubaniu, bo późno. Jutro od rana zabierzemy się obydwaj. Do jednostki wracam dopiero przed wieczorem.
— Dziękuję. Och, jak to dobrze.
W Hadesie, jak zwykle wieczorem, było pełno. Chłopcy kończyli odrabianie lekcji, niektórzy porządkowali torby i książki na następny dzień. Powitali radośnie ojca Skierki.
— A gdzie mój Zenek?
— Jeszcze nie wrócił. Może go ktoś zatrzymał na kolacji — powiedział Pluton.
— Skoczę do państwa Malinowskich — zaofiarował się Apollo — to niedaleko, do wiem się, czy był u nich. A może jest tam dotąd, bo oni go bardzo lubią i często zapraszają.
Apollo wyszedł. Kapral zaczął wypytywać chłopców, jak im się żyje na Starówce, o udział w powstaniu. Potem przeszli na sprawy Starówki.
— Gdy was szukałem, obszedłem wokół ruiny, najbliższe ulice Rynku. I wiecie, dziwię się, że władze pozwalają tu ludziom chodzić, a nawet, jak słyszę, mieszkać. Przecież to bardzo niebezpieczne. Wiele ścian ledwo stoi i każdy silniejszy wiatr czy ulewa może je zwalić. O nieszczęście nietrudno.
— Przygotowuje się projekt zamknięcia Starówki dla ludzi postronnych — wyjaśnił Piorun — wiele chwiejących się ścian zostało rozwalonych, tak że główne ścieżki i drogi są bezpieczne. Największy kłopot ze stałymi mieszkańcami. Trzeba im dać zastępcze mieszkania.
— Kto tu się osiedlił?
— Dawni mieszkańcy Starówki, którzy wrócili z wygnania.

- To im się rzeczywiście mieszkania należą.
- A co będzie, jak Starówkę zamkną? — zapytał Chochlik.
- Będą ją odbudowywać.

Wrócił Apollo z niedobrą nowiną.

Skierka był u państwa Malinowskich ze dwie godziny temu. Poczęstowali go plackami z kartofli, ale zjadł tylko dwa i podziękował. Powiedział, że śpieszy się do Hadesu, bo ma jeszcze napisać wypracowanie z polskiego. Zostało mu jedno zaproszenie i martwił się, kogo przeoczył.

— Napisałem jedno więcej, na wszelki wypadek — wyjaśnił Pluton — zapomniałem mu powiedzieć.

Ogarnął ich niepokój. Nie mieli odwagi spojrzeć na kaprała Nowackiego.

— Dlaczego puściliście go samego? — zapytał kapral nagle schrypniętym głosem.

— Chciałem z nim iść, ale powiedział, że nie trzeba, wystarczy mu Pimpuś do towarzystwa — odezwał się cicho Chochlik.

— Kto to jest ten Pimpuś?

— Jego ulubiony kot. Znalazł go w gruzach.

— A Pimpuś wrócił?

— Nie. On nigdy nie wraca bez swego pana.

— Gdyby to był pies, toby przyszedł po pomoc, ale kot nie jest tak mądry. Co teraz robić?

— Musimy rozpocząć poszukiwania — powiedział Pluton, któremu, choć był przekonany, że Skierka gdzieś zabałamucił i lada chwila przybędzie, żal się zrobiło kaprała Nowackiego — przejdziemy te ulice, gdzie był Skierka, i popytamy ludzi. Zdążymy, zanim się ściemni, ale mnie się zdaje, że on pewno został u kogoś na partyjkę domina.

— Przecież spieszył się do domu — przypomniał kapral.

— Podzielimy się na trójki i każda pójdzie w inną stronę Starówki; która trójka znajdzie go najprędzej, da znać pozostałym.

— A on w tym czasie może wrócić do Hadesu i zleknie się, jak nikogo nie zastanie — powiedział Sokrates.

— Ktoś tu musi pozostać — zdecydował Pluton — może pan Adam?

— Dobrze — zgodził się pan Adam.

— Nie, mnie się wydaje, że powinien zostać ktoś, kto lepiej zna Starówkę, bo przecie będzie musiał nas zawiadomić — sprzeciwił się Piorun.

— Wojtek, zostań ty! — Pluton wiedział, że Wojtek nie odrobił jeszcze wszystkich lekcji, dlatego uznał, że właśnie on musi pozostać. — Spójrzcie na plan, gdzie która trójka powinna pójść.

Zdecydowali się szybko. Przyjęli zgodnie wniosek Chochlika, aby jedna grupa powędrowała na Rycerską. Kto wie, może Skierka sam wybrał się na sprawdzenie tajemnicy tamtych gruzów? Odwlekała się ta sprawa i odwlekała, wreszcie Skierka się zniecierpliwił.

— Moja wina, żeśmy nie byli na Rycerskiej — powiedział pan Adam — dlatego proszę was bardzo, weźcie mnie ze sobą. Może też się na co przydam?

— I ja na tę Rycerską pójdę — zdecydował kapral. — W duchy to nie wierzę, ale może tam właśnie osiedliła się ta banda, która tu ludziom zatruwa i tak bardzo ciężkie życie?

Wyszli z Hadesu. Zmierzch zasnuwał niewidzialną przedzą ruiny Starówki. Było głucho, pusto, cicho.

Wojtek stał chwilę i patrzył, jak wszyscy rozpraszają się w różnych kierunkach i nikną z oczu. Potem zawrócił do Hadesu. Trzeba jeszcze przepisać słówka łacińskie i poprawić zadanie z algebry. Przysunął sobie lampę, rozłożył zeszyt i książki, ale praca mu nie szła.

Co się stało z tym miłym Skierką? Musiało się coś stać, bo on nie miał zwyczaju wracać późno. Słusznie powiedział kapral Nowacki, że tu o wypadek nietrudno. Jeśli go nie znajdą,

trzeba będzie rano zawiadomić milicję. „Szkoda, że zgodziłem się zostać w Hadesie, takie bezczynne oczekiwanie to straszna rzecz” — myślał.

Zmuszał się do pracy, ale był roztargniony, robił błędy i ciągle przerywał. Odłożył pióro ze zniechęceniem i zamyślił się. Czas włókł się niesłychanie wolno.

Usłyszał ciche, skradające się kroki w korytarzyku. Ktoś szedł niepewnie, ostrożnie. Złodziej? Widział, że wszyscy wyszli, i chce wykorzystać okazję? Zatrzymał się przy drzwiach, widocznie podgląda przez dziurkę od klucza. Wojtek rozejrzał się za jakimś środkiem obronnym. Nie ma nic, chyba tylko ten tępy bagnet wiszący nad kozą. Wojtek wstał od stołu, aby pójść po tę śmieszłą broń. W tej chwili drzwi otworzyły się. Wojtek zdumiał się.

Zobaczył Ryśka. Chwilę stali w milczeniu. Mimo mdłego światła lampki Wojtek zauważył, że Rysiek zmizerniał, był zaniedbany, brudny. Jak automat przesunął się parę kroków naprzód, stanął naprzeciw Wojtka. Usta mu drżały, sine cienie pod oczyma podkreślały zaczerwienienie powiek.

— Słuchaj, Skierka jest w ich rękach — wyszeptał przerywanym głosem.

— W czyich?

— Niwińskiego... i reszty...

Wojtek wstrząsnął się, usłyszawszy zniechęcające nazwisko.

— A ty nie jesteś z ich bandy?

— Jestem... a właściwie... byłem... oni mogą zabić Skierkę. I... i tę dziewczynę...

— Jaką dziewczynę?

— Nie wiem — Rysiek bał się powiedzieć, że tą dziewczyną jest Ninka. Czego się bał, nie wiedział. Może zdawało mu się, że Wojtek rzuci się na niego, gdy usłyszy taką wiadomość? — Wróciłem dziś do meliny trochę później... i dowiedziałem się, że Skierka roznosił zaproszenia na zebranie... na jutro... przypadkowo trafił do naszej meliny... zamknęli go do komórki... A potem przysłała jakaś dziewczyna... Też ją tam wsadzili... Teraz chcą ich zlikwidować... boją się wyspy.

— Kłamstwo. Wszystko wyssałeś z palca, aby mnie wywabić do was i wykończyć...

— Wojtek, przysięgam. Gdyby oni wiedzieli, że ja tutaj... Położyli się spać. Mnie kazali czuwać... o jedenastej mam ich budzić... bo dziś opuszczamy naszą melinę.

— Nie wierzę ci. Już raz okłamałeś mnie podle.

— Bo on tak kazał. Ale wtedy to ja umyślnie tak długo wyplątywałem się z tych drutów... i nie rzuciłem w ciebie ani jednego kamienia.

— Wystarczyło i tamtych.

— Ja nie myślałem, że Niwiński aż tak... Mnie powiedział, że chce ci tylko przygrozić, abyś się go nie czepiał... a on...

W Wojtku zrodziły się nowe podejrzenia.

— Skąd wiedziałeś, że ja teraz sam jestem?

— Nie wiedziałem. Przyszedłem, aby was ostrzec. Zaczaiłem się za murem. Czekałem, że ktoś wyjdzie, wtedy powiedziałbym... ale nikt nie wychodził... bałem się, że za długo już czekam... odważyłem się przyjść i zajrzałem przez dziurkę od klucza... zobaczyłem, że jesteś sam... ze wszystkimi nie chciałem się spotkać, za nic...

— Dlaczego? Przecie nikt nie wie o twoim napadzie na mnie. Dziwili się wszyscy, żeś odszedł bez słowa... ale ja milczałem.

— Nie mówiłeś? — W głosie Ryśka zabrzmiała radość i wdzięczność.

— Tylko Piorunowi. A on powiedział, że chłopcom byłoby przykro, że mieszkali z bandziorem. Więc zachowaliśmy tajemnicę.

— Tak mnie nazwał? — Rysiek spuścił głowę i umilkł.

— Czy... — Wojtkowi z trudem przechodziły te słowa przez gardło — czy... Ninka brała w tym udział... czy wiedziała?...

— Skąd?! — wykrzyknął z oburzeniem Rysiek. — Niwiński nabrał ją tak samo jak i

mnie. Ona niczego się nie domyślała. Wierzyła w tę książkę.

Wojtek odetchnął głęboko, jakby nieznośny ciężar spadł mu z serca. Spojrzał przyjaźniej na Ryśka.

— Gdybym mógł uwierzyć, że nie kłamiesz...

— Wierz mi — Rysiek pięścią grzmotnął się w piersi, aż zadudniło — jak matkę kocham.

— Ładnie ty kochasz matkę, jeśli opuszczasz dom i włączysz się z bandą.

— Żebyś ty wiedział, jakie ja mam życie... Kiedy ojciec wraca zalany, to mnie tłucze... jest powód czy nie... Wytrzymać nie mogłem... Przeniosłem się tutaj... byłem szczęśliwy... chłopcy tacy fajni... Matkę odwiedzam... kiedy tylko mogę... ja dawno uciekłbym z Warszawy na Śląsk albo gdzie indziej... teraz wszędzie o pracę łatwo, ale matka płacze, kiedy o tym mówię... bo ona chce, żebym ja się uczył... a ja nie mam odwagi jej powiedzieć, że od dawna nie chodzę do szkoły...

— To źle. Powinieneś matce powiedzieć, że tu czeka cię tylko więzienie. Wyjeżdżaj jak najprędzej, urządz się, sprowadź do siebie matkę.

— Mam dwie młodsze siostry.

— Rzeczywiście, trudna sytuacja, ale na prowincji łatwiej o pracę, łatwiej o mieszkanie.

— Wiesz co, poproszę cię, abyś kiedy wybrał się ze mną do mojej matki. Może ty ją przekonasz. Ale chodź teraz ze mną tam... Ten biedny Skierka...

— Dlaczegoś go nie uwolnił, idąc tutaj?

— Klucz od komórki ma Niwiński, schował do kieszeni wiatrówki na piersi. Bałem się wyjąć, bo gdyby się obudził...

— Ilu ich jest?

— Trzech chłopaków i jedna dziewczyna, Stella.

— Chodzi w kwiaciastej sukience?

— Tak, skąd wiesz?

— Mniejsza o to. Ale sam z tobą nie pójdę. Wszyscy chłopcy poszli na poszukiwanie Skierki. Podejmiemy do grupy Pioruna i z nim do następnej. Musi nas pójść duża grupa. Tamci mają broń?

— Zabrałem rewolwer Stelli, siódmkę, i visa Władka. Schowałem w podwórzu. Może Niwiński ma coś, ale on się zawsze z tym kryje. Jak tam podejmiemy, to broń nam się przyda.

Wojtek rozejrzał się po Hadesie, wyciągnął z kąta swój kij zdobyty w walce z Niwińskim, zdjął ze ściany bagnet, wsadził za pasek. Rysiek w milczeniu przyglądał się tym przygotowaniom. Nagle zapytał:

— Słuchaj, czy mogę wziąć ten kawałek chleba?

— Weź. Po co ci to?

— Jeść mi się chce. Cały dzień nic nie jadłem, a wieczorem dali mi tylko kawałek bułki z plasterkiem kielbasy... i parę łyków wódki.

— Przykład taty nie idzie w las — mruknął Wojtek.

— Nie lubię wódki, bo mi szkodzi... Ale musiałem wypić, bo inaczej nie przyszedłbym tutaj.

Wyszli. Wieczór był jasny, widoczność dobra.

— Idziemy w okolice katedry, gdzie ze swoją grupą jest Piorun — zdecydował Wojtek.

— Jak każesz — pokornie zgodził się Rysiek. — Opowiem ci wszystko o Niwińskim, chcesz?

Wojtek niecierpliwie machnął ręką, więc Rysiek umilkł. Niedaleko odeszli, kiedy zatrzymał ich niespodzianie krótki, ostry rozkaz:

— Stać! Ręce do góry!

Nie była to banda Niwińskiego ani żadna inna. Wojtek rozpoznał szare mundury mili-

cyjne. Ucieszył się.

— Co wy tu robicie o tak spóźnionej porze?

— Idziemy po kolegę — odpowiedział szybko Rysiek zdenerwowanym głosem.

— A gdzie ten kolega jest?

— Nie... niedaleko.

— Zrewidujcie ich — rozkazał sierżant, który dowodził patrolem.

— Obywatelu sierżancie — rozpoczął Wojtek wyjaśnienia — naszego młodszego kolegę porwała banda, która tu grasuje od dłuższego czasu. Koledzy, z którymi mieszkam, poszli wszyscy na poszukiwania. A myśmy właśnie trafili na trop i chcemy ich teraz zawiadomić i razem z nimi iść odbić naszego młodszego kolegę.

Milicjant wyciągnął z kieszeni Ryśka kilka naboń.

— Od siódemki — stwierdził podając naboje sierżantowi.

— Ja... ja... nigdy nie miałem rewolweru...

— Kłamiesz.

— A ten znowu ma bagnet — milicjant wyciągnął broń zza paska Wojtka — i rzucił tę pałkę, kiedy wezwaliśmy ich do zatrzymania.

— Ach, wy, bandziory! — rozgniewał się sierżant. — Wyszliście na nocną robotę i myślicie, że nas okpicie takimi bajdami.

— Mówimy prawdę — zaprotestował Wojtek.

— Skierce grozi niebezpieczeństwo — jękając się zaczął przekonywać Rysiek. — Niech panowie nam wierzą... tu niedaleko... w ruinach katedry... to jest .niedaleko ruin... są nasi koledzy...

— Wierzmy, że są — mruknął sierżant — właśnie dziś wybraliśmy się, aby wyłapać ptaszków...

Pierwszy raz w życiu zdarzyło się Wojtkowi, że stracił głowę. Posądzenie o bandytyzm tak go wyprowadziło z równowagi, że nie wiedział, co mówić ani jak się bronić.

A wystraszony Rysiek swoim jękaniem i głupimi wyjaśnieniami pogarszał sprawę.

— Przejedźcie się na posterunek, tam wyśpiewacie wszystko — zarządził sierżant. — My tu nie mamy czasu, aby prowadzić badania. Załóż im obrączki.

Nim się chłopcy spostrzegli, poczuli na rękę zimny dotyk żelaza. Kajdanki. Wojtek zagryzł usta aż do krwi.

— Na posterunku to się wam zdejmie, teraz trzeba założyć dla bezpieczeństwa, abyście nie próbowali zwiewać.

Wojtek doszedł do wniosku, że opór i tłumaczenia nie zdadzą się na nic. Może na posterunku będzie ktoś, kto zechce ich wysłuchać i uwierzy? Co się stało z chłopcami, którzy poszli na poszukiwanie Skierki? Czyżby ich też aresztowano?

Niedaleko stała karetka milicyjna z przygaszonymi światłami. Jeden z milicjantów otworzył drzwiczki, kazał wsiąść Wojtkowi i Ryśkowi, co uczynili bardzo niezręcznie. Usiedli na podłodze wozu, trzasnęły znowu drzwiczki, otoczyła ich kompletna ciemność, motor zawarczał, wóz ruszył.

XVI. Tajemnica gruzów na ulicy Rycerskiej

— Tu się nasze drogi rozchodzą — powiedział Piorun, zatrzymując się u wylotu Rynku — idziemy tak, jak to ustaliliśmy. Nie zapomnijcie pytać ludzi, o której godzinie Skierka był u kogo.

— Trzeba pytać też przechodniów. Skierka maszerował z Pimpusiem, więc każdy na pewno zwrócił na niego uwagę — dodał Sokrates. — Przeszukamy również okoliczne ruiny.

— U państwa Malinowskich Skierka opowiadał o duchach na ulicy Rycerskiej i mówił, że tam się wybieramy w najbliższych dniach — przypomniał sobie Apollo — to bardzo prawdopodobne, że sam pobiegł.

— I duchy go uwięziły — ponuro zakończył Chochlik — takie duchy potrafią być złośliwe.

— Ani złych, ani dobrych duchów nie ma na świecie — powiedział kapral Nowacki po chwili, kiedy odeszli ze swoją grupą Piorun i Pluton — są tylko źli albo dobrzy ludzie. Nie mogę zrozumieć, w czym przeszkadzał nawet najbardziej złym ludziom mój mały Zenek? Sami mówicie, że go wszyscy znali i bardzo lubili.

— O, bardzo — przyświadczył z przekonaniem Chochlik.

Pan Adam i Tomek nie odpowiedzieli nic. Bo jakie słowa pociechy można znaleźć dla zrozpaczonego ojca Skierki? Aż żał patrzeć, jak się zmienił na twarzy w tak krótkim czasie.

Skręcili w ulicę Piekarską, skąd z trudem zaczęli się przedzierać w stronę Rycerskiej.

— Od Wąskiego Dunaju przejście jest łatwiejsze — powiedział Tomek — nie ma tyle poskręcane go żelastwa, o które łatwo zaczepić i rozerwać ubranie.

— Widać, że mało ludzi tędy chodzi — pan Adam przystanął dla odpoczynku, rozejrzał się. — a może czają się gdzieś miny?

— „Min niet” — przeczytał Tomek niezdarne napis na skrawku ocalałego muru. — Ciekawe, tu nie było wielkich domów, a gruzów tyle jak z sześciopiętrowych kamienic.

— Ciągłe myślę: „Ulica Rycerska... ulica Rycerska...” i nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego ta nazwa taka mi bliska — powiedział pan Adam, boleśnie marszcząc brwi.

— Mnie się zdaje, że dmuchnęło z tamtej strony na tę — Tomek chciał się pochwalić znajomością spraw wojennych — prawda, proszę pana? To „szafa” tak rąbnęła, że przewaliła od razu dwie kamienice na jedną kupę?

Kapral Nowacki nie odpowiedział. Śledził uważnie gruzy, schylił się, patrząc na ledwo dostrzegalną ścieżynkę wśród rumowiska. Może jeszcze wczesną wiosną ktoś próbował tędy chodzić, nie wygląda, by w ostatnich czasach stanęła tu ludzka stopa. Na drucie wystającym spomiędzy cegieł powiewają kłaczki jakiegoś futerka. Kapral Nowacki zdjął je ostrożnie.

— Jakiego koloru był Pimpuś?

— Czarny — pospieszył z odpowiedzią Chochlik — i ma biały krawat pod brodą. I białe łapki.

— Ta sierść jest czarna i bardzo miękka. Może z Pimpusia.

— Na pewno z niego — potwierdził po obejrzeniu Tomek.

— Mnie też się tak zdaje — dodał z przekonaniem Chochlik — ale to może od tego czasu, jak tu nas nastraszyło.

— Wiecie, poczekajcie tutaj, a dalej pójdę ja sam — powiedział kapral — teren wygląda bardzo niepewnie, byłby nowy kłopot, gdyby się który z was zwałił w jaką dziurę.

— A pan to się nie może zwalić? — zapytał Tomek.

— Brałem udział w zdobywaniu różnych miast. Szło się nieraz w pierwszej linii po ostrzelaniu artyleryjskim albo po nalotach, więc na różnego rodzaju niespodzianki człowiek jest przygotowany.

— Pójdziemy we dwóch, dobrze? — zaczął prosić Tomek. — A pan Adam z Chochlikiem poczekają, jako ubezpieczenie. W razie gdyby nam się co stało, zawiadomią chłopców.

— Chcę dojść do miejsca, gdzie sterczy w górę taka duża żelazna belka — powiedział kapral.

— Tam właśnie straszy — szepnął Chochlik.

Przeszli obok zwalonego dachu po krawędzi szczytowej ściany ku żelaznej belce sterczącej jak ramię powalonego olbrzyma wśród cmentarzyska.

— Popatrz, wszystko zawalone aż do piwnic — pokazał kapral ręką ślady działania bomby — a w tym miejscu ocalał strop następnej piwnicy, choć ściany rozniosło na wszystkie strony. Pod nim mogą być całe piwnice, tylko dojścia do nich nie widzę. Zsunę się niżej, zobaczę, czy gdzie nie ma zamaskowanego otworu. Zostań tutaj.

Tomek kręcił się chwilę bez celu, potem znalazł kawałek żelaznego pręta i stuknął nim w żelazną belkę. Zadzwoiła głucho, ciężko. I po chwili z przerażeniem Tomek usłyszał, że podobne echo odpowiedziało mu spod ziemi. Pomyślał, że to jest nieprawdopodobne, że się przesłyszał, więc stuknął jeszcze raz. I znów przyszła odpowiedź. Na jego jedno stuknięcie trzy odezwania. To nie echo. Tomek usiadł z wrażenia, a kropelki potu załśniły mu na skroniach. Nie duchy, więc co? W gardle mu wyschło, nie miał nawet siły, aby przywołać kaprala Nowackiego czy siedzącego trochę dalej pana Adama i Chochlika. Na szczęście wrócił kapral Nowacki.

— Nie ma nigdzie dojścia z zewnątrz do tych piwnic — powiedział otrzępując spodnie z wapna i piasku — zbadałem dokładnie wokoło. A tobie co się stało? Niedobrze ci?

Zamiast odpowiedzieć Tomek stuknął prętem w belkę. Natychmiast przyszła odpowiedź. Trzy stuknięcia. Kapral ukląkł i przyłożył ucho do sklepienia. Chwilę słuchał, potem podniósł się i powiedział zmienionym głosem:

— Tam ktoś jest. Słyszałem słowa: „Boże, ratuj!”

— Skierka?!

— Nie, to jakiś inny głos. Musimy odwalić te gruzu.

Rękoma i nogami zaczęli spychać na boki zwalę gruzu. Dogrzebali się do cementowego sklepienia. Tomek znów zastukał, obydwaj przyłożyli ucho i usłyszeli wyraźnie słowa:

— Ludzie, ratujcie!

— To głos kobiecy — powiedział kapral.

Pan Adam z Chochlikiem zauważyli ich dziwne zachowanie i zaczęli przedzierać się ku nim, wystraszeni i niespokojni.

— Wszędzie beton — powiedział kapral, kiedy usunęli jeszcze trochę gruzu — nie mamy rady bez oskardów.

— Zaraz! — krzyknął Tomek i zanim kapral zdążył zaprotestować, żelaznym prętem walnął z rozmachem w odsłonięty beton. Zatrzeszczało, zakłaskało i kawał sklepienia zerwał się, runął w dół, pociągając za sobą Tomka. Zdołał tylko krzyknąć: „Mamo!” i zniknął w czarnej głębi.

— Zabił się — jęknął Chochlik, który nadbiegł w momencie katastrofy.

Pan Adam na wpół omdlały usiadł ciężko, chwyciwszy się w rozpacz za głowę. Tylko kapral Nowacki nie stracił zimnej krwi. Ostrożnie podczołgał się nad wyrwę i spojrział. Zakrztusił się pyłem wapiennym, zakaszłał. Drobiniki pyłu dostały mu się pod powieki, poczuł palenie i łzawienie oczu. Przewyciężając przykre drapanie w gardle, zawołał w głąb zapadli-ska:

— Tomek!

Czekali w napięciu, wstrzymując oddech. Chochlik wpił paznokcie w uda, broniąc się przed płaczem, nie mógł tylko opanować drżenia twarzy. Zęby mu dzwoniły metalicznie.

— Tomek! — powtórzył kapral.

I kiedy stracili nadzieję, w dole coś zamigotało i dotarły do nich spokojne słowa Tomka:

— Żyję. Nic mi się nie stało. I pani też.

Kapral Nowacki przechylił się niebezpiecznie nad otworem.

— Nie jesteś ranny?

— Nie. Tu niewysoko. Panią uderzyło kilka odłamków. Dziecku też się nic nie stało.

— Tomek, co ty wygadujesz! Tam jest również dziecko?

— Tak. Podałbym je panu, ale nie sięgam. Może pan zrzuci parę cegieł?

— Dobrze, cofnijcie się.

Chochlik zbierał i podawał cegły, a kapral Nowacki zrzucał je ostrożnie. Po kilkunastu zrzutach zatrzymał się.

— Tomek, spróbuj, może wystarczy?

— Zobaczę. Czekać.

Wreszcie Tomek zakomenderował:

— Niech pan spuści swój pas kłamrą do dołu. Przywiążę tłumok z dzieckiem.

— Najpierw sprawdzę, czy się pode mną nie zarwie dalszy kawał sklepienia, kiedy będę ciągnął ciężar. Schowajcie się gdzieś dalej.

Kapral ostukał sklepienie około wyrwy. Oderwało się parę drobnych grudek. Reszta trzymała się jako tako. Można ciągnąć.

— Trzymajcie mnie za nogi — zwrócił się do pana Adama i Chochlika — kiedy będę ciągnął. Tomek, podaję pas.

Poszło łatwiej, niż się spodziewali. Na powierzchni ukazał się tłumoczek w szarym kocu. Kiedy ostrożnie rozwinęli koc, zobaczyli pomarszczoną, bledziutką jak opłatek twarzyczkę z przymkniętymi oczyma.

— Umarło? — przeraził się Chochlik.

— Światło — odpowiedział krótko kapral, wyjął z kieszeni chusteczkę i położył dziecku na oczy.

— Przecie się ściemnia — powiedział Chochlik i rozejrzał się. — Wszystko wokoło jest perłowobłękitnawe, ruiny też.

— Całe szczęście, że zmierzcha się, inaczej dziecko mogłoby stracić wzrok na zawsze. Zaopiekuj się pan dzieckiem, ja skoczę do piwnicy i pomogę wydostać się tej kobiecie.

Pan Adam z twarzą zmienioną, na której malowało się przerażenie, zdumienie i ból, wziął ostrożnie dziecko w ramiona i usiadł na głazie, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Wydało się, że świat cały przestał dla niego istnieć w tej chwili.

— Tomek, skacze! Odsuńcie się!

Kapral Nowacki przysunął się znowu do otworu. W jasnym kręgu światła zobaczył siedzącą na pościeli siwą kobietę i obok niej Tomka.

— Nie potrzeba! — odkrzyknął Tomek, ale wstał i zasłonił sobą siedzącą.

Kapral Nowacki skoczył i rozejrzał się ciekawie. Była to nieduża, słabo rozświetlona piwnica, wypchana pościelą i różnymi gratami. Duża wyrwa w ścianie wiodła do następnej piwnicy. Kobieta bezgłośnie płakała.

— Niech się pani uspokoi — powiedział serdecznie kapral — zaraz panią stąd wydostaniemy. Od jak dawna pani tu siedzi?

— Od pierwszego września czterdziestego czwartego roku.

— Od powstania.

— Tak. Właściwie od pierwszych dni powstania, bo kiedy się rozpoczęły bombardowania, tośmy prawie wszyscy z całego domu zgromadzili się i mieszkali w tych piwniczkach. Dlatego tak dużo tu różnych betów i gratów. Pierwszego września przyszedł rozkaz, że powstańcy i ludność cywilna mają się ewakuować kanałami do Śródmieścia. Wychodziliśmy więc z tych piwnic, kiedy mi się nagle przypomniało, że nie wzięłam węzełka, w którym miałam trochę cukru i pieluszki dla dziecka. Cofnęłam się, aby to zabrać, i w tym momencie huknęło. Ocknęłam się po jakimś czasie i zorientowałam się, że jestem zasypana, odcięta od świata... Możliwe, że tamci wszyscy zginęli. Miałam w kieszeni zapałki i kawałek świecy. Dziecko znalazłam pod drugą ścianą w poduszce... żyło.

Kobieta umilkła. Nie odzywali się, wstrząśnięci do głębi.

— Nie myślałam, że tak długo przyjdzie, mi tu cierpieć... — Kobieta wstrząsnęła się, chudymi palcami zawiązała ciaśniej chusteczkę zsuwającą się z głowy.

— A co pani jadła przez ten czas?

— W sąsiednim domu, przez ścianę z naszym, była karczma. Pomyślałam, że jeśli mi się uda przedostać do tamtych piwnic, to z pewnością znajdę jakieś zapasy. Trzy dni kułam tę ścianę, o tu... Nie jadłam przez ten czas, bo nic nie miałam dla siebie...

Pokazała dziurę, na którą już przedtem kapral Nowacki zwrócił uwagę.

— Całe szczęście, że miałam odrobinę cukru, dziecku dawałam z wodą. Wody tu było dużo, prawie dwie beczki, nie zdążyliśmy wypić przed ewakuacją. W podwórzu była studnia... Przebiłam tę ścianę i rzeczywiście znalazłam piwnicę pełną zapasów. Kilkadziesiąt litrów spirytusu. Kartofle, mąkę, cukier... tłuszcz... oraz trochę konserw. Wiedziałam, że z głodu nie umrę... Pierwsze dni czułam się nawet zadowolona. Miałam jeść do syta dla mnie i dla dziecka... ale potem...

— Nie próbowała się pani wydostać? Nikt tu nie chodził?

— Słyszałam najpierw głosy niemieckie, huki wybuchów, czułam ciągle swąd spaleni-
zny... Potem na długi, długi czas wszystko ucichło... Było strasznie zimno... wody miałam coraz mniej..., oszczędzałam więc tylko dla dziecka... A kiedy zaczęło cieknąć coraz silniej ze ścian, wiedziałam, że przyszła wiosna... i czekałam wybawienia.

— Nie próbowała pani sama się wydostać? — powtórzył pytanie kapral Nowacki.

— Kułam w różnych miejscach, ale przekonałam się, że to beznadziejne... Kiedyś usłyszałam głos jakiegoś dziecka, może chłopca, nie wiem, wołający: „Pimpus, chodź tu!” Zaczęłam krzyczeć i stukać, ale nikt mnie nie słyszał. I wtedy pomyślałam, że nie ma dla mnie ratunku...

— To było prawie tydzień temu — szepnął Tomek — przed wieczorem.

— Tydzień... a mnie się zdawało, że to tak dawno... Ile ja łez wylałam przez ten czas...

— A czy dziś nie słyszała pani jakiegoś wołania czy chodzenia tutaj? Ten sam głos nie wołał Pimpusia? — zapytał kapral Nowacki.

— Nie... Od tamtego czasu nie słyszałam nic... zupełnie nic.

— Słuchaj, Tomku, ułożymy mocniejszą podstawę, na której mógłbym stanąć i podsadzić panią do góry. Ty wyjdiesz i razem z Chochlikiem pomożecie pani wydostać się na powierzchnię. Podasz pani rękę, a Chochlik mój pas.

Wyrównali cegły, położyli na nich deskę, podstawili stół. Kapral wypróbował, czy to rusztowanie trzyma się dobrze.

— Co pani chce stąd zabrać?

— Chyba poduszkę... Może później ktoś przyjdzie ze mną i zabierzemy więcej. Jest jeszcze trochę konserw... sporo pościeli, tylko nie wiem, czy nie zbutwiała...

— Weźmiemy teraz trochę tych konserw, dobrze? — zapytał Tomek. — Tam pewno Skierka wrócił głodny... I chłopcy też...

Kapral spojrzał na niego z wdzięcznością. Może rzeczywiście Zenek czeka na nich?

Radość z odzyskania wolności dodała kobiecie sił. Szybko wydostała się na powierzchnię, nawet jej wiele nie pomagali. Potem kapral zgasił spirytusową lampę i wydostał się również. Kobieta siedziała na poduszce, Tomek ją podtrzymywał ramieniem.

— Przepraszam, zrobiło mi się słabo... zaraz mi przejdzie. Oddycham nareszcie nie piwnicą... nie mogę uwierzyć we własne szczęście... A gdzie moja Kasieńka?

— Niech pani będzie spokojna, opiekuje się nią pan Adam.

— Dobrze, pozwólcie, odpocznę jeszcze trochę.

Kapral Nowacki zastanawiał się, czy nie powinien odejść, bo może Zenek potrzebuje pomocy, a oni sobie dadzą jakoś radę, ale wahał się. Pomyślał, że gdyby ta kobieta osłabła w drodze, to mieliby kłopot nie lada, bo przecie Tomek niósłby dziecko, Chochlik za mały, a ten słabeusz, pan Adam, ledwo sam się trzyma na nogach. Więc chociaż zdawało mu się, że pod stopami ma rozżarzone węgle, milczał i czekał... „Zenek, Zenek, co się z tobą stać mogło? — wołał myślami do nieobecnego. — Może znalazłeś niewypał? I chciałeś go rozbroić? Brałeś przecie udział w powstaniu, to nie byłbyś taki niemądry... Wpadłeś może do takiej pułapki, z

jakiej wydostaliśmy tę kobietę? Napadli na ciebie bandyci? Czy po to spotkałem cię wczoraj, by dziś stracić?”

Na żadne z tych pytań nie znajdował odpowiedzi, czuł tylko, że coraz większy ból ścisną mu serce, i postanawiał w rozpaczy, że całą Starówkę przeszuka metr po metrze, a swego chłopca znaleźć musi.

Dziecko zakwiliło żałośnie jak raniony ptaszek. Kobieta zerwała się i podbiegła do niego. Pan Adam podniósł głowę i spojrział nieprzytomnie. Kobieta zamiast zająć się dzieckiem stała chwilę jak skamieniała, potem zachwiała się i uklękła.

— Karol, to ty? — zaszlochała.

— Baśka! O Boże, Baśka!

Kapral Nowacki chrząknął i odwrócił się, aby chłopcy nie zobaczyli, jak mu się zaszklily oczy, ale oni nie myśleli teraz o nim. Płakali obydwaj. Tomek cicho wycierał oczy kuliakiem, Chochlik chlapał, pociągając nosem. Kapral opanował się pierwszy. Wydało mu się, że bardzo się ochłodziło, i pomyślał, że pewno dlatego dziecko zapłakało.

— Proszę państwa, idziemy do mieszkania. Trzeba dziecku dać coś gorącego, choćby herbaty.

— Tak, tak, zaraz pójdziemy — przytaknęła pani Barbara — tylko nie wiem, co się stało z moimi oczyma... wszystko widzę szare... albo czarne...

Tomek zorientował się od razu.

— Przecie jest wieczór. My też widzimy cały świat szaro-ciemny.

— A ja się bałam, że straciłam wzrok. Tyle miesięcy przy lampce spirytusowej... Pamiętasz, Karolu, jak ty się złościłeś zawsze z powodu tej karczmy? Że nigdy nie mamy spokoju? I dzięki zapasom spirytusu, jakie przechowywał Antosiak, przetrwałam z Kasią tak długo pod ziemią. Miałam czym świecić i na czym gotować.

— To państwo tu mieszkali przed powstaniem? — zapytał Chochlik, który chciał zawsze wszystko wiedzieć dokładnie.

— Tak — potwierdziła pani Barbara — mąż poszedł do powstania, a ja zostałam z Kasieńką. Resztę wiecie.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak mnie ciągnęło w te strony — powiedział pan Karol. — Teraz wszystko rozumiem.

— A dlaczego pan zna tyle szczegółów z historii Starówki? — zapytał Tomek.

— To, widzisz, chłopcze, dlatego, że ja pisałem pracę doktorską o zabytkach sztuki na Starym Mieście. Teraz nie ja u ciebie, ale ty u mnie zostaniesz pomocnikiem, prawda?

— Och — stęknął z zachwytem Tomek.

Ostrożnie ruszyli w stronę Hadesu. Zatrzymywali się co kilkadziesiąt kroków, bo pani Barbara nie miała siły iść, chociaż z jednej strony podtrzymywał ją kapral, z drugiej mąż.

Na Rynku spotkali patrol milicyjny. Kapral Nowacki odwołał sierżanta na stronę i zaczął mu opowiadać zdarzenia tego wieczoru. Sierżant drapał się za uchem i ze zdumieniem spoglądał na panią Barbarę.

— Dzielna kobieta, nie ma co — powiedział z uznaniem — tyle miesięcy wytrzymać w takich strasznych warunkach... koń by nie wytrzymał... A co do tego zaginionego chłopca... to wasz synek? Aresztowałem tu dwóch takich, którzy opowiadali, że idą uwolnić zatrzymanego przez bandę chłopca... Myślałem właśnie, że to są bandziory i kłamia, aby się wymigać z naszych rąk.

— Gdzie są ci aresztowani? — kapral chwycił milicjanta za rękę. — Gdzie są?

— Odesłałem ich na posterunek, ale zaraz dam rozkaz, aby ich przywieźli z powrotem.

I sierżant, aby się usprawiedliwić z omyłki, dodał tonem wyjaśnienia:

— Jeden z tych zatrzymanych wyglądał nawet na porządnego chłopaka, ale drugi... typowy łajza... dałbym głowę za to, że on nie ma czystego sumienia. A teraz chodźmy do tego Hadesu, dowiemy się, czy wróciły tamte grupy poszukujących waszego synka.

XVII. W pułapce

Ninka drzemała niedługo. Obudził ją chłód i uczucie głodu. Poruszyła się. Skierka też już nie spał.

— Słuchaj, jak Wojtek trafił do was do Hadesu?

— On wcale nie trafił, przyniósł go Piorun — odpowiedział Skierka — znalazł go poranionego w gruzach, nieprzytomnego i przyniósł na plecach. Baliśmy się o Wojtka, ale wytrzymał...

— A jak teraz wygląda?

— Dobrze. Tylko zawsze jest smutny, jakby kogo stracił.

Nince ścisnęło się serce. Jakby kogo stracił!

— Nie mówił, co mu jest?

— Nie. Jest bardzo skryty. Ale my go wszyscy lubimy. Morowy kolega. Jak dostał wypłatę, to wszystkim zafundował parówki. I białe bułki. Była uczta, mówię ci! Pimpus też dostał jedną parówkę całą i wszystkie flaczki. Tak się objadł, że stękał.

Skierka westchnął żalostnie, bo poczuł w żołądku ssanie, jakby tam siedział głodny wąż.

— Wojtek uczy się?

— Tak. Chodzi do szkoły. I pracuje u tego wioślarza. Ja z nim też parę razy jeździłem łodzią. I zawsze za darmo. Ten stary wioślarz nie gniewa się, że ja darmo jeżdżę, a nawet poczęstował mnie pestkami. Chciał, aby Wojtek zamieszkał u niego, ale Wojtek woli Hades. W Hadesie niedawno padał deszcz.

— Deszcz? Jak to?

— Kiedy była burza, to leciało przez sufit i zalało nam całą podłogę. A Piotrek, ten, co robi samochód, a my nazywamy go Hefajstosem, pływał w swoim łóżku i śniło mu się, że został Neptunem.

Ninka roześmiała się. To dobrze, że ten mały Skierka opowiada o Hadesie, czas nie dłuży się tak i choć na chwilę można zapomnieć o strasznej sytuacji.

— Hefajstos robi samochód? Model?

— Nie, prawdziwy samochód. Packard. Przyciągnęliśmy go z ruin. Piotrek go remontuje i mówi, że będzie jeździł. Wiesz, jak zabieraliśmy ten samochód, to ja spotkałem mojego tatusia. Jest w wojsku. Powiedział, że na niedzielę dostanie przepustkę i przyjdzie do mnie. Jak ty myślisz, będziemy wolni do niedzieli?

— Z pewnością.

— Bo ja się strasznie o to martwię. Gdyby tatuś przyszedł i mnie nie zastał... aż mi serce pęka na samą myśl... mój tatuś jest szoferem, a w wojsku dostał awans... jest kapralem... i ma dwa medale na piersiach... za waleczność.

— Moja mama pewno się martwi, że ja nie wróciłam — szepnęła Ninka — pewno stoi w oknie, wygląda na ulicę i płacze...

— A twój tatuś ciebie szuka?

— Jeszcze nie wrócił z wojny.

— Wróci, zobaczysz. Moja mama też jeszcze nie wróciła.

Umilkli. Każde rozmyślało o swoich smutnych sprawach i było im bardzo ciężko.

— Ciagle mi zimno — wstrząsnął się Skierka.

— Oprzyj się plecami o moje plecy, będzie nam cieplej i wygodniej siedzieć.

Skierka znowu usnął. Siedziała bez ruchu, sztywno, choć nogi jej drętwiały. Niech ten mały śpi jak najdłużej. W głowie jej szumiało i dzwoniło na przemian ze zmęczenia, ale senność gdzieś uleciała bezpowrotnie. Nagle coś miękko otarło się o jej bosc łydki. Przestała oddychać, poczuła ostry ból w skroniach. Szczury! Jakby ją sparaliżowało. Znowu to coś

otarło się o jej nogi. Poruszyła się niespokojnie.

— Co? Co się stało? — zapytał Skierka wystraszonym głosem.

Chciała zawołać, że szczury, ale odpowiedziało Skierce ciche, przyjazne mruczenie. Pimpus! Poczciwy Pimpus Sadełko! Pogładziła go po grzbiecie, a wtedy Pimpus rozśpiewał się, niczym artysta na scenie. Szturchnął ją wilgotnym nosem w łydkę i przeszedł z karesami do Skierki. Chłopiec chwycił go na kolana i wtulił twarz w miękkie futerko.

— Skierka, Pimpus znalazł jakieś przejście do nas — powiedziała Ninka rozradowanym głosem — przecież tu go nikt nie wpuścił, a on nie przeszedł przez zamknięte drzwi.

— Tak, on nam wskaże drogę!

— Po ciemku? My nie widzimy jak kot w ciemności. Trzeba znaleźć coś, co chciałoby się rozpaść od zapalki.

— Mam notesik.

— Dobrze. Zobaczą przedtem, co robią tamci.

Podeszła do drzwi, wyjrzała przez szparę. Nic się nie zmieniło. Przyćmiona lampa stoi na stole, słychać chrapanie, tylko ten, co siedział przy stole, zniknął.

Pierwszy na całopalenie poszedł notesik Skierki. W tym świetle zdołali stwierdzić, że ściana z drzwiami nie miała żadnych otworów, tak samo dwie boczne. A naprzeciwko drzwi zwalisko gruzów.

— Wdrap się, Skierka, tam pod strop, zobacz, czy nie ma przejścia. Tylko ostrożnie.

Centymetr po centymetrze Skierka przesunął się ku górze. Nie może osunąć się ani jedna cegła, bo gdyby hałas zbudził opryszków... Strach pomyśleć, co będzie, jeśli tamci odkryją, że on i Ninka planują ucieczkę. Pimpus z zainteresowaniem śledził te poczynania, potem lekko skoczył wyżej, przesunął się obok głowy Skierki i zniknął w górze. Po chwili jego ślepia zabłyśły jak dwie świece tuż pod stropem.

— Jest szczelina — szepnął Skierka — ale my się nie przecisniemy.

— Notes się kończy — odpowiedziała Ninka. — Masz dużo zapalek?

— Pół pudełka. Znajdź jaką drzazgę albo kawałek drewna.

— Znalazłam kawałek deski. Wilgotna, nie chce się palić.

— Masz mój ołówek. Gdyby się udało wyciągnąć chociaż jedną cegłę, może dalibyśmy radę...

Ninka położyła ołówek na jednej cegle, stuknęła w niego kawałkiem drugiej. Rozłupał się na połowy. Zapaliło się łatwo.

— Szarpie i szarpie, a tu ani drgnie — stęknął z góry Skierka.

— Zejdź, to ja spróbuję. Jestem silniejsza.

Poczuł się urażony w swojej męskiej ambicji. Dziewczyna, chociaż, co prawda, starsza od niego, ma się okazać silniejsza? Zdarł paznokcie do krwi, ale bez skutku.

— Ninka, nie masz przypadkiem szczyryka?

— Nie.

— Gdybym miał coś ostrego, poszłoby łatwiej...

Urwał, bo poczuł, że cegła pod jego palcami drgnęła. Zaczął szarpać z jeszcze większą pasją. Mruczenie Pimpusia dodawało otuchy. Pimpus wyprowadzi na wolność.

Po chwili wyszarpnął cegłę, podał ją Nince. Z następnymi nie było kłopotu. Wyjmował jedną po drugiej. Dziura powiększała się, wydawało mu się, że czuje na twarzy lekki przewiew. Pimpus wycofał się gdzieś głębiej, ale chwilami dochodziło do uszu chłopca jego nieustrudzone, zachęcające mrużenie.

— Daj światło, zobacz, co tam jest.

Wsadził głowę do otworu, rozejrzał się. Wąski, skręcający pod ostrym kątem korytarzyk. Nie wiadomo, co dalej. Dopalająca się połowa ołówka sparzyła go w palec.

„Tę drugą połowę musimy zachować na później, teraz spróbuję pracować po ciemku” — pomyślał i powiedział do Ninki:

— Wiesz, będzie prędzej, jeśli te cegły będę rzucał na drugą stronę.

— Daj spokój — wystraszyła się — zrobi się huk i oni się pobudzą.

Skierka nie odpowiedział, ale ostrożnie zsunął cegłę na przeciwną stronę. Do uszu Ninki doszło głucho szuranie. Za drzwiami ciszę przerywały od czasu do czasu odgłosy chrapania. Głucho szuranie trwało długo. Ninka niecierpliwiła się.

— No, precisiśnalem się na drugą stronę — usłyszała radosny, podniecony szept Skierki — teraz ty próbuj. Znalazłem w kieszeni kawałek sznura, zapalę.

W dziurze zamigotał słaby płomyk.

Tając dech w piersiach, przerażona, że któraś z obluzowanych cegieł spadnie pod jej ciężarem, Ninka posuwała się ku zbawczemu przełazowi. Sznurek w ręku Skierki dopalał się.

— Prędzej — ponaglał ją Skierka — odważniej!

— Tu tak wąsko, nie precisiśnę się.

— Przelazłem ja, to i ty przeleżesz.

Wyciągnęła ręce, wsunęła w otwór głowę, posunęła się trochę i nagle poczuła, że dalej ani rusz.

— Nie mogę — szepnęła przez łyżę — ugrzęzłam biodrami.

— Będę cię ciągnął — odpowiedział Skierka i chwycił ją za ręce. Ale i to nie pomogło.

— Cofnij się, poszerzę tę dziurę.

— Nie mogę. Jestem w kleszczach. I pod stopami chwieją się cegły... zacznę się szarpać, poleca...

— O Boże — zmartwił się Skierka. — Przesuń się trochę na bok.

— Nic nie pomaga. Skierka, idź dalej sam i sprowadź pomoc.

Ale Skierka uważał, że obowiązkiem mężczyzny jest opiekować się kobietą, nawet starszą od niego, i nie wolno opuszczać jej w nieszczęściu. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę do nosa, zapalił. Zrobiło się dosyć jasno, ale niemiły swąd rozszedł się w wąskim korytarzyku. Skierka rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegoś przedmiotu, który ułatwiłby poszerzenie otworu. Nisza w ścianie. Podbiegł tam. Pełno żelaznych rupieci. Połamane podkowy, zgnieciony hełm. Jakaś rękojeść. Skierka wyciągnął ją ze zdumieniem. Zardzewiały, stary miecz. Takie są na obrazach w historycznych książkach.

— Zaraz cię uwolnię — powiedział rozradowany — tylko chusteczka się dopala...

— Zapal tę drugą połówkę ołówka, starczy na dłużej.

— Ale później może nam być światło również potrzebne...

— Podrę swoją haleczkę, będziemy nią świecić.

Po paru minutach przejście było na tyle poszerzone, że Ninka wydostała się z pułapki.

— Popatrz, ile tu różnych dziwnych rupieci — pokazał Skierka — tu właśnie znalazłem ten miecz.

— Podkowy? Wezmę dwie na szczęście.

Skierka wzruszył ramionami. Ach, te kobiety, zawsze takie przesadne. Wziąłby chętnie hełm dla Tomka, bo on lubi takie stare graty, ale na razie trudno o tym myśleć. Wybiorą się tu, kiedy szczęśliwie wrócą do Hadesu.

Za zakrętem ciągnął się długi, wąski korytarz. Nigdzie ani śladu drzwi, jakby zbudowany był do takich tajnych przejść. Powietrze było stęchłe, wilgotne. Zupełnie inne niż przed zakrętem.

— Jakie to dziwne — szepnęła Ninka — kiedy powstał ten korytarz? Pod jaką ulicą się znajdujemy?

— Do meliny bandy weszliśmy od strony Podwala — po namyśle powiedział Skierka — ale w którą stronę biegnie korytarz, nie mam pojęcia.

— Może w stronę Wisły? Albo placu Zamkowego? Widocznie kiedyś służył do obrony przed napadem wrogów. Takie tajemne przejścia były bardzo ważne w czasie oblężenia.

Pimpus biegł przed nimi, co chwila obwąchiwał ściany. Jeżył się przy tym gniewnie i

prychał, jakby czuł wroga. Nince wydawało się, że oprócz stęchlizny czuć wstrętnym odorem szcurów. Coraz trudniej było iść. Pełno gruzów, parę razy minęli cuchnące kałuże. Spalili prawie połowę haleczki. Swąd palonego materiału i zgniłe, duszne powietrze tamowało oddech. Nince zbierało się na mdłości, podkowy wydawały się coraz cięższe, ale nie chciała ich rzucać. Może przyniosą szczęście? Nagle zatrzymała ich nieprzebyta zaporą. Korytarz kończył się zawaliskiem. Kamienie, ziemia, wystające zbutwiałe belki, resztki cegieł.

— Tu nie damy rady — powiedziała Ninka z płaczem.

— Nie damy — powtórzył jak echo Skierka.

— Chyba Pimpus przyszedł inną drogą. Czuję powiew świeżego powietrza tam, niedaleko tej niszy, gdzieśmy znaleźli podkowy.

— I ja tam czuję świeże powietrze. Może wrócimy i spróbujemy się przebić na powierzchnię? Tym mieczem można łatwo kopać.

— Musimy wrócić. Tu nie wytrzymałabym długo, mdli mnie ten wstrętny zaduch.

Przeszli może połowę korytarza, kiedy Ninka zapaliła ostatni skrawek swojej haleczki. Skierka powiedział, że mu pozostały tylko cztery zapalki. Zdecydowali się iść po ciemku. Szło się tak znacznie gorzej. Ninka parę razy pośliznęła się w kałużach. Całe szczęście, że korytarzyk był wąski, więc od upadku chroniły ją ściany. Na twarzy osiadły lepkie, pełne kurzu pajęczyny. Dobrnęli do zakrętu korytarzyka.

Skierka chwycił ją za rękę.

— Słyszysz?

Zgrzytnął klucz, zatrzeszczały drzwi na zawiasach.

— Nie ma szczeniaków! — krzyknął ktoś gniewnie.

— Rysiek ich wyprowadził!

— Nie, patrz, tam dziura! Poszli korytarzem!

— Daleko nie zajdą — roześmiał się ktoś złym śmiechem.

— Trzeba ukarać smarkaczy — to był niski, matowy głos Niwińskiego — źle im było tutaj, niech posiedzą w korytarzu. Zawalimy tę dziurę.

— Czasu szkoda — to mówi dziewczyna — jest bardzo późno.

— Jeszcze piętnaście minut — upiera się Niwiński. — Dobrze, że tam wleźli, pozbawimy się kłopotu.

— Jak chcesz — odpowiedziała obojętnie dziewczyna — ale czasem i piętnaście minut decyduje o życiu człowieka. Rysiek może sprowadzić milicję.

Dalsze słowa giną w huku rzuconych cegieł. Odłamki sypią się na stojących obok niszy Ninkę i Skierkę. Cofnęli się za zakręt korytarzyka. Wkrótce wszystko umilkło.

— Gdzie Pimpus? — zapytał Skierka. — Jeszcze niedawno był..

— Złakł się huku i obcych głosów i uciekł sobie znanym przejściem — odpowiedziała Ninka.

— Poszukamy tego przejścia?

— Dobrze. Możemy jeszcze spalić moje skarpetki... i pasek od sukienki.

— Ja też mam skarpetki.

Znaleźli nisko u swoich stóp niewielki, okrągły otwór.

— Szcurzy korytarz — powiedział Skierka — my się nie przecisniemy.

— Pewno wychodzi gdzieś niedaleko na powierzchnię, dlatego czuję świeże powietrze.

— Co teraz zrobimy?

— Spróbujemy odwalić to zasypane przejście. Jeśli nam się uda, mieczem rozbijemy drzwi czy zamek.

Pomyślała, że pewno im się nie uda, bo czuła się coraz słabsza i w głowie jej się kręciło. Czy Skierka okaże się silniejszy?

— Nie wiem, co to jest — powiedział Skierka — ale tak mi się wydaje, jakbym jeździł na karuzeli. W głowie karuzela, a nogi z gumy.

XVIII. Obława

Pluton z Sokratesem wrócili pierwsi. Zdziwili się, że nie zastali w Hadesie nikogo. Nie zamknięte drzwi, lampa kopcząca na stole, rozłożone książki i zeszyty Wojtka — wszystko to świadczyło, że Wojtek wyszedł czymś zaniepokojony czy też musiał w pośpiechu opuścić dom. Zastanawiali się, co robić, i nie mogli się zdecydować. Sokrates uważał, że najlepszym wyjściem jest czekanie, Pluton chciał iść na Rycerską czy też na spotkanie grupy Pioruna. Ale Sokrates nie zdecydował się mu towarzyszyć. Tracić siły na beznadziejne płatanie się po gruzach w ciemności? Można skrócić kark albo złamać nogę. Pluton musiał się zgodzić z jego argumentami, że trzeba poszukiwania odłożyć do świtu. Albo do powrotu innych...

Sokrates chciał sobie ukroić kawał razowca i wtedy spostrzegł brak sztyletu. Zdobyczna pałka też zniknęła. Doszli do wniosku, że zniecierpliwiony czekaniem Wojtek wybrał się samotnie na poszukiwanie. Tylko po co się tak uzbroił? Czyżby trafił na ślad Skierki?

Doczekali się wreszcie przyścia grupy Pioruna. Okazało się, że wróciliby znacznie wcześniej, ale zatrzymał ich patrol milicyjny. Musieli się tłumaczyć i podać wszystkie szczegóły w sprawie Skierki i swoich poszukiwań. Podobno milicja gęsto obstawiła całą Starówkę, aby wyłapać bandytów. Zagadkowe zniknięcie Wojtka bardzo zaniepokoiło Pioruna. Trzeba o tym zameldować milicji, bo to z pewnością ma związek z Niwińskim. I coś za długo nie widać kaprała Nowackiego z panem Adamem i chłopcami. Wreszcie postanowili, że Piorun z Plutonem pójdą o tych wydarzeniach poinformować najbliższy patrol milicyjny.

Niedaleko Hadesu spotkali wracających z Rycerskiej. Po krótkich wyjaśnieniach Piorun powiedział z westchnieniem ulgi:

— Co za szczęście, że Wojtek jest pod opieką milicji. Porządnie się o niego bałem... Rozgoście się państwo w Hadesie, a ja z Plutonem poszukamy milicji.

— Idę z wami — powiedział kaprał Nowacki — nie wytrzymam pod dachem, gdy tam mojemu chłopcu krzywda się dzieje... Sam też się z pewnością przydam w akcji. Z wielką przyjemnością zapoluję na tych łotrów, którzy porywają i okradają dzieci...

U wylotu Piwnej spotkali sierżanta milicji w towarzystwie dwóch posterunkowych. Sierżant powitał kaprała Nowackiego jak starego znajomego. Wysłuchał dodatkowych wyjaśnień Pioruna i powiedział:

— Wszystko się zgadza. Lada moment przyjadą nasi z tymi zatrzymanymi chłopcami. Podejmiemy do placu Zamkowego. A potem złożymy wizytę porywaczom dzieci.

— Czy możemy iść z wami? — zapytał Nowacki.

— Oczywiście. Nocą im gęstsza obstawa, tym pewniejsze, że ptaszki nie uciekną.

Na placu Zamkowym zabłyśły przygaszone światła samochodu. Warkot motoru ustał, lampy zgasły. Zamajaczyły sylwetki ludzkie.

Wśród grupy uzbrojonych milicjantów zobaczyli Wojtka i jeszcze drugiego cywila, który krył się za plecy rosłego milicjanta. Podeszli bliżej.

— Rysiek?! — ze zdumieniem zapytał Pluton, a Piorun odpowiedział zagadkowo:

— Wiedziałem, że tak będzie.

Sierżant zsalutował i złożył raport niskiemu, w skórzanej kurtce, bez żadnych dystynkcji dowódcy. Zaraz ruszyli. Piorun miał ochotę opowiedzieć Wojtkowi o wydarzeniach na Rycerskiej, ale dowódca nakazał ciszę. Szli dwójkami. Pierwszy dowódca z Ryskiem, za nimi dwóch milicjantów, potem Wojtek z sierżantem, kaprał Nowacki z milicjantem, znowu milicjanci i na końcu Piorun z Plutonem.

Wojtka dowódca chciał odesłać do domu, ale ten zaczął go gorąco przekonywać, że może się przydać w akcji, i dowódca pozwolił mu zostać.

Wąwóz wśród ruin na Podwalu wyglądał niesamowicie w blasku księżyca.

„Jak tło do kryminalnego filmu” — pomyślał Piorun. Dowódca z trzema milicjantami wsunęli się do piwnicy, reszta pozostała na stanowiskach wyznaczonych przez sierżanta. Nastąpiło kilka czy kilkanaście minut denerwującego czekania. Wojtkowi wydało się, że to wloką się beznadziejnie długie godziny. Patrzył na Ryśka, który stał obok kaprała Nowackiego i gryzł ze zdenerwowania palce.

Cisza. Ani wystrzałów, ani jednego krzyku czy odgłosu szamotania się. Gdzieś miauknął kot, zagruchał wystraszony, przebudzony tym hałasem gołąb.

„Ta cisza jest bardziej przerażająca niż huk wystrzałów — myślał Wojtek. — Co się tam dzieć może? Jak grób.”

Zląkł się tego słowa. Nagły zgrzyt gruzu pod butami wstrząsnął nim jak wystrzał obok ucha. W piwnicznym okienku ukazała się głowa dowódcy. Za nim wysunęli się milicjanci.

— Ptaszki wyfrunęły — powiedział dowódca — zabarykadowali w lochu tych dwoje dzieci. Wy, kapralu, razem z cywilami zajmijcie się oswobodzeniem dzieci. Zapowiedziałem im, że za parę minut będą wolne. Banda jakieś dziesięć minut temu opuściła melinę. Mam nadzieję, że nie uda im się przecisnąć przez sieci naszej oblawy.

Wojtek podszedł do sierżanta.

— Obywatelu sierżancie, wstawcie się za mną do dowódcy, abym mógł z wami brać udział w pogoni. Znam Niwińskiego...

— Tak bardzo zależy ci za skórę? — roześmiał się sierżant. — No, dobrze. Poproszę porucznika. Powiem, że biorę cię na swoją odpowiedzialność. To będzie kwita za przykrość, którą ci dziś niechcący wyrządziłem. Wierz mi, że nie miałem zupełnie ochoty ciebie aresztować... Tylko ten twój kumpel!...

— Dziękuję — szepnęła z wdzięcznością Wojtek — przydam się na pewno. Znam ten teren i orientuję się nie gorzej niż w lesie w czasie partyzantki...

— Byłeś w partyzantce? Gdzie?

— W Przasnyskiem. Na poligonie. Pod komendą porucznika Sępa.

— Sępa? Jerzego? To mój dobry kolega. Pracuje teraz w milicji w Łodzi. Może dwa tygodnie temu wyszedł z wojska.

Kapral Nowacki z Piorunem, Plutonem i Ryśkiem zniknęli w okienku piwnicy. Porucznik zarządził pościg w stronę Żoliborza. Tam, według oświadczenia Ryśka, miała się znajdować nowa melina bandy.

Siedzieli w cieniu wysokiego muru i naradzali się szeptem. Mimo że tak niedaleko odskoczyli od starej bazy, dwukrotnie widzieli patrole milicyjne. Nie ulega wątpliwości — oblawa.

— Rysiek ich sprowadził — zgrzytnął zębami Niwiński — niech no tylko on wpadnie w moje ręce!

— Rysiek po prostu wyczuł pismo nosem i uciekł — odpowiedziała dziewczyna. — Gdyby poszedł na milicję, już wszyscy siedzielibyśmy w mamrze. I milicja nie potrzebowałaby robić oblawy...

— Jestem pewien, że sypnął, a ty, Stella, niepotrzebnie bronisz tego łachudry — upierał się przy swoim Niwiński.

— I chociaż uważasz, że sypnął, chcesz iść na Żoliborz? — zadrwiła Stella.

— Myślę, że on nie wiedział, gdzie będzie nasza następna baza. A gdyby nawet wiedział, że na Żoliborzu? Obstać taką trasę to trzeba dwa razy więcej milicji, niż jej mają w Warszawie.

— A ty co powiesz, Gryzoń? — Stella zwróciła się do jednego z milczących kompanów.

— Myślę, że można walić na Żoliborz. A najlepiej to się tu przespać gdzieś w ruinach. Chce mi się kimać jak diabli...

— Sitko, ty też nic nie gadasz.

— Nie pytaliście o zdanie. A Rysiek chyba nie sypnął. Miał lepsze okazje. Można walić na Żoliborz. Już mi ta Starówka nosem wyłazi. Mam dość ruin i tego smrodu.

— A ja mówię, przedrzycmy się do Śródmieścia. Tam nas nie będą szukać. Nie mam przekonania, aby teraz iść na Żoliborz — powiedziała Stella.

— Śródmieście to też jedno wielkie cmentarzysko, a ja chcę wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem — wtrącił Gryzoń.

— I pogruchać z dziewczyną przy księżycu — uzupełnił drwiąco Niwiński — nocę czerwcowe takie ciepłe...

— Nie wygłupiajcie się — syknęła Stella — trzeba się na coś zdecydować. Nie jesteśmy bezpieczni. Bo jeśli trafią do bazy, to sprowadzą pieski, a te pójną naszym śladem. Daleko nie będą szukać...

— W takim razie mój wniosek zwycięża — w stronę Żoliborza kręci się sporo ludzi, łatwiej zgubić ślad.

— Mam trochę pieprzu, myślałam rozsypać, kiedy wyszlibyśmy ze Starówki.

— Choćby psy zgubiły ślad, to oni gotowi najbliższy teren obstawić metr przy metrze.

— Więc dobra, zapychamy na plac Krasieńskich, a potem zobaczymy, co dalej — zgodziła się Stella. — Idę pierwsza, na wabia. Wy ostrożnie za mną. Kryjcie się w cieniu murów.

Uznali to za słuszne. Wyszli z ukrycia. Stella poszła środkiem uprzątniętej z gruzów drogi. Szła równo, spokojnie wybijając takt obcasikami pantofelków.

Posuwali się za nią w odległości kilkunastu kroków ostrożni i czujni na każdy jej ruch.

„To jest babka na medal — rozmyślał Niwiński z zachwytem nad jej opanowaniem i pewnością siebie. — Idzie dumna i spokojna jak jaka kupcowa w niedzielę na Targowej. Co za bęcwał ze mnie, że mogła mi się podobać ta idiotka Ninka. Odpląciłem smarkatej... i jeszcze dołożę, jeśli wszystko będzie spokojnie i jutro będzie można tu przyjść... Właściwie to nie warto dłużej siedzieć w Warszawie... To, co ocalało z dorobku mojej matki, czego milicja nie wyniuchwała, i to, cośmy zdobyli podczas ostatniego wypadu do spółdzielni na Żąbkowskiej, wystarczy na założenie porządnego sklepu w Łodzi czy w Krakowie. Namówię Stellę, abyśmy tam wyjechali. Dość mam takiej poniewierki jak ostatnio tutaj... Sitko i Gryzoń mogą przejść do bandy Łosia. Mnie takie życie na dłuższe metę nie odpowiada. Kończy się ono prędzej czy później mamrem...”

Zadowolony, że tak gładko rozwiązał sprawy swojej i Stelli przyszłości, kilkoma krokami wyprzedził kompanów i przysunął się w stronę Stelli, aby jej o tym powiedzieć. Nie zdążył wyjść jeszcze z cienia muru na oświetlony księżycem pas drogi, po której szła Stella, kiedy usłyszał przyciszony rozkaz:

— Stój!

Stella zatrzymała się. Przypadł twarzą do ziemi.

— Dokąd pani idzie? — zapytał ten sam głos.

— Do domu. Mieszkam na Franciszkańskiej.

— Tak późno pani wraca i nie boi się?

— Wracałam o zmierzchu. Na Senatorskiej napadli na mnie bandyci. Wyrwali torebkę, zdjęli mi palto i zamknęli w jakiejś norze. Niedawno uwolnili mnie milicjanci. Tych bandytów nie złapali. Złożyłam zeznania i wracam do domu.

— Nic podejrzanego nie zauważyła pani po drodze?

— Nie.

— Czy posiada pani dowód osobisty?

— Proszę bardzo. Dowód z miejsca pracy.

Milicjant chwilę oglądał dokument podany przez Stellę, przyświecając sobie latarką, którą osłaniał połą płaszcz.

— Dziękuję pani.

— Do widzenia panom.

I Stella spokojnie minęła pas obławy.

„Ale sprytna — pomyślał z podziwem Niwiński — sama się wymigała, a mnie została... z tymi dwoma ciapciakami na karku... To podłe z jej strony. Pewno teraz śmieje się z nas... Chciała pokazać, że na Żoliborz się nie dostaniemy. Sama się wyrwała, a o nas nie dba...”

Podziw, żal i obawa kolejno brały w nim górę. Zwyciężyła obawa. Co będzie? Kłócił się nieraz z tą Stellą, ale miał zaufanie do jej sprytu i kiedy w takim trudnym momencie jej zabrakło, nie wiedział, co robić. Przede wszystkim odsunąć się od niebezpiecznego sąsiedztwa milicji. Ostrożnie zawrócił. Kamraci czekali.

— Słyszeliście?

— Słyszeliśmy.

— Co zrobimy?

— Cholera wie?!

— Na Żoliborz nie ma teraz co się pchać, no nie?

— Nie ma.

Gdzieś daleko zaszczekał pies.

— Idą z psami — jęknął Sitko — już po nas!

— Głupiś. Walimy do Śródmieścia przez ruiny! — Niwiński starał się spokojnym głosem zapanować nad sytuacją.

— Poprowadzisz?

— Poprowadzę. Ten wypalony dom znam, można przejść piwnicami.

Spuścili się po omacku do piwnic. Zatechły, okropny odór tamował dech w piersiach. Przez wypalone i zarwane stropy przeświecały skrawki wygwieżdzonego nieba. Szli nawołując się cichymi gwizdnięciami, Niwiński prowadził pewnie, czasem tylko zatrzymywał się i ze wstrętem ocierał z twarzy pajęczynę, i zrzucał pająki, klnąc z obrzydzenia. Po kamiennych, wyszczerbionych schodach wspięli się w górę, wyszli na zasypany gruzem obszerny dziedzińiec. Naprzeciwko zamajaczył wrak wypalonej kamienicy.

— Tu pójdziemy przez parter. Trzymajcie się blisko mnie, bo strop pozarywany, można się zwalić do piwnic.

I ten odcinek minęli szczęśliwie. Niwiński nie omieszkał z tego skorzystać, aby się pochwalić:

— Dobrze prowadzę, no nie? Tę głowę to się ma...

Zaczęli nabierać otuchy. Niwiński, co prawda, fanfaron, ale z ciężkiej sytuacji nieźle wyprowadza. Żadnemu milicjantowi nie przyjdzie do głowy, aby nocą łązić po takich wertepach. Obstawili wyloty ulic i czekają na głupich. Niech poczekają.

— Już niedaleko do Długiej — szepnął Niwiński — uważajcie.

Bez jego upomnień uważali. Starówka tej nocy wydała im się szczególnie przykra i groźna. Przyzwyczajeni byli do włóczędzy nocnej, do ruin, do niesamowitego widoku umarłych domów, pełnych jeszcze śmierci, ale dziś nie wiedzieli, co ich tak niepokoi. Obława? Nie pierwszy raz wymykali się z obławy, ta nie była gorsza ani niebezpieczniejsza od poprzednich. Więc co? Spóźniony wyrzut sumienia z powodu zamknięcia w lochu dwojga dzieci?

Weszli w ulicę Długą. Tu nie ocalał żaden dom, żadna kamienica. Martwe żrenice okien wiały stęchlizną i pustką. Przsiedli na ustawionych z cegieł słupkach, bo Gryzoń narzekał, że w niewygodnym bucie natarł nogę i musi zrobić sobie opatrunek z chustki do nosa. Odpoczywali dość długo, paląc papierosy i rozmawiając o ostatnich wydarzeniach. Właściwie nie było czego się niepokoić. Teraz z pewnością są za zasięgiem obławy.

— W Ogrodzie Saskim mam fajny schowek — powiedział Sitko — możemy tam wygodnie przespać resztę nocy.

— Niewiele nocy nam zostało — mruknął Niwiński — zanim dojdziemy, zaczniesz

świtać.

— Łatwiej będzie nam się szło po widoku. Teraz wcześniej świta, do świętego Jana niedaleko.

Wreszcie zdecydowali, że trzeba ruszyć dalej. Nie warto męczyć się takimi karkołomnymi przejściami, jakie wybierali dotychczas, można spróbować zwykłą drogą. Teraz szło się gładko. Sitko przestał stękać na obtartą nogę. Nawet humor im się poprawił. Obiecywali sobie opić strachy dzisiejszej nocy. W ciszy nocnej klapią nierówno ich twarde buty. Echo odbija się o puste mury.

— Stój! Ręce do góry!

Zaskoczenie było tak niespodziane, że Gryzoń i Sitko jak automaty podnieśli ręce. Tylko Niwiński nie stracił przytomności umysłu. Rozejrzał się. Z obu stron ulicy oderwały się postacie milicjantów. Otoczyli ich z czterech stron. Może o dwa metry w bok czerniał pusty prostokąt okna wystawowego w wypalanej kamienicy. Niwiński sprężył się, skoczył. W dwóch susach dopadł okna, przeskoczył. Ktoś chwycił go za rękaw wiatrówki, ale szarpnął się, rękaw trzasnął. Przebiegł przez gruzowisko sklepu, przez otwór w ścianie wskoczył do następnej izby, stamtąd oknem na podwórze. Ktoś goni. Pojedynczy człowiek. Trzeba się od niego uwolnić. W biegu schylił się, podniósł kawał cegły. Schował się za framugę muru. Zatupał parę razy w miejscu, jakby dalej biegł. Kiedy ścigający zbliżył się na odległość rzutu, wycelował w jego piersi i rzucił z rozmachem. Nie ryzykował uderzenia w głowę. Było jeszcze dość ciemno, mógł chybić. Usłyszał jęk i głuchy odgłos padającego. Niwiński skoczył dalej. Przebiegł kilkanaście kroków, gdy nagle zatrzymała go nieprzewidziana przeszkoda. Przed nim gładki, wysoki ponad trzy metry mur, z jednego boku kłęb spletanych kolczastych drutów, z drugiej strony budowla zabytkowa z resztkami kolumn, zabita deskami. Podbiegł ku zabytkowej budowli. Otwór drzwiowy nie jest zabezpieczony całkowicie — górą belek nie ma. Chwycił rękoma za górną deskę, podciągnął się, przewinął na drugą stronę. Ciemno, znacznie ciemniej niż na dworze. Strop cały, okna założone ceglami.

„Nie wydostanę się stąd?” — przeraził się. Ale po chwili oczy przyzwyczyły się do ciemności. Zobaczył drzwi, wbiegł do następnej komnaty. Zewnętrzna ściana rozdarta na pół wywiodła go znów na wolną przestrzeń. Przystanął, wsłuchując się uważnie. Nikt nie goni za nim. Wolno, ostrożnie stawiając każdy krok, zaczął podchodzić na duży zwal gruzów.

„Cała kamienica tu wysiadła, musieli rąbnąć szafą — pomyślał — łatwo się zapaść na takim terenie.”

Dobrnął do szczytu pagórka. Przesadził nogę przez potężny odłam muru i w tej chwili jakaś luźna cegła wyrwała się spod stóp i potoczyła z łoskotem w dół. Zaklął szpetnie. Obejrzał się. Zobaczył gwałtowny błysk i potężny huk wstrząsnął powietrzem. Posypały się kamienie, piasek, kawałki cegieł i tynku. Siła podmuchu zrzuciła go parę metrów niżej i dalej. Leżał zdrtwiał, usiłując zebrać myśli. Całe ciało miał obolałe od upadku, w uszach dzwoniło jak na alarm.

Po chwili zrozumiał, co się stało. Widocznie cegła staczając się natrafiła na jakiś niewypał czy minę. Zdał sobie sprawę, że ten wybuch sprowadzi zaraz pogoń. Zaciskając zęby z bólu, wstał, chwiejąc się na nogach. W uszach ciągle dzwoniło i grało, w głowie czuł zamęt. Odetchnął parę razy głęboko, zrobiło mu się lepiej. Zaczął iść.

Nagle ktoś chwycił go z tyłu za ręce. Szarpnął się, kopnął z całej siły. Wyrwał jedną rękę, odwrócił się gwałtownie. Zobaczył Wojtka. Mściwa radość rozpałała mu oczy. Niestety, wolna jest lewa ręka, a do kieszeni trzeba sięgnąć prawą. Po prawej stronie jest rewolwer. Ścisnął Wojtka za gardło. Jak błyskawica przebiegła myśl, że Wojtek, aby uwolnić gardło, odruchowo użyje obu rąk, zwalniając przez to jego prawą. Wojtek jednak nie puścił, może chwyt był za słaby. Zwinął się, uderzył go w podbródek. Ten cios oszołomił Niwińskiego. Przewrócili się obydwoj i zaczęli tarzać okładając się pięściami. Ciągle usiłował sięgnąć po swoją niezawodną broń, ale atak Wojtka był tak gwałtowny i szybki, że nie mógł nadażyć z

odbijaniem ciosów. Wreszcie udając pokonanego czy zamroczonego silnym ciosem, opuścił również lewą rękę i przekręcił się na prawy bok. Wojtek widząc, że Niwiński ma już dość, przestał go okładać, wsadził dwa palce do ust i przeraźliwie zagwizdał. W tym momencie sucho klapnął spust rewolweru. Niwiński tego nie słyszał, wydało mu się, że chybił. Pociągnął po raz drugi. „Ktoś wyjął magazynek i nabój z lufy. Rysiek?!” Pojął, że przegrał. Mimo to nie zrezygnował z walki. Rękojeścią rewolweru wymierzył cios w szczękę przeciwnika, ale Wojtek przygotowany był na nowy atak, zdążył odsunąć się, a potem podniósł się błyskawicznie i odskoczył w bok.

Niwiński nie zrozumiał tej nowej taktyki, rzucił się w jego stronę. Wojtek znowu odskoczył. I wtedy Niwiński zobaczył, że obok Wojtka wyrosły dwie sylwetki milicjantów. Po prawej i lewej stronie odwrót miał również odcięty. Zbliźali się do niego milicjanci z automatami gotowymi do strzału. Wolna jeszcze była droga, którą niedawno przyszedł. Skoczył w tamtą stronę, ale jeden z milicjantów uderzył go automatem w ramię. Milicjant miał usta otwarte jak do krzyku. Widocznie wzywa go do poddania się, a on przecie ciągle nic nie słyszy. Tylko jakby rozszalałe dzwony huczące w głowie na alarm. Przebiegł jeszcze ze dwa kroki i ujrzał ogniste błyski w górze przed sobą.

„Strzelają... do mnie...”

Zatrzymał się i podniósł ręce do góry.

XIX. Nareszcie razem

Świt srebrzył się nad Starym Miastem, kiedy Wojtek wracał do Hadesu. Zmęczony był bardzo, ale spokojny. Cisza rozgościła się w jego sercu i myślach. Wreszcie jego wróg i prześladowca poniesie zasłużoną karę i on, Wojtek, przyczynił się do tego. Wiele zła zdziałał ten Niwiński, nie tylko jemu, ale i innym. Choćby ten pocziwy, w gruncie rzeczy, Rysiek...

Całą prawie noc Wojtek chodził za sierżantem milicji, który mu nie pozwalał na krok odstąpić od swego boku. Beznadziejne dreptanie po przetartych szlakach, potem zasadzka w cieniu kamienicy. Spodziewał się, że tamci, spłoszeni, uciekać będą właśnie uczęszczanymi drogami... Gdy coś nieśmiało napomknął sierżantowi w tej sprawie, odpowiedział, że milicja wie, co robi. Wojtek zniechęcił się i postanowił wracać do Hadesu, ale sierżant nie zgodził się puszcząć go samotnie. Zrezygnowany usiadł na ocalałym stopniu pod murem kamienicy i zdrzemnął się. Obudził go stuk spadającego kamienia czy cegły.

A potem błysk i huk. Pierwszy zrozumiał, co się stało. Zerwał się i jak oszalały popędził na miejsce wypadku. Nie spodziewał się, że tam spotka Niwińskiego.

— Sprawiedliwość różnymi chadza drogami — wygłosił sentencję sierżant — ale zawsze dosięgnie winnego.

Wojtek musiał uczestniczyć przy spisywaniu protokołu, podpisał swoje zeznanie przy świetle reflektora w karetce milicyjnej, w której nie tak dawno jechał jako podejrzany na posterunek milicji. Nie czuł radości. Aresztowanie Niwińskiego nie wyrównało krzywdy, jaka go spotkała. Nigdy nie wróci to, co było. Gdyby Nince zależało, próbowałaby znaleźć do niego drogę. Czy tak trudno jej było wybrać się do szkoły lub na przystań? Wprawdzie Kisielea nie znała, ale każdy wioślarz wskazałby jej, która łódź należy do niego. Nie chciała, nie przyszła.

Wszedł na podwórze Hadesu i stanął jak wryty. Dwanaście sienników wyniesionych z Hadesu, rozłożone jeden obok drugiego, a na nich śpiący ludzie. Spojrzył na packarda. Głowa przy głowie leżą w nim Piotrek-Hefajstos i Chochlik. Dlaczego więc wszystkie sienniki zaję-

te?

Piorun, Pluton, Sokrates, Skierka, ten obok to jego ojciec, kapral Nowacki, następnie pan Adam, jakaś siwa kobieta z dzieckiem, dalej dziewczyna z jasnymi warkoczami. Serce w nim zadrżało i zatrzymało się na moment. Te warkocze! Takie ma tylko jedna dziewczyna! Nigdy podobnych nie widział i przysiągłby, że nie zobaczy. I tu nagle w Hadesie! Przetarł oczy ręką, bo mu się wydało, że z niewyspania coś mu się roi, i spojrzał znowu. To nie przywidzenie. Dziewczyna śpi na jego sienniku, przecie on jeden ma taki siennik w granatowe pasy. Okryła się jego kocem. Przy niej zwinięty w kłębek śpi Pimpus.

„Zdradził swego Skierkę — zdziwił się Wojtek — no, no!” Na dalszych siennikach Rysiek i pozostali chłopcy z Hadesu. Rysiek... To jednak milicja puściła go wolno... Przecie wiedzą, że należał do bandy, przyznał się... Uwierzyli w możliwość jego poprawy.

„Ciekawe, dlaczego wszyscy wynieśli się na dwór? Noc ciepła, prawdziwa noc czerwcową, ale w razie deszczu... Letnie burze przychodzą niespodziewanie i są bardzo gwałtowne. W Hadesie, co prawda, ostatnio bardzo czuć pleśnią. To od czasu tej burzy, która zalała łóżko Piotrka.” Starał się myśleć o różnych sprawach, ale oczy ciągle zatrzymywały się na sienniku, na którym spała dziewczyna z jasnymi warkoczami. Odważyć się podejść parę kroków bliżej? Przekonać się? Stał jednak dalej bez ruchu i napawał się widokiem tych jasnych warkoczy. Opamiętał się powoli.

„To pewno ta uwięziona przez bandę razem ze Skierką. Ale skąd przybyła siwa kobieta z dzieckiem?”

Znów wpatrzył się z natężeniem w jasne warkocze dziewczyny, aż oczy zaszyły mu łzami. Nie do wiary, a jednak wydaje się prawdziwe. Gdyby jeszcze zobaczyć jej twarz! Śpi odwrócona plecami, trzeba podejść z boku, aby przekonać się, uwierzyć w nieprawdopodobne.

Postąpił krok naprzód, trzasnął pod butem jakiś odłamek szkła, zatrzeszczała słoma pod najbliższym siennikiem.

Piorun usiadł i kiwnął głową powitalnie. Wojtek uśmiechnął się, Piorun przywołał go ręką. Usiadł obok niego na sienniku. Piorun przykrył mu nogi kawałkiem koca.

— Pewno zziębłeś, co?

— Nie.

— Jesteś głodny?

— Też nie. Zmęczony.

— A jak poszło?

— Złapani wszyscy trzej. Niwińskiego ja zatrzymałem.

— Sprawilo ci to przyjemność?

— To dziwne... — odpowiedział z namysłem Wojtek — ale nie... Chciałem, aby poniósł zasłużoną karę, na pewno ją poniesie, ale to mnie wcale nie cieszy. Powiedz, po co ludzie popełniają występki? Przecie rzadko kiedy wina uchodzi karze. Młody, przystojny... Tak lekkomyślnie zmarnował sobie życie.

— Tak. Pomijając wszystkie inne argumenty, trzeba powiedzieć, że występki się nie opłaci. Rysiek na szczęście zrozumiał to bardzo prędko...

— Zdziwiłem się, że go puścili.

— Poręczyłem za niego. Powiedziałem, że ZWM weźmie go pod opiekę. Opowiedz, jak tam było?

Wojtek w krótkich słowach opowiedział o wypadkach nocy. Z kolei Piorun opowiedział o odnalezieniu rodziny pana Adama, czyli od wczoraj wieczór pana Karola, który okazał się historykiem sztuki. Potem o uwolnieniu Skierki i Ninki.

— Ninki? — wykrztusił Wojtek. — Ninki?

— Tak. Przyszła tu, aby odnaleźć ciebie. Z daleka zobaczyła Skierkę z Pimpusiem, domyśliła się, że on wraca do Hadesu, i poszła za nim. I trafiła do meliny. A tam Niwiński wpakował ją do lochu. Zresztą ona sama ci opowie. Kładź się na moim sienniku, ja chcę

skoczyć do Filipiaków na Mostową, oni chowają kozę, poproszę o trochę mleka dla małej Kasieńki.

— Pójdę z tobą — oświadczył Wojtek — nie chce mi się spać. — Pomyślał, że nie wy-
leżałby teraz spokojnie nie tylko na słomianym sienniku, ale nawet na puchowym materacu.

Piorun wyciągnął spod siennika przygotowaną widocznie wieczorem butelkę i wyszli na ulicę.

— Czemu zrobiliście sypialnię na podwórzu? Aż zdębiałem, jak to zobaczyłem.

— Pani Barbara, żona pana Karola, uparła się, że za nic nie będzie spać w piwnicy. Więc aby jej dotrzymać towarzystwa, wynieśliśmy się wszyscy. Bardzo przyjemnie się spało, chociaż krótko. Późno położyliśmy się, bo czekaliśmy na ciebie. Ninka aż ukradkiem popłakiwała, że nie wracasz. Musiałem jej opowiedzieć wszystko o tobie i wszystkiego jej było mało.

Wojtka odeszła senność i zmęczenie. Chciało mu się krzyczeć i śpiewać z radości. I aby ukryć miotające nim uczucia, zaczął cicho poświstywać jakąś melodię.

Piorun wytargował kwaterkę mleka dziennie dla małej Kasieńki. Filipiakowa nie mogła odstąpić więcej, bo koza daje zaledwie litr, a przecie dwoje dzieci własnych też trzeba nakarmić. Tylko ten wyjątkowy wypadek...

Kiedy wrócili na podwórze Hadesu, wszystkie sienniki były uprzątnięte. Mieszkańcy Hadesu wstali do zwykłych, codziennych zajęć. Tylko na jednym baraszkowała trójka: Ninka, Kasieńka i Pimpus.

Kot tarzał się na grzbiecie, wywracał koziołki, podnosił w górę łapy. Dziecko zanosilo się śmiechem.

— Pimpus szczurołap w roli niańki — roześmiał się Piorun — ma bestia różne ukryte talenty, co?

Wojtek nie odpowiedział. Stał, szybko oddychając, jak po uciążliwym biegu. Ninka usłyszała głos Pioruna, zerwała się, krzyknęła i skoczyła w ich stronę. Piorun minął ją i wszedł do sionki Hadesu. Nim się Wojtek opamiętał, chwyciła go za szyję, przytuliła głowę do jego piersi i wybuchnęła płaczem. Nie ruszył się, stał jak sparaliżowany, niezdolny do żadnej myśli, do żadnego ruchu. Jedno tylko słowo, zawierające w sobie świat cały, tłukło się jak oszalałe w mózgu, przepelniało po brzegi rozdygotane serce: „Ninka!”

Dotknął wargami kosmyka jedwabistych, jasnych włosów dziewczyny, które życzliwy wiatr nawiał mu na twarz. Ninka zawstydzona wybuchem swojej radości odsunęła się od niego.

— Wojtek, nie gniewasz się?

— Nie.

Usiedli na sienniku obok małej Kasieńki. Ninka zaczęła się bawić z małą, czekając, aż Wojtek zacznie rozmowę, ale on milczał. Zresztą czuł taką suchość w gardle, a zamieszanie w głowie, że nie był zdolny do wypowiedzenia najprostszycich słów.

Na podwórzu pojawił się Sokrates, a z nim pani Barbara.

— Chodźcie na śniadanie! — krzyknęła w ich stronę.

Pani Barbara uśmiechnęła się do nich, podziękowała za opiekę nad Kasieńką, wzięła ją na ręce i znikła w sionce Hadesu.

Przy stole było gwarno i wesoło. Z miseczek parował krupnik na konserwach, na tacy piętrzyły się pajdy dynamitu z margaryną. A Pluton kroił i smarował wciąż nowe.

Dziecko wypilo kozie mleko i usnęło w ramionach matki. Wyszła z nim na słońce.

— Zapomniałem wam wczoraj powiedzieć — odezwał się Piorun — że ZWM organizuje kolonie wakacyjne na wsi, nad jeziorem. Staram się, aby przyjęli nas wszystkich.

— Hura! — wrzasnęli gromko, aż wystraszony Pimpus odskoczył od swojej miseczki, z której wyjadał krupnik.

— To nie wszystko. Zdecydowano już zamknięcie Starówki. Niedługo wyjdzie rozporządzenie w tej sprawie. Tylko pracujący przy odbudowie będą mieli prawo wstępu na te

tereny. Od nowego roku szkolnego przeniesiemy się wszyscy do internatu. Staram się o przydział miejsc dla nas wszystkich.

To oświadczenie przyjęli mniej entuzjastycznie. Taki ten Hades był miły, tak się do niego przyzwyczaili. Żal będzie opuszczać. Tak tu się dobrze żyło.

— A co będzie z Pimpusiem? — zmartwił się Skierka.

— Pimpuś przejdzie na etat państwowy — poważnie odpowiedział Piorun, zmrzył przy tym oko w stronę Sokratesa. — W każdym porządnym, szanującym się internacie potrzebny jest kot.

— Pimpuś otrzyma tytuł etatowego myśliwego — dodał Sokrates.

— A co z nim zrobimy w lecie?

— Pojedzie z nami na wieś. Tyle piasku na plaży! Tam Pimpuś będzie miał używanie!

Skierka, ucieszony pięknymi perspektywami szczęśliwej doli Pimpusia, zwrócił się do ojca:

— A ty, tatusiu, pojedziesz z nami na wieś?

— Pojechałbym chętnie, ale mnie teraz jeszcze nie puszcza z wojska. Dowódca obiecuje zwolnienie dopiero około stycznia. A najwcześniej na jesieni...

— I będziemy wszędzie i zawsze razem, prawda, tatusiu?

— Rozumie się, synku — odpowiedział wzruszony Nowacki.

Tego szczęśliwego ranka każdy miał dobrą lub przyjemną nowinę.

— Ja was zapraszam na przedstawienie *Zemsty* — powiedział Apollo — dziś generalna próba, a jutro premiera. Jak wiecie, gram rolę Wacława.

Spojrzał najbardziej zabójczym wzrokiem, na jaki go było stać, w stronę Ninki, ale pocisk spalił na panewce. Nie zwracała na niego uwagi, opowiadając Wojtkowi o swoich przygodach i nowinach domowych.

Wojtek słuchał uważnie, jadł mało i wpatrywał się w posiniaczone i podrapane ręce Ninki. Myślał z zalem, dlaczego nie wyczuł, że ona jest uwięziona przez Niwińskiego w tej ponurej norze.

— Mówiłam ci, że wuj Maciej przyjeżdża? Ciekawa jestem, skąd zdobył nasz adres? Lada dzień u nas będzie... Ten szewc wyprowadza się od nas, będzie pokój dla ciebie i wuja... A gdy tatuś wróci, postaramy się o usunięcie innych lokatorów... bo musi być gabinet dla tatusia i poczekalnia dla chorych. Tatuś też pisał... Jest na liście repatriantów. Pytał się o ciebie... i czy ty w dalszym ciągu myślisz o medycynie.

Wojtek potakiwał głową, ciągle milczący, zbyt przejęty, aby mówić. Czy to możliwe, aby wszystko tak się zmieniło, tak układało na lepsze, szczęśliwsze?

— Gdzie są twoje rzeczy? — zapytała Ninka, kiedy wszyscy wstawali od stołu.

— Dlaczego pytasz?

— Zrobimy dwa tłumoki, dla ciebie jeden, dla mnie drugi.

— Po co dla ciebie?

— Aby tobie nie było za ciężko. Idziemy do domu, mama czeka. Zobaczysz, jak się ucieszy.

— Sam będę niósł. Niedużo tego.

Ninka zaprosiła cały Hades na herbatę i ciastka. Przyjdą po przedstawieniu *Zemsty*. Potem pożegnali się ze wszystkimi. Niedługo to trwało, bo chłopcy śpieszyli się do szkoły. Pan Karol wybierał się do Biura Odbudowy Stolicy. Liczył, że tam spotka kolegów i znajomych inżynierów, którzy mu pomogą w otrzymaniu pracy. Wojtek pomyślał przelotnie, że znów opuści lekcje, ale tego dnia nie miał wyrzutów sumienia.

Wyszli na świat roziskrzony słońcem.

— Jednego nie rozumiem — powiedział Wojtek — choć nad tym długo myślałem... dlaczego ten Niwiński tak mnie nienawidził? Inaczej on myślał niż ja, ale przecie nie ja jeden w szkole...

— Bo ja — zaczęła Ninka i przerwała — bo ja... powiedziała mu... że wolę ciebie tysiąc razy więcej niż jego...

— Tysiąc razy! — Wojtek aż przystanął z wrażenia.

Całe ciepło tego słonecznego ranka spłynęło mu do serca świetlistą strugą. Odeszły smutne i szare dni. Świat cały stał się inny, piękniejszy.

— I co, Wojteczku, znowu wędrujemy razem, jak wtedy, pamiętasz?

Popatrzył na nią wzruszony, przejęty.

— Chciałbym tak z tobą iść na koniec świata — szepnął zdławionym głosem.

„I przez całe życie” — pomyślała, ale nie powiedziała nic. Zaczerwieniła się i spojrzała ukradkiem, czy Wojtek tego nie widzi. Ale Wojtek patrzył przed siebie, na miasto wypływające z różowych mgieł świtu.

Wędrowali dalej w milczeniu. Wojtkowi wydało się, że tak jest najlepiej. Czasem milczenie pełniejsze jest treści niż najbardziej wyszukane słowa.

Posłowie

Czy jest na świecie miasto wspanialsze od Warszawy? Może są piękniejsze, rozleglejsze, olśniewające urodą i zarazem wielkością, ale stolica Polski ma w sobie coś, co przykuwa uwagę i wyobraźnię poetów. Pisał o niej wzruszające wiersze Władysław Broniewski, a wielu znanych i słynnych pisarzy poświęciło jej książki. Czyżby więc była Warszawa miastem niezwykłym? Tak, bo tragiczne i bohaterskie były jej dzieje w latach drugiej wojny światowej.

Ósmego września 1939 roku wojska niemieckie uderzyły na miasto w rejonie dzielnicy Ochota. Dywizja pancerna, która szturmowała Warszawę, została odparta i poniosła porażkę. Siedemnastego września, w piękną niedzielę jesienną, od samego świtu artyleria wroga ze szczególną siłą ostrzeliwała naszą stolicę. Niemcy położyli ogień głównie na Stare Miasto, zaczął płonąć Zamek Królewski, zapaliła się katedra Świętego Jana, pociski burzyły zabytkowe budowle, jakby artylerzyści niemieccy pragnęli je zrównać z ziemią. Pojawiły się nad dachami domów samoloty ze znakiem czarnego krzyża, rozrywały się bomby z upiornym świstem, osuwały się kamienice i gmachy publiczne, zmieniając się w stos gruzów. A jednak Warszawa trwała, nie uległa się ani artylerii, ani lotnictwa, biła się do chwili, dopóki wojsku nie zabrakło amunicji. Obrona Warszawy w 1939 roku przeszła do historii, a kiedy okupant wkraczał do zniszczonego miasta pełen triumfu, nikt z mieszkańców nie wątpił, że walka trwać będzie dalej, chociaż inne przybierze formy.

Walczyła oczywiście nie tylko Warszawa, walczył cały naród. W lasach nad Pilicą i pod Kielcami ścierał się z Niemcami nieustraszony major Henryk Dobrzański, który przyjął pseudonim „Hubal”. Przysiągł sobie, że nie zdejmie munduru, bo był żołnierzem Rzeczypospolitej — i słowa dotrzymał. Zginął w walce, nie wiadomo nawet, gdzie jest grób tego pierwszego partyzanta drugiej wojny światowej, w którego ślady wnet poszli inni. Społeczeństwo polskie bowiem, nękanie przez okupanta, zsyłane do obozów koncentracyjnych, straszone publicznymi egzekucjami, nie poddawało się i nie przerywało zacieklej walki. Brali w niej udział nie tylko dorośli, lecz i młodzież szkolna, a nawet dzieci. Jedną z form samoobrony było tajne nauczanie pod kierunkiem wytrwałych pedagogów, którzy nie zważając na nic — ani na prześladowania ze strony hitlerowców, ani na ciężkie warunki pracy, często nędzę i głód — prowadzili w podziemiu polską szkołę. Był to równie ważny odcinek podziemnego frontu, jak walka polityczna i zbrojna.

Przodowała w tej walce Warszawa. Przez pięć prawie lat nie ustawały strzały na ulicach naszej stolicy. Im bliżej było końca wojny, tym bardziej nasilały się akcje podziemia, aż wreszcie wybuchło Powstanie Warszawskie. Młodzi chłopcy i dziewczęta szturmowali pozycje wroga, mając jedynie pistolety i butelki z benzyną. Szli do natarcia z nadzieją, że broń zdobędą na przeciwniku, który pozajmował gmachy przygotowane do obrony, poustawiał przy ich wejściach betonowe bunkry, ogrodził budynki kołkami z drutu kolczastego. Pełni poświęcenia i zapału, podejmowali powstańcy uderzenie

za uderzeniem, ale coraz częściej musieli bronić zdobytych uprzednio pozycji. Jedenastego sierpnia 1944 roku oddziały hitlerowskie, po przełamaniu obrony w rejonie dzielnicy Wola, zostały skierowane do natarcia na Stare Miasto. Niemcy chcieli szybko zdobyć tę zabytkową dzielnicę, toteż rzucili wszystkie siły, aby ją opanować. Przekonali się jednak, że to nie takie proste. Źle uzbrojeni, niedożywieni, wyczerpani akcjami powstańcy nie ustępowali, a jeśli musieli się już wycofać, to jedynie z ruin gmachów startych doszczętnie ogniem samolotów, artylerii, moździerzy.

Przez trzy tygodnie Niemcy usiłowali przełamać obronę Starówki, posuwali się krok za krokiem, a kiedy nie mogli zająć jakiegoś budynku na skutek zacieklego oporu powstańców, wprowadzali do walki samoloty czy też goliaty — małe wozy bojowe na gąsienicach, zaopatrzone w materiały wybuchowe. W wąskie ulice Starego Miasta, w poprzek których postawiono barykady, z trudem wkraçały niemieckie czołgi. Wdarły się one nawet do wnętrza katedry, gdyż w inny sposób nie mogli hitlerowcy wyprzeć z jej ruin bohaterskich obrońców.

Były to chwile pełne grozy i napięcia, z których każda mogła być ostatnią. Niebo przesłoniły gęste dymy, echa rozrywających się pocisków mieszały się z jazgotem karabinów maszynowych i jękiem rannych. Topniały siły powstańców, zaczęło brakować amunicji, szpitale nie mogły już pomieścić ofiar zarówno spośród walczących, jak i spośród ludności cywilnej. Z każdą godziną zacieśniał się żelazny pierścień — płonęły zabytkowe kamieniczki, na co z bólem patrzyli powstańcy. Ginęło Stare Miasto, serce stolicy, wieczna pamięć jej historii. Tu mieszkał Jerzy Baryczka, bogaty kupiec, właściciel czterech kamienic na Rynku, pięknych ogrodów, zajazdu i gospody, i Jerzy Fukier, którego nazwisko właściwie brzmiało Fugger, a pochodził ze znanej rodziny bankierów niemieckich. W Polsce zasłynął handlem winami. Mieszkańcami Starówki byli zarówno ludzie zamożni, jak i miejska biedota. Dla nich wszystkich wydarzeniem było wzniesienie w 1643 roku przed Zamkiem Królewskim kolumny Zygmunta III, pierwszego pomnika w stolicy. Włoscy architekci i gdańscy ludwisarze — rzemieślnicy zajmujący się odlewaniem przedmiotów z brązu, miedzi, mosiądzu i innych metali — pracowali przy tej kolumnie, która wkrótce stała się symbolem Warszawy. Stolica Polski przeżyła niebawem najazd Szwedów, poszły z dymem kamienice i budowle magnackie, wojna nie oszczędziła miasta.

Ale Warszawa, ilekroć była niszczone, co często stawało się jej losem, zawsze powstawała z ruin jeszcze piękniejsza i wspanialsza. Rozrastała się terytorialnie, na wysokiej skarpie wiślanej bielili się mury pałaców, nie wystarczał skromny obszar Starego i Nowego Miasta, stolica Polski sięgała hen, na północ, ku Puszczy Kampinoskiej, zaś na południe ku Lasom Kabackim. Nie przestało być Stare Miasto siedzibą wielu znakomitych mężów, odgrywających wielką rolę w historii naszego kraju. Tu mieszkał Franciszek Barss, uczony prawnik i działacz społeczny, walczący o prawa polityczne dla mieszczan — stanu trzeciego, jak go wówczas nazywano. Wspierał go energiczny i przewidujący prezydent miasta Jan Dekert, zgłaszający podczas obrad sejmowych coraz to nowe projekty ustaw, które nie zostały uchwalone za jego życia. Ale 21 kwietnia 1791 roku mieszczenie doczekali się wreszcie ustawy sejmowej, która nadawała im prawa obywatelskie, dostęp do urzędów, zaszczytów i godności państwowych. Potwierdziła to Konstytucja 3 Maja, wielki akt ustawodawczy w ostatnich latach niepodległej Rzeczypospolitej, świadczący o przenikliwości politycznej Sejmu. Toteż gdy naczelnik Tadeusz Kościuszko wezwał mieszkańców Warszawy do walki, na jej czele stanął nie kto inny, jak słynny majster szewski, pułkownik Jan Kiliński, który chociaż pochodził z Wielkopolski, stał się jednym z pierwszych obywateli miasta.

Właśnie w 1794 roku, u schyłku XVIII wieku, obrona Warszawy przeciw zjednoczonym siłom Prusaków i Rosjan stała się wydarzeniem budzącym podziw i szacunek. Lud miejski chwycił za broń i opierał się tak długo, jak starczyło mu sił. Klęska Kościuszki pod Maciejowicami przypieczętowała także i upadek Warszawy. Nastąpiły czasy trudne i wymagające wielkiego hartu ducha. Nie brakowało go nigdy na Starym Mieście, dzielnicy zaniedbanej i tylko z pozoru świetnej, łuszczył się bowiem tynk na zabytkowych kamieniczkach, a domy, małe i ciemne, pozbawione były wygód i komfortu mieszczańskich kamienic w innych dzielnicach miasta. Starówka coraz bardziej stawała się miejscem zamieszkania biedoty, chociaż piękno jej architektury wabiło tak wybitnych malarzy, jak Aleksander Gierzyński, który tu, pośród jej murów, szukał natchnienia. Jedynie stare płaskorzeźby, jak owa głowa Murzynka nad wejściem do sieni jednego z domów, świadczyły o wspaniałej przeszłości Starego Miasta. Do domu „Pod Murzynkiem” przychodził z towarzyszami Feliks Dzierżyński, by snuć marzenia o rewolucji, która by odmieniła świat.

Nadeszła wreszcie długo oczekiwana chwila, gdy w listopadzie 1918 roku ludność Warszawy

rozbroiła garnizon niemiecki i miasto zostało udekorowane po latach niewoli flagami o barwach narodowych. Zamek Królewski stał się siedzibą prezydenta Rzeczypospolitej, zaś w jednej z jego części zamieszkał wielki pisarz Stefan Żeromski. Polska, po latach zaniedbania i zaborów, zaczęła budować nowe życie, nie zdołała jednak wyrównać krzywd społecznych. Chłop i robotnik należeli do warstw upośledzonych, nie ustających jednak w walce o swoje prawa, o Polskę Ludową. Powstała ona dopiero za naszych czasów, gdy w Lublinie 22 lipca 1944 roku został ogłoszony Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, obwieszczający Polskę państwem ludu pracującego.

Warszawa czekała na moment wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej do 17 stycznia 1945 roku, kiedy żołnierze 1 Armii Wojska Polskiego przekroczyli Wisłę, podówczas zamarznąłą, skutą lodami, i przepędzili z miasta wroga, który pastwił się nad stolicą przez przeszło sześć lat. Wycho-dzący na Pradze — dzielnicy położonej na prawym brzegu Wisły — dziennik „Życie Warszawy” przyniósł pierwsze wiadomości z wyzwolonego miasta. Nie były one pocieszające, bowiem wszystkie mosty zostały wysadzone, nie ocalał żaden z pomników, zaś całe dzielnice śródmieścia przedstawiały straszliwy widok — gruz wypełniał jezdnie aż po wysokość pierwszego piętra, w ślepych oknach kamienic przebijało niebo, stojące jeszcze mury groziły zawaleniem.

Jak wielu spośród wracających w tamtym czasie, pierwsze swe kroki skierowałem na plac Zamkowy i Stare Miasto. Słyszałem już, że Niemcy strzaskali kolumnę Zygmunta, ale nie chciałem temu wierzyć. Doszły mnie także wieści, iż Zamek Królewski, częściowo zniszczony w 1939 roku i później zdewastowany przez hitlerowców, nadający się jednak do remontu, został zrównany z ziemią. Tak, to była prawda. Wokół placu Zamkowego zastałem kamienną pustynię. Stałem na odłamkach rozbitych cegieł, pośród gruzu przysypanego śniegiem, i nie mogłem powstrzymać łez. Z Zamku pozostały jedynie kikuty, z ogromnego rumowiska sterczała ku niebu czerwona ściana z oknem dawnej sypialni Stefana Żeromskiego. Z wielkiego zabytkowego gmachu została drobna cząstka, ślad minio-nej świetności. Gruz szczelnie wypełniał piwnice, zalegał cały plac ze spalonymi fasadami kamieniczek. W nikłym zimowym słońcu lśniły resztki ongi wyniosłej kolumny, strzaskany marmur leżał na bruku. A u moich stóp wylaniała się z pyłu i śniegu, tkwiąca między kawałkami cegieł, statua króla Zygmunta.

Nie było już Starego Miasta. Wiatr od Wisły rozwiewał wapienny pył i szumiał pośród ruin. Uliczki, zasypane gruzami, broniły przystępu do Starówki. Z katedry Świętego Jana i innych zabytko-nych kościołów pozostały ruiny, Stary Rynek otaczały spalone kamienice.

Stałem bez ruchu, wstrząśnięty rozpościerającym się przede mną widokiem. Pochyliłem się i podniosłem jedną z cegieł, leżącą przy moich nogach, ocieżała wilgocią i starością. Zważyłem ją w rękę i odłożyłem na bok. Któż udźwignie jej ciężar? Któż zdoła odbudować te kamieniczki i kościoły? Czy zobaczymy jeszcze kiedyś w pełnej krasie Stare Miasto?

Kiedy wróciłem do śródmieścia, Alejami Jerozolimskimi, ledwie przetartym z gruzów szlakiem jechały wolno samochody ciężarowe, pomalowane na biało, w kolorze ochronnym. Pod szarymi plandekami siedzieli skuleni z zimna żołnierze w hełmach z piastowskimi orłami. Twarze mieli zacięte, pełne powagi i skupienia, dłonie zaciskali na kolbach automatów. A na burtach ciężarówek widniały napisy: „Pomścimy cię, Warszawo!” Długa kolumna samochodów kierowała się ku Ochocie i Woli, zdążając na front. W mieście pozostali saperzy polscy i radzieccy, którzy za pomocą specjalnych wykrywaczy kontrolowali nieliczne nie zniszczone budynki, by odnaleźć założone przez Niemców miny. Żmudna to była praca i niebezpieczna, grożąca w każdej chwili śmiercią, bo wiadomo, że saper myli się tylko raz. Słysząc więc było odgłosy wybuchów, miny wylatywały w powietrze, ściany sypały się na dopiero co oczyszczone z gruzu jezdnie. Ale każdy dzień, każdy tydzień, każdy miesiąc przynosił zmiany. Wprawdzie przez Wisłę prowadził most pontonowy, wprawdzie wielu przechodniów wybierało przejazd na drugi brzeg rzeki piaskarskimi łodziami, jednak miasto — żyło.

Halina Rudnicka, autorka tej książki, wróciła do wyzwolonej Warszawy w końcu marca 1945 roku. Otrzymała u życzliwej rodziny kolejarskiej na Pradze ką w mieszkaniu, zaczęła pracować w Ministerstwie Oświaty. Nie miała wiele czasu dla siebie. Trzeba było przygotować nowe programy, myśleć o teraźniejszości i przyszłości polskiej szkoły. Wszystko to były sprawy niełatwe, wymagające wielu zabiegów, bo przecież gmachy szkolne nie tylko w stolicy kraju zostały zniszczone przez hitlerowskiego okupanta, Niemcy pragnęli zdławić oświatę i odebrać Polakom możliwość nauczania. Nie było więc pomocy szkolnych ani zeszytów, ani nawet ołówków czy piór. Trzeba było zaczynać od początku.

Którejś ciepłej, kwietniowej soboty, już po zajęciach w Ministerstwie, pani Rudnicka wybrała

się przez most pontonowy na lewy brzeg Wisły, na Stare Miasto. Błękitniało piękne, wiosenne niebo nad spalonymi, okaleczonymi domami. Pisarka dotarła wreszcie na plac Zamkowy i nie poznała tak dobrze znanego sobie miejsca. Mieszkała kiedyś przy ulicy Piwnej za swoich studenckich lat, nieraz więc przemierzała te okolice. Teraz widziała jedynie upiorne ruiny. Tylko u wylotu Piwnej dostrzegła starszą, chudą kobietę, niosącą wiadra; wokół niej krążyły gruchające gołębie, które siadały jej na ramionach. Stara kobieta postawiła wiadra na bruku i zaczęła karmić ptaki. W chwilę później podbiegł do staruszki jakiś chłopczyk i zaczął jej pomagać, sięgając po karmę do wiader. Ktoś krzyknął. Spłoszone ptaki poderwały się ku górze, wzbiły w błękitne niebo, kołowały, póki nie osiadły na szczątkach kamieniczki, w ruinach której skryła się stara kobieta. Halina Rudnicka zaczepiła chłopca, spytała, czy to jego babka. Odpowiedział, że nie, że on mieszka u pewnego szewca, który go przygarnął, gdyż rodzice chłopca zginęli bez wieści.

— Czy wróca? — zapytał z lękiem w głosie.

Pani Rudnicka zapewniła go, żeby się nie obawiał, tyle ludzi wraca do Warszawy, odnajdą się i jego najbliżsi. Chłopiec tulił do piersi pięknego kota i uśmiechał się do niego.

Ten obraz kwietniowej soboty na Starym Mieście w 1945 roku tak wrył się w pamięć i wyobraźnię pisarki, że myśląc o powieści dla młodzieży, powieści mówiącej o dzieciach Starówki, owych trudnych dniach i miesiącach, uczyniła bohaterami książki właśnie młodzież, z którą się podówczas zetknęła. Znacznie później przeczytała w jednej ze stołecznych gazet, iż rzeczywiście mieszkał na Starym Mieście biedny szewc. Przygarniał on do siebie dzieci, których rodzice zagubili się w czasie zawieruchy wojennej, żywił tych chłopców i dziewczęta, mimo iż ciężko musiał pracować, by zdobyć kawałek chleba na ich utrzymanie.

Właśnie do tamtych, trudnych lat powojennych wraca Halina Rudnicka w swej powieści o chłopcach ze Starówki, do wspomnień z dni walki, kiedy Starego Miasta bronili przed wrogiem chłopcy z *Szarych Szeregów, Zawiszy czy Czwartaków*. Jest to książka pisana sercem i nie ma w niej nic zmyślnego. Tak było. Z takim trudem musieli zaraz po wojnie walczyć o byt chłopcy, uczyć się, a jednocześnie zarabiać na swoje utrzymanie. Część z nich wstąpiła do znanej organizacji Związek Walki Młodych, która powstała w latach wojny, by walczyć z okupantem i kontynuować naukę w podziemiu. Do tych szczytnych haseł doszło po wyzwoleniu jeszcze jedno: praca. Walka, nauka i praca stanowiły cel, do którego zdążyła ówczesna młodzież. Walka o przyszłość Polski, praca nad jej odbudową przy jednoczesnym kształceniu się. Dlatego wyrosli z nich dzielni ludzie, bo przeszli w życiu wiele i uważali się za współbudowniczych kraju. Dzisiaj mogą z dumą patrzeć na swoje dzieło.

Dzieło to jest wspólnym dobrem nas wszystkich, bo taki będzie nasz kraj, jakim go sami zbudujemy.

Lesław M. Bartelski

SPIS TREŚCI

I.	Nad Wisłą u przewoźnika	002
II.	Porządkowanie szkoły	007
III.	Wyprawa po złote runo	014
IV.	Prośba Ninki	024
V.	Wśród bogów i ludzi	035
VI.	Cud w koszu	041
VII.	Napad	048
VIII.	Handlarz antykami	052
IX.	Strachy na ulicy Rycerskiej	059
X.	Człowiek znaleziony w ruinach	065
XI.	Burza nad Hadesem	071
XII.	Niespodziewane spotkanie	075
XIII.	Światło w ciemnościach	080
XIV.	W niebezpieczeństwie	088
XV.	Niezwykły gość	093
XVI.	Tajemnica gruzów na ulicy Rycerskiej	098
XVII.	W pułapce	104
XVIII.	Obława	108
XIX.	Nareszcie razem	113
	Posłowie	